

MARJAN GAWALEWICZ.

Ć M A

MATERYAŁY DO POWIEŚCI.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1892.

ДОВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 23 Августа 1891 года.



106153 .

INNYM ĆMOM

poświęca

Autor.

• 121300

Zamiast prologu.

Znacie te letnie wieczory, kiedy się здаje, że ziemia omdlała po całym dniu rozkoszy w objęciach słońca i cała natura, jak namiętna kobieta, marząc o pocałunku, z przymkniętymi oczyma, z otwartymi usty, z głową w tył przechyloną, oddycha głęboko a cicho i śni...

W taki wieczór siedzieliśmy we trzech na werendzie od ogrodu.

Na stoliku do herbaty płonąła lampa; przez otwarte oszklone drzwi widać było wewnątrz oświeconego salonu, w którym przed chwilą najmłodszy z nas, Henryk, grał Mendelsohna i Schumanna, podczas gdyśmy kołysali się w biegunowych fotelach i palili egipskie papierosy w długich, cienkich jak słoma cygarnicach, przywiezionych z Kairu.

Kiedy ostatnie tony „*Warum?*“ rozbrzmiewały w powietrzu żałosnem jak skarga porzuconej kochanki pytaniem bez
Ćma.

odpowiedzi, Henryk stanął we drzwiach i zobaczywszy nas, ukołysanych jego grą w zadumę, przeszedł cicho przez werendę i usiadł na kamiennych stopniach milczący.

Muzyka ma w sobie coś z hipnozy; im dłużej się jej słucha, tém głębiej zapada się w jakiś stan błogiej bezwładności i poddaje całą swą istotę duchową geniuszowi kompozytora lub artysty.

Potrącone dźwiękami myśli popłynęły, jak liście rzucone na wodę...

Żadnemu z nas nie chciało się przerwać tego milczenia; każdy czuł, że głos jego byłby zmącił uroczą harmonją ciszy i za brzmiał jakimś rozdźwiękiem w przestrzeni.

Bylibyśmy tak siedzieli nieruchomo chyba do samego świtu, gdyby nagle lekki, tajemniczy szmer nie był nas ocknął z zadumy.

Podnieśliśmy wszyscy trzej głowy jednocześnie i zwrócili oczy ku lampie, przy której niebieskim kloszu trzepotała skrzydełkami duża ćma, jak gdyby wybić chciała dla siebie otwór w szklanej ścianie, zagrządzającej jej drogę do płomienia.

Henryk wstał i podszedł do stolika.

— Dziwny owad,—odezwał się po chwili lececi— instynktownie na stracenie!..

— Manja bezwiednego samobójstwa, — wtrącił Bolek, podnosząc się powoli z fotelu.

Ćma nie przestawała tłuc się natarczywie o lampę.

— Odpędźcież ją — rzekłem — po co ma sobie rozbijać na darmo skrzydła?

— Skoro takie jej przeznaczenie, — odparł mi nasz gospodarz, wzruszając ramionami—nie pomoże jej moja perswazya, że zamiast ginąć w płomieniu, lepiej jest latać po Bożym świecie z nieosmolonemi skrzydłami.

— Zkądże taka wiara w determinizm?— spytał go Henryk.

— Zkąd?.. ztąd, że każda ćma leci w płomienie, choć tyle przed nią w nich zginęło.

— A może to światło, może sam blask je tak nęci?..

— Dlaczegoż nie lecą do słońca, albo do gwiazd w takim razie, ale do pierwszej lepszej lojówki zapalonej w ciemności?.. A chociaż sobie osmałą raz skrzydła, wracają po raz drugi i trzeci, dopóki nie wpadną w płomień i nie spalą się żywcem. Czy ty nie wierzysz w predestynację?..

Pamiętasz, co stary Goethe powiedział!
In deiner Brust sind deines Glückes Sterne!

Henryk uśmiechnął się i spojrzał na niego z pod oka.

— Przypuszczasz, żeśmy czytają Goethego?.. bardzo wątpię.

— Cmy nie, ale móle żywią się dzisiaj całą klasyczną literaturą świata,—odrzekł ze smutnym uśmiechem;—mówiąc o predestynacyi, nie myślałem jedynie o owadach nocy. Alboż to między ludźmi niema wszystkich gatunków stworzeń, któremi natura zaludniła ziemię, wodę i powietrze?.. Sądzisz, że między nimi nie istnieją także i takie piękne cmy z tą właściwością owadów: *lepidoptera nocturna*?.. Mój drogi, cała fauna powtarza się w rodzaju ludzkim.

— Powiedzże przynajmniej: męzkim, bo w żeńskim chyba przez wzgląd dla płci pięknej należałoby się dopatrzyć flory i podobieństwa do świata roślinnego.

Bolesław ręką machnął z lekceważeniem i szepnął:

— Trubadur i wieczny poeta z ciebie!..

— Nie, mój kochany — dodał, przechadzając się po werendzie—obstaję przy mojem pierwszém porównaniu, bez galanteryi dla dam. W najidealniejszym człowieku,

czy to w mężczyźnie czy w kobiecie, siedzi jakieś zwierzątko, które jest jak gdyby symbolem jego natury i skłonności; ludzie tę teorią od dawna w języku nawet uprawnili, odkąd między sobą zaczęli się nazywać psami, osłami, baranami w złości, a kotkami i gołąbkami w pieszczotach. Zresztą, wy wiecie, że ja mam swoje dziwaczne poglądy—zakończył—których mi życie i obserwacya świata dostarczyły.

Przez cały ten czas ćma nie przestała fruwać około lampy i miarowem, szybkim trzepotaniem skrzydeł bębniła nieustannie po kloszu.

— Proszę cię, odpędź ją, albo rzuć w płomień—zawołał nagle Bolek—denerwuje mnie ten szmer.

Henryk przykrył dłonią ćmę i delikatnie ująwszy ją w palce, wypuścił do ogrodu.

— Leć i nie bądź głupią!—rzekł jej na drogę.

Bolesław zaśmiał się szyderczo i kładąc mu rękę na ramieniu, z jakąś goryczą w głosie się odezwał:

— Idealisto!.. myślisz, że cię usłucha i będzie wdzięczną za ocalenie?.. jeżeli jest prawdziwą ćmą, wróci raz jeszcze, sprowadzi z sobą nawet drugą taką waryatkę i

obie będą tańczyły dokoła swojego stosu, dopóki w niego nie wpadną. Ot... już ją masz!.. już leci znowu, aby zaprzeczyć twoim słowom. Patrz, jak zmierza prosto ku lampie, widzisz?.. A co? — pokusa jest silniejszą od instynktu zachowawczego. Ja znam émé, mój kochany, bom ją studyował w życiu nie mało!..

— Prawda... Lila! — szepnął po chwili Henryk, i ze współczuciem, które jeszcze bardziej uszlachetniło jego rafaelowską twarz, obramioną w bujne kędziory ciemnych włosów, zwrócił się ku mnie;—patrzaj, on ją jeszcze nosi na sercu!.. przecież to tyle lat...

Bolek rzucił się na fotel gwałtownym ruchem i ze zmarszczoną brwią przerwał:

— A widzisz, alboż to nie była éma? éma w kobiecie i to jeszcze jaka!.. w tym gatunku nie wiele znajdziesz na ziemi. Znałem ich tyle, ale podobnej do tamtej żadnej nie spotkałem.

— Prawda, prawda!—potakiwaliśmy obaj z Henrykiem: Lila... biedna Lila!.. To imię przypomniało nam kobietę, którą przed laty znaliśmy dobrze, podziwiali, biegali z całym orszakiem wielbicieli za nią, porwali urokiem jej wdzięków i oryginalnością

istoty tak odmiennej od kobiet, zawracających od stworzenia świata głowy całym tłumom mężczyzn.

Lila!..

Był czas, kiedy to imię nosiliśmy wszyscy na ustach, kiedy powtarzano je w najrozmaitszy sposób, od zachwytu do oburzenia,—kiedy rozbrzmiewały niem wszystkie salony i buduary wielkiego świata i kiedy wśród tych, co do szaleństwa byli w niej rozkochani, nasz przyjaciel Bolek był największym męczennikiem uczucia, wystawianego na ciągłe próby—bez wzajemności i bez nagrody.

Znaliśmy historią tej miłości, która była zaledwie epizodem w życiu podziwianej kobiety, szarpanej głodem wrażeń i szukającej jakichś nieuchwytnych ideałów, które sobie tworzyła na własną i drugich zagubę; widzieliśmy, z jakiego źródła wypływał ten gorzki i gryzący nieraz pesymizm Bolka, w południu życia pozbawionego wszelkich złudzeń i tej „zdolności do szczęścia,” jaką po gwałtownych wstrząśnieniach serca tracą ludzie rozbici moralnie.

Przystojny, bogaty, wykształcony, niezależny, zdolny niepospolicie, marnował się

jak zmartwiała perła, która wypadła ze swej oprawy i, zamiast być klejnotem, zmieniała się w rupiecie.

Przeszłość jego miała tajemnicę, do której nie chciał się przyznawać nawet przed samym sobą, jakby mu wstyd było, że tyle przegrał na jedną kartę i że się zdebankował zupełnie.

Bankruci mają także swoją ambicję, — nie chcą uchodzić za nędzarzy.

Lat kilka podróży, odosobnienia, rozmaitych manij, które go napadały i opuszczały kolejno, dyletanckich prób w malarstwie, muzyce i literaturze, bawienia się wszelakim sportem, od chwytania skowronków w sidła do wspinania się na alpejskie lodowce, pokryły przynajmniej szeroką blizną tę ukrytą ranę, która pozostała mu po nieszczęśliwej miłości.

Po ostatnim powrocie swoim z zagranicy wydał mi się, jeśli nie zupełnie wyleczonym kaleką w pewnym rodzaju, to człowiekiem, który tak się przyzwyczaił do swoich chronicznych cierpień, że prawie na nie uwagi więcej nie zwraca.

We trzech spędzaliśmy najczęściej z sobą wolne wieczory przy muzyce Henryka, przy opowiadaniu zawsze nowych i cieka-

wych wrażeń Bolka z podróży po szerokim świecie i dyskutowaniu przeróżnych zagadnień, które nam dana chwila nasuwała.

Dom Bolesława nazywał się naszym Collegium, w którym schodziliśmy się w ciągu lata codziennie.

Ze wszystkich, najbardziej pamiętnym został mi ów letni wieczór, w którym fruwająca dookoła lampy ćma skierowała po raz pierwszy po długiej przerwie rozmowę naszą na biedną Lilę, na jej burzliwe losy w życiu i stosunek do Bolka.

— Czy ja wam kiedy pokazywałem moje studia do entomologii? — zagadnął nas nagle, kołysząc się na swoim fotelu.

— Entomologii? — spytałem zadziwiony tą nową specjalnością Bolesława, która pochodziła zapewne z przelotnej fazy jego zamiłowania do nauki. — Zajmowałeś się i entomologią kiedy?... nigdy nam nie wspominałeś o niej.

— Ba, i jak jeszcze! — odparł, powstając — włożyłem kawałek życia i majątku w te studia. Poczekajcie, przekonam was natychmiast. Dla ciebie będzie to bardzo ciekawy przedmiot — dodał, zwracając się

do mnie — jeśli zechcesz, daruję ci kiedyś moje zbiory do użytkowania.

Z tajemniczym uśmiechem wszedł do salonu i po kilku chwilach wrócił z dużą teką w czarne płótno oprawną, którą położył na stole, mówiąc:

— Zbliźcie się, przysuńcie sobie krzesła i zobaczcie ten zbiór rzadki i interesujący. O — czytajcie!

Wskazał palcem na białą kartę nalepioną na tece z napisem: „Materiały do monografii émy“.

— Więc to seryo — zaczął Henryk, nie domyślając się jeszcze niespodzianki, jaką nam Bolek gotował. — Czemże ty się już w życiu nie zajmowałeś!... ty wieczny dyletancie!

Bolek spojrzał na niego jakby z ironią. wzruszył ramionami i powoli rozwiązując tasienki, otworzył swą tajemniczą tekę, zapelnioną plikiem papierów, listów, depesz, wycinków z gazet, z pod których widniała z czarnemi, szerokimi brzegami żałobnemi klepsydra.

— Oto jest cały żywot émy, — rzekł niemal uroczyście — potrzebaby tylko ująć to wszystko w pewną syntezę, aby wycią-

gnąć jeśli nie ściśle naukowe, to bardzo nauczające wnioski.

Przez instynktowy pociąg literata do wszelkiej bibuły i makulatury wyciągnąłem rękę ku papierom, zaciekawiony słowami Bolka i przerzuciłem kilka początkowych świstków: były to ustępy rękopisu.

— Poczekaj — przerwał mi — sam tu niczego nie dojdiesz bez mojej pomocy: to chaos. Gdybyś to wydrukował tak, jak jest, w chronologicznym porządku, powiedzieliby, żeś wysypał koszt redakcyjny przed czytelnikami, ale jednak jest w tem całość i pełny obraz dziejów... émy.

— Która się nazywała Lilą - wtrąciłem, domysławiając się treści tych wszystkich dokumentów.

— Tak, — przywodził mi Bolesław — zgadłeś... Są tu urywki moich własnych bazgrot — zaczął nas objaśniać po chwili — jakieś ustępy powieści, jakieś sceny dramatu, oryginalne listy, telegramy, strzępki pamiętnika — patrzcie, a na końcu samym nawet klepsydra... Cóż dziwnego, przecież to materiały do nieopracowanych studyów. Siadajcie, zrobimy tego wszystkiego przegląd po kolei. Mam nadzieję, że was nie znudzi.

Usłuchaliśmy skwapliwie tego zaproszenia i z ciekawością podnieconą usiedliśmy do koła stolika.

Zmęczona óma opuściła skrzydełka i nieruchoma, jak martwa, przytulona do niebieskiego klosza lampy zdawała się przysłuchiwać także historyi swego sobowtóra w postaci kobiecej.

Bolek odetchnął głęboko i wziął do ręki zeszytik, oznaczony dużą jedyką.



I.

— Słyszeliście o najświeższym skandalu?

— Jakim?...

— Pani Lila uciekła od męża.

— Co?... uciekła?... z kim?...

— Podobno sama.

— Pocóżby sama uciekała?... założę się, że Szaniecki z nią razem zniknął z widowni.

— Przeciwnie, Szaniecki jest w Warszawie i ani kroku się nie ruszył.

— Szaniecki jest w Warszawie?... no, to lada dzień pojedzie za nią; został dla zmylenia pozorów. Umówili się, że ona wyjedzie pierwszej, a on później, — spotkają się potem gdzie zagranicą i pokażą figę mężowi.

— A to komedia!...

— To skandal!

— Waryacya!..

Przez tydzień cały taka rozmowa powtarzała się w „towarzystwie“, w salonach

na wieczornych zebraniach i południowych wizytach, w pięknym świetle dam, kawalerów i w owych sferach, które się rozumie pod ogólnym tytułem: *tout Varsovie*.

Wiadomość, powtarzaną sobie najpierw na ucho, roznoszono coraz głośniejszemu po bruku i po parkietach, urozmaicając ją dodatkami i uwagami bardzo mieszanej natury.

Na końcu każdej takiej rozmowy powtarzało się to samo pytanie z temi samemi oznakami zdziwienia i niedowierzania:

— A Szaniecki został?

— Został; brat go pilnuje widocznie, bo kroku bez niego nie robi nigdzie.

— To niepojęte!

— Owszem, bardzo zrozumiałe; zapewne nie miał powodu ruszać się z miejsca.

— A ona—myślicie—miała?

-- Chyba!.. Nie porzuca się tak nagle domu, męża, dziecka, bez ważnej... nagłej przyczyny.

— To i dziecko zostawiła?

— A cóż, miała je zabierać z sobą? jeszcze teraz, w zimie, na takie mrozy?..

— Ileż ma lat to biedactwo?

— Pięć czy sześć.

— Patrzcie, to jednak tak dawno, jak Malińscy się pobrali; no, no! Ale co to znaczy, że Szaniecki został?..

— A właśnie!.. bo przecież nikt inny, tylko on...

— Tak, w ostatnich czasach asystował jej wszędzie, chodził za nią, jak cień nieodstępny, był w niej zakochany po uszy. Zerwał przecież z Polewiczówną dla niej.

— Ależ naturalnie, nikt inny, tylko on.

I znowu szumiący potok szeptów, uśmiechów, westchnień zgorszenia i syków obłudy rozlewał się powodzią, co zatapiała resztki dobrej sławy kobiety, która nagle i niespodzianie zniknęła z widowni towarzyskiej, popełniwszy jedno z tych szaleństw, jakie mszczą się potem przez całe życie na swoich ofiarach.

Pani Lila Malińska, królowa wszystkich balów, ozdoba wszystkich salonów, *the stare* każdego sezonu, porzuciła męża niekochanego wprawdzie, ale zawsze męża, dziecko, z którym widywano ją rzadko, w powozie, na przechadzce lub w cukierni Saskiego Ogrodu, dom, który był jednym z najświetniejszych punktów zbornych dla towarzystwa, wreszcie tłum wielbicieli, ciągnących za nią jak gromada satelitów z mgłą roz-

marzenia w oczach lub żarem namiętności w źrenicach.

Czego jej nie dostawało, czego braknąć mogło w tej atmosferze ciągłej zabawy, zbytku, wszelakich wygod, wrażeń przelotnych a błyskotliwych?... Tysiące innych na jej miejscu czułoby się tak szczęśliwemi!.. ba, tysiące zazdrościły jej owego powozu o granatowych adamaszkowych poduszkach, owych wytwornych toalet, któremi olśniewała kobiety i mężczyzn, owej łoży w teatrze i pierwszego miejsca na koncertach, owych wielbicieli rojących się dokoła niej, na każdym kroku.

I ona — ucieka od tego życia, pełnego uciech, z tego otoczenia, pełnego blasku, z tego domu, pełnego wygod, z tego świata, pełnego... pobłażliwości dla pięknych, młodych, ekscentrycznych mężatek, uprawiających flirt, byle z zachowaniem koniecznych pozorów towarzyskiego taktu.

Waryatka!.. dziwaczka! postrzelona!

Nie, histeryczka tylko, — konkludowali zwolennicy neuropatycznej teorii, podciągającej wszystkie bardziej zawikłane i anormalne objawy pod ogólną chorobę wieku.

Szczegółów tej tajemniczej ucieczki nie znał nikt dokładnie; dlatego właśnie krą-

żyły tysiączne wersye z dnia na dzień które się wzajemnie obalały.

Wiedziano tylko, że z panią Lilą wyjechała jej pokojówka, że mąż otrzymał przez miejską pocztę list, rzucony do skrzynki widocznie przed samym jej wyjazdem, aby w ten sposób zyskać na czasie i uwiadomić go o fakcie dokonanym dopiero na drugi dzień rano.

O treści listu zaś, oprócz samego Malińskiego, nikt nie umiał powiedzieć ani słowa, a on sam nie pokazywał się światu, ani przyjmował nikogo, unikał oczu ludzkich i ciekawości ludzkiej; powiadano nawet, że wyjechał szukać śladów ucieczki swej żony, chociaż ci, którzy lepiej znali pożycie ich małżeńskie, kręcili głową z niedowierzaniem.

— Nie spróbuje jej gonić ani sprowadzać do domu, — mówili; — pogodzi się z losem, zobaczycie.

I mieli słuszość; wyjechał, ale do siebie na wieś, wysławszy tylko do teścia i teściowej lakoniczną depeszę po francuzku: „Lila wyjechała niewiadomo dokąd; żąda rozwodu. Michaś zostaje przy mnie. Jadę do Sójki“.

Ćma.

Sójka była ich wioską o kilka mil oddaloną od Warszawy.

Starzy Czajkiewiczowie, którzy siedzieli w swojej zapadłej Mołodeńce wśród zaśnierzonych futorów wołyńskich, odpowiedzieli wcale nie telegraficznym stylem: „Jezus, Marya co to znaczy?—nie nie rozumiemy. Dziś wieczorem wyjeżdżamy do Warszawy“.

Dla nich było to jakby gromem rzuconym im na stare głowy; byliby się prędzej śmierci spodziewali, niż tego, aby Lila uciekała od męża, — ich Lila, ich jedynaczka, Czajkiewiczówna z domu, wychowana tak starannie, w tak moralnych zasadach, oko w głowie ojca, który mógł się poszczycić najświetniejszą parentellą, chociaż dla jakichś tam sporów majątkowych zerwał stosunki z całą rodziną od bardzo dawnego czasu.

Dlaczegożby uciekać miała od Miecia?.. Przecież poszła za niego za mąż nieprzymuszona, z dobrej woli, w pół roku po owym pamiętnym kuligu, na którym poznała go, przebranego za Krakusa w białej sukmanie i lakierowanych butach.

Tańczył z nią wszystkie mazury i hołubce wybijał siarczyste, a śmigał panną w powietrzu, jak piórkiem.

Podobały jej się tak jego ciemne oczy i wąsy, i cała postawa, i ta dziarskość, którą przewyższał całą młodzież, że zadyyszana wpadła z sali do gabinetu ojca, rzuciła mu się na szyję, jak szalona i zaciśkając swoje różowe, perełkowate ząbki, wyszeptala jakimś dziwnym, namiętym, upojonym głosem:

— Papo, pójdę za mąż za Malińskiego, albo za nikogo!...

No, i poszła, jak chciała, a teraz po sześciu latach pożycia z nim, ni ztąd, ni zowąd, ucieka od niego?.. Opętanie, obłąd, skaramie Boże!

Matka, blada, zawiedła, chorowita brunetka, która pomimo swoich lat pięćdziesięciu nie miała jeszcze ani jednego siwego włosa na głowie, załamywała tylko chude, długie, białe jak z opłatka wykrojone ręce i jakiemiś złęknionemi oczyma zbudzonej lunatyczki spoglądała na męża; całe życie przywykła tak patrzeć w niego, jak w wyrocznie i wszystko widzieć dopiero przez odbicie w nim, w jego ruchliwej twarzy, w jego siwych, dużych, otwartych oczach, w jego ustach pod zwieszonym, grubym wąsem wiejskiego szlachcica starej daty.

Oni tak nie wyglądali oboje na rodziców córki, któraby mogła — awanturować się w życiu!..

Wydali za mąż swoją Lilę, aby była szczęśliwą, wyposażyli suto, pobłogosławili i wyprawili do miasta, aby tam użyła trochę życia i świata, do którego od dziecka jej ciemne, zmienne, jak powierzchnia morza, raz roziskrzzone, to znów zamglone oczy się śmiały.

Czemu nie miała teraz używać?.. młodziutka mężatka, a piękna, jak malowanie, chociaż na tę piękność składały się rysy wcale nie klasyczne. Kobiety utrzymywały, że jej brak wzrostu i pięknej figury, że ma tylko oczy cudowne i cerę białą, no i te włosy nie zbyt długie ale bujne, z jakimś rudawym trochę odcieniem, przy których brwi ciemne i rzęsy długie, jak strzępiony atlas tworzyły oryginalny i efektowny kontrast.

Przez pewien czas podejrzewano ją nawet, że je farbuje umyślnie.

— Wszystkoby było bez zarzutu, — mówiły w salonach wyrocznie gustu i znawstwa wszelakich wdzięków — gdyby nie ten nosek... ten nosek... który jest kompromi-

tująco otwarty i tak ciekawy, jakby chciał zwierzyć...

— Szanieckiego na trzeciej ulicy,—podawały ze złośliwym uśmiechem antagony panu Lili.

A ten nosek właśnie o delikatnych, rozdętych namiętnie nozdrzach, które chwilami drgały, jak skrzydełka motyla, był przedmiotem admiracji i zachwytów mężczyzn, określających z niezbyt smacznym uśmiechem podziwianą piękność salonową temi kilkoma słowy:

— *Elle a du chien!*

W tańcu dobijano się o nią i prawie omdlałą ze zmęczenia wyrywano sobie z ramion na sali balowej; miała swój sposób przechylania głowy i przymykania oczu w wirowych tańcach, który nadawał jej fizyonomii wyraz jakiegoś upojenia i rozkoszy.

Błogi uśmiech rozchylonych ust dziwnie jednak odbijał od zciągniętych łuków brwi, które tworzyły pionową zmarszczkę w samym środku czoła.

— Malińska szaleje w walcu!—mówiono o niej, śledząc jej gibkie ruchy — zdaje ci się, że to boa—nie kobieta owija się o cie-

bie i że oboje zaczynacie odrywać się od ziemi i wlatywać w powietrze.

Starsze damy wzruszały ramionami i utrzymywały, że pani Lila tańczy nieprzyzwyczajcie.

— Jak można się tak dekoltować! — dodawały przy tem zgorszone.

— Skoro się ma tak ładne ramiona, grzechem by było je zakrywać, — odpowiadał obrońcy.

— Zapewne, ale wszystko ma swoją miarę i swoje granice.

— Jak dla kogo i jak kiedy. Wenus miłońska jeszcze mniej pod tym względem miała przesądów.

— Tak, ale nie bywała na balach publicznych. Dziwna rzecz, że ten mąż na to pozwala.

— Czyj, Wenery?..

W ten sposób na każdym większem zebraniu opinia dzieliła się na dwa obozy, obóz żeński, który miał zawsze coś do zarzucenia zbyt swobodnej w manierach, toalecie, rozmowach i całym zachowaniu się pani Lili, i obóz męski, który ją bronił i chwalił to właśnie, co się kobietom niepodobało.

Ona sama zaś wiedziała doskonale o tym podziale głosów i opinii.

Z jakimś szyderczym zadowoleniem, jakby na przekór wszelkiej pruderyi, wyzywająco niemal zachowywała się w towarzystwach, w których za swemi obnażonemi plecami słyszała kostyczne uwagi o sobie i widziała w zwierciadłach złośliwe uśmieški i miny swych spółzawodniczek.

Przyznawała się głośno do tego, że nie lubi kobiecego towarzystwa; nauczyła się palić papierosy, aby pod tym pretekstem mogła łatwiej wychodzić z salonu do bocznych gabinetów i w kółku męzkim prowadzić rozmowę między jednym tańcem a drugim.

Brano jej to bardzo za złe i znajdowano jeden powód więcej do gorszenia się i otrząsania, jakkolwiek zapraszano ją wszędzie i obsypywano komplementami i czułościami w oczy. Hypokryzja salonu, konwencyonalne kłamstwo towarzyskich stosunków pokrywało fałszem i udaniem tajoną prawdę.

Robiono odpowiedzialnym męża za wszystkie ekscentryczności żony, a on — miał szczególniejszy dar znikania w tłumie; widywano go, wchodzącego z żoną do salonu i wyprowadzającego ją z balu lub wieczoru i to nie zawsze.

Miedzy tem wejściem i wyjściem podziawał się gdzieś, ulatniał, gubił, stawał się

niewidzialnym, jak gdyby nawet obecnością swą nie chciał krępować żony. Niekiedy zjawiał się, jakby z pod ziemi, przy kolacyi i na drugim końcu stołu zajmował miejsce między dwoma obojętnymi sąsiadkami zawsze jednakowo dystyngowany, mało-mówny, z starannie ufryzowanym wąsem i rzadkimi puklami włosów, naczesywanemi na przeświecającą już łysinę.

Patrząc na jego woskowo nieruchomą twarz, trudno było sobie wyobrazić, jak ten sam, według szablonu wykrojony salonowiec przed sześciu laty mógł w białej krakowskiej sukmanie i w kierezyi, naszywanej złotemi blaszkami, udawać dziarskiego parobczaka na kuligu, wycinać siarczyste hołubce i podbić serduszko czy—zmysły tej samej kobiety, która teraz jednym spojrzeniem nie zwracała się nawet ku niemu i jak zupełnie obca nie zdawała się zauważać jego obecności, chyba późno nad ranem, gdy na dany znak wachlarzem lub lekkim skinieniem głowy zbliżał się z jakimś pokornym uśmiechem, aby jej podać okrycie i wyprowadzić z salonu.

Zdawało się, że ten człowiek nie widzi tego wszystkiego, czém się cały świat zajmuje, albo że pozostawia żonie swej wszel-

ką swobodę, nie zważając wcale, aby jej nadużywała w sposób niewłaściwy.

Oryginalne też bywały przyjęcia u państwa Malińskich, podczas których gospodarza trudno było odróżnić od reszty zaproszonych gości, z tą różnicą, że trzymał się zdaleka od głównego ogniska, w którym błyszczała pani domu i połowę wieczoru przepędzał w bocznym saloniku przy kartach, a na drugą najczęściej znikał zupełnie.

Szedł spać do swego pokoju, korzystając z chwili, w której mógł się wymknąć niespostrzeżony.

Nie dziwiło to już nikogo ze stałych bywalców w salonie pani Lili; ona sama z jakimś dziwnym uśmiechem i wzruszeniem ramion, obwieszczała to w ściślejszém kółku, które miało przywilej pozostawania po oficjalnej godzinie skończonego rautu lub wieczoru.

— No, teraz możemy siedzieć do południa, — mówiła — mój pan małżonek już w łóżku, wysypia się za mnie i za siebie snem sprawiedliwego.

Na dużej tacy służący wnosił platerowaną maszynkę do kawy, małe czarki porcelanowe, kieliszki, likiery i koniaki,

stawiał to wszystko na bambusowym stole w budoarze pani, poprawiał lampy stojące na konsolach w kolorowych czepcach z marszczonej bibułki i dyskretnie przymykając drzwi od stołowego pokoju, wychodził.

W budoarze pozostawała pani Lila i kilka osób wybranych z najbliższego jej otoczenia, — jakaś sezonowa przyjaciółka, odgrywająca bezwiednie rolę „powiernicy królowej“, jakichś dwóch lub trzech dworzan, zasługujących na szczególniejsze względy i na tytuł „wybranych“ i zwykle ten „ktoś“ interesujący, którego nazywano „nową ofiarą pani Lili“ i o którym przez pewien czas mówiono ze znaczącym uśmiechem:

— To nowy adorator!..

Owe nocne, pobalowe *siesty* przeciągały się niekiedy do świtu, przy czarnej kawie i likierach, przy papierosach i rozmowie, prowadzonej najprzód głośno i ogólnie wśród wybuchów śmiechu i konceptów, przeskakującej z łatwością konika polnego z przedmiotu na przedmiot, z osoby na osobę, a zmieniającej się zwykle w przyciszone szepty, z których niekiedy jakiś wyraz niedyskretnie wyrywał się głośniej-

szem brzmieniem, i gasnął w powietrzu, jak iskra wyrzucona z odemkniętych czeluści.

Dla pani Lili najmiłszą była ta zabawa, którą nazywała swym wypoczynkiem po trudach gospodyni domu, oży wiała się wtedy, nabierała nowych sił, oczy jej zapalały się fosforycznym blaskiem, twarz promieniała zadowoleniem.

Nie znać na niej było znużenia po nocy przetańczonej, tylko usta żywszym szkarłatem płonęły, a dokoła oczu powiększał się sinawy pierścień, w którym niby w stalowej oprawie połyskiwały jak brylanty jej roziskrzzone źrenice.

— Ach, Boże, czemu ja się nie urodziłam mężczyzną! — powtarzała w pewnych chwilach, przechylając głowę w tył, z podniesionemi ramionami i przeciągając się lekko z nerwowym dreszczem, po którym zaciniała dolną wargę drobnemi ząbkami i przymrużone oczy wlepiała w przestrzeń, dosnuwając w myślach resztę tajemniczej refleksyi.

— Wysączyłabym dzban życia i wrażeń do ostatniej kropli! — mówiła nieraz, jakby w monologu, głosem matowym, przyciszonym, wibrującym — a potem... cisnęłabym pustą skorupę jak zużyty czerep!..

Po twarzy jej przemykało wówczas drgnienie podobne do bolesnego kurczu, powieki zamykały się, policzki blade i po chwili takiej wewnętrznej rozterki, która musiała wstrząsać wszystkimi jej nerwami, wyrывała się przemocą z tego stanu, sięgała po niedopity kieliszek likieru lub koniaku i wypróżniała go do dna jednym haustem z jakimś desperackim ruchem pijaka.

— Lila, Lila!.. *tu est tout à fait folle?*— upominał ją w takich razach głos przyjaciółki—jakżeż można!.. zaszкодzisz sobie.

Spoglądała na nią z szyderczym uśmiechem, który odsłaniał dwa szeregi białych zębów i nadawał jej twarzy wyraz podrażnionej łasicy.

— Nie bój się—odpowiadała—mam mocną głowę, nic jej nie zawróci tak łatwo, nawet taki *séducteur quand même*, jak pan—dodawała, zwracając się do którego ze swoich gości, aby skierować rozmowę na inny temat.

Te małe kółka „zaufanych“ składały się po większej części z salonowych włóczęgów, z okazów złotej młodzieży, polujacej na posagi pańien i na względy mężatek, z podsiwiałych Don-Juanów, odgrywających

rolę pobłażliwych wujaszków lub Telemaków, z mężów, udających w towarzystwie wdowców lub kawalerów, korzystających z wiecznej „niedyspozycji“ swych żon nieobecnych, z tych wesołych błazenków we fraku, których ma każdy salon zarówno, jak każda buda cyrkowa. i ze znanych pieczeniarzy, znęcanych dobrą kolacją, myską starych win, nadzieją dobrej zabawy, wonnego cygara i możliwości spędzenia całej nocy w atmosferze podniecającej umysły.

Stanowiło to wszystko rodzaj cyganeryi salonowej, złożonej z eleganckich birbantów, płynących jak srebrna piana wierzchem życia, której obecność jednak zawsze świadczy... o mętach u spodu.

Budnar pani Lili różnił się wielce od jej salonu, miał swoje przywileje, które były właściwie odstępstwem od sztywnej ceremonialności i obowiązków dobrego tonu; rozmowa w nim pod względem treści nie krępowała się zbyt wyborem tematów, a pod względem formy zaostrzała tę „pikanteriją“ dyalogu, przeniesioną w życie z francuzkich romansów i komedyj.

Uderzeniem wachlarza kałano zbyt przezroczysty dwuznacznik, ale wesołym śmie-

chem nagradzano jednocześnie zbyt ślizki dowcip *causeur'a*, lub anegdotkę, podaną w formie możliwie przystępnej; zamykano usta dłonią niepoprawnym cynikom, ale słuchano z zajęciem dokończenia ostatniej awanturki z półświatka i ploteczek, obiegających miasto.

Ten humor trochę zanadto kawalerski, ten ukryty apetyt do zakazanych owoców i pociąg do historyjek, pachnących skandalem, nadawały zebraniom w buduarze pani Lili charakter szczególny, z pozoru dwuznaczny, podejrzany.

To wszystko, co się tu dostawało kontrabandą, zakazało atmosferę i czyniło ją podobną do wyziewów gabinetu restauracyjnego, lub budoaru kokoty.

A przecież to był wykwinny budoar damy „z towarzystwa“, ze świata, który się nazywał „lepszym“, ze sfery, w której za ubliżenie kobiecie zwykło się strzelać w pojedynku i bronić najlżejszych pozorów honoru i dobrej sławy...

Kiedy nad ranem ostatni goście pani Lili rozchodzili się do domu, a zaspana służba gasiła lampy i sprzątała rozstawione naczynia, ona w swej balowej toalecie rzuciła się niedbale na turecką ottomanę w



sypialni i zapadała w jakąś dziwną, melancholijną zadumę.

Na ożywionej przed chwilą jeszcze twarzy gasły rumieńce, a jakby z pod zdjętej maski występowała bladość znużenia i grymas niesmaku; opierała głowę na rękę i podkrojonemi sińcami oczyma patrzała w olbrzymie lustro przy przeciwległej ścianie, w którym odbijała się cała jej postać, ułożona na dywanie.

Długo, nieruchomo, z rosnącym zajęciem, jakby własnem spojrzeniem zahipnotyzowana, wpatrywała się w tę drugą Lilę, odbitą w zwierciadle i zdawała się badać ją wzrokiem chmurnym, surowym, jak osobę obcą, albo marę, która przyszła jej samej urągać.

Tamta uśmiechała się do niej niekiedy bladym, znękanym jakimś uśmiechem i jakby próbowała ożywić się, otrząsnąć ze znużenia, podnosiła ramiona białe, jak na pokaz, wyciągała wdzięcznym ruchem swe drobne ręce, siatką błękitnych, nabrzmiałych nieco żyłek porysowane i przebiegała paluszkami, które jak szpony zdawały się chwytać powietrze.

Pani Lila robiła przegląd swoich wdzięków, zmieniała pozy, układała się na po-

duszkach otomany, to nagłym ruchem sta-
wała, by okrąglą linją swych pleców i ta-
lii wysmukłej zobaczyć w rozkosznem prze-
gięciu, poprawiała fałdy swej kosztownej
sukni i rzucała się znowu na to samo
miejsce z jakąś bezwładnością martwoty,
która ją nagle opadała.

Jakie myśli przemykały wówczas przez
tę głowę, ociężałą, zwieszoną i nakrytą
parą rąk połyskujących złotem i klejnotami,
wiedziała tylko ta druga, odbita w zwier-
ciedle i z pod oka spoglądająca na swój
sobowtór.

Często zdarzało się, że ociężałe powieki
zamykał sen swą niewidzialną dłonią i pa-
ni Lila zasypiała na chwilę w tym stanie
zadumy czy rozmarzenia, nie zważając na
zgniecioną swą toaletę i na niewygodne
warunki wypoczynku.

Niekiedy budziła się sama i wtedy, zry-
wając szybko klejnoty z rąk, wyjmując
szpilki z włosów, jednem szarpnięciem roz-
pinając haftki lub guziki stanika, rozbie-
rała się z pośpiechem, porzucając tam, gdzie
stała, szczegóły swego ubrania, i wsuwała
się ruchem spłoszonego węża między firan-
ki łóżka, pod atlasową kołdrę na posłanie.

Służba wiedziała o tem, że dopóki nie odezwie się dzwonek z sypialni pani, nie wolno wchodzić tam nikomu pod żadnym pozorem i przerywać wypoczynku, który w takich razach przeciągał się do samego południa, i dłużej; nawet ulubienica pani Lili, pokojówka jej, Andzia, nie śmiała położyć ręki na klamce i przestąpić progu odosobnionej komnaty, otulonej dywanami i kotarami, aby żaden szelest i żaden szmer najlżejszy nie przedostał się do wnętrza.

Jeżeli monarchowie i książęta mają zaufanych ministrów, to dama światowa ma swoją subretkę, która się staje jej powiernicą i kanclerzem jej gabinetu.

Andzia, dwudziestoletnia, sprytna aż do przebiegłości brunetka, o drobnej twarzyczce, czarnych jak tarki oczach, które umiały jednym błysnięciem zobaczyć więcej, niż potrzeba, a w danym razie spuścić się ku ziemi z potulną minką niewiniątka, stanowiła w swoim rodzaju doskonały typ służącej, na którą składała się filuterya Rozyny i przewrotność Sganarella.

Właściwie w jej rękach spoczywały rzady domu, któremi pani Lila mało i to bardzo niechętnie się zajmowała.

Ćma.

Codziennie, stereotypowo niemal powtarzały się jedne i te same zapytania, jakimi rozpoczynała się rozmowa zbudzonej pani z pokojówką.

— Jak tam dzisiaj na dworze? Bona wychodziła z Michasiem?.. Listów jakich niema?—Podaj mi szlafrok i herbatę.

Zdarzało się rozmaicie z pogodą i ze spacerami dziecka pod opieką bony szwajcarki, ale pod względem korespondencji panowała stale zadziwiająca regularność.

Codziennie kilka bilecików, pakunków, pudełek przez ręce Andzi dostawało się do sypialni pani Lili.

Próbki z magazynów, rachunki modniarek, francuzkie nowości w żółtych okładkach z księgarni, dość często kwiaty świeże, oprócz listów mniej lub więcej zajmującej treści, składały się na tę „ranną pocztę“, wśród której paluszki zbudzonej przed chwilą kobiety, szukały skwapliwie od pewnego czasu małej, perłowego koloru koperty, adresowanej jednym i tym samym pismem.

Na jej widok senna mgła znikała do reszty z oczu pani Lili; nie unosząc się z puchowych poduszek, rozrywała papier z po-

śpiechem, aby często odczytać tylko te trzy wyrazy:

„Dzień dobry mojej pani!..“

Od kilku miesięcy bileciki te przychodziły codziennie; zdarzało się, że dwa i trzy razy na dzień Andzia pośredniczyć musiała w owej wyjątkowej korespondencji, która tak bardzo zajmowała panią Lilę.

Kiedy pytała służącą: „Listu niema?“ — to te słowa miały znaczyć tyle, co: „Pan Szaniecki nie pisał?“..

Pan Szaniecki był w swoim rodzaju „nową gwiazdą“ na horyzoncie salonowym Warszawy, która co roku w karnawale i poście zmienia konstellacye swoje i owe mężkie i żeńskie słońca wraz z ich satelitami poddaje szczególniejszej obserwacyi.

Jest to rodzaj towarzyskiej astronomii, która nie jest umiejętnością, ale — sportem.

Młody, przystojny brunet z głową Antinousa, z cerą śniadą, z małym aksamitnym wąsikiem nad świeżemi ustami, z oczyma tak czarnemi, że niekiedy zdawało się, iż zamiast źrenic ma dwa głębokie, ciemne otwory, prowadzące w jakąś bezdenną przepaść, z figurą zgrabną i smukłą panny na wydaniu, z ruchami nieco powolnemi ale pełnemi wdzięku i elegancyi, pan Izydor

Szaniecki — w salonach krótko „Iziem“ nazywany — stanowił typ w swoim rodzaju odmienny od całej złotej młodzieży.

Kobiety wpatrywały się w niego niemal z zachwytem, jak gdyby zmysł wzroku skojarzył się w nich ze zmysłem dotykania.

Na ulicy, w teatrze, w towarzystwach Izio był przedmiotem ich podziwu.

— Ach, jaki piękny! — szeptały usta błogo uśmiechniętych wielbicielek młodzieńca, który zachowywał spokój niemal apatyczny kamiennego posągu i pozwalał się im podziwiać, obojętny, jakby nie czuł, nie zwracający uwagi nawet na zbyt wyraźne objawy ogólnej admiracyi.

Kiedy po zrzuceniu mundurka studenckiego, jako skończony prawnik, wszedł pierwszy raz w towarzystwo, gdzie go wprowadził jego brat przyrodni, renomowany lekarz, używający zarówno rozgłosu znakomitego Eskulapa jak i niezłomnego Kato-
na w jednej osobie, powitał go od razu na wstępie żeński chór uwielbienia.

Panny się rumieniły, spojrzawszy mu w oczy, a mężatki zaczynały się wachlować, jak gdyby na nie powiał gorący podmuch *sirocca*.

Zasypywano go listami i bilecikami z zaproszeniem na rauty, bale, wieczory i obiady; ubiegano się o niego, jak o osobliwość, otwarto mu wszystkie ważniejsze domy i wciągano niemal przemocą w towarzystwa.

— Musisz pan być u nas jutro na herbacie! — mówiły mu energiczne mamy dorosłych córek.

— Musisz pan choć na chwilę pokazać się u mnie na przyszłej sobocie! — mówiły młode mężatki tonem, który w połowie brzmiał, jak rozkaz, w połowie, jak błaganie.

Nie wiedział dlaczego „musi“, ale poddawał się z jakąś apatyczną biernością temu teroryzmowi gościnności i chodził wszędzie, gdzie go zaproszono.

Co wieczór niemal wkładał frak i biały krawat, wdziewał perłowe rękawiczki i z szapoklakiem pod pachą zjawiał się w jakimś salonie lub buduarze, gdzie się do niego wyciągały mniej lub więcej pulchne, mniej lub więcej zgrabne rączki wprost lub pośrednio interesowanych pań i panieniek domu.

— Powiem panu, że jesteś teraz w modzie, — rzekła mu raz jakaś niedyskretna cio-

cia, którą bawił pod lustrem w salonie bogatego bankiera.

Spuścił oczy i zarumienił się, jak pensjonarka, nie wiedząc, czy ma to uważać za komplement, czy za złośliwość.

Bardzo często zdarzało mu się słyszeć jak gospodynie domu, werbując sobie gości dodawały ze znaczącym naciskiem i ważną miną:

— Będzie Szaniecki na obiedzie! — zupełnie tak samo, jakgdyby dla smakoszów zapowiadały jakąś nadzwyczajną i kosztowną nowalijkę w swoim *menu*.

Niewątpliwie „był w modzie“ — i uważano go za *heros du jour*; zarzucano na niego sidła i kokietowano go tak widocznie, że gdyby był ślepym i głuchym, byłby musiał to zobaczyć i usłyszeć.

Widział, słyszał, ale nie czyniło to na nim przynajmniej pozornie żadnego wrażenia; im bardziej go wyróżniano, tem chłodniejszym i obojętniejszym się okazywał; ani na chwilę twarz jego nie ożywiła się choćby błyskiem temperamentu, oczy miały zawsze ten sam wyraz zamglonej, melancholicznej jakby zadumy, uśmiechał się kącikami ust, a odzywał bardzo rzadko, umiarkowanie, z jakąś dziwną wstrzemięźliwością,

która niekiedy prawie na zakłopotanie zakrawała.

Doświadczone damy, przypatrując mu się badawczym wzrokiem, robiły pod wachlarzem następujące uwagi:

— Ten Szaniecki to albo zamknięty wulkan, który jeszcze nie zaczął wybuchać, albo woskowa lalka na sprężynach.

— Zanadto nieśmiały, a może tylko tak się czai.

— Poza!.. psują go zanadto.

— Czarny, jak kruk, a potulny jak turkawka. Żeby chociaż spojrzał goręcej na którą.

— Obudzi się, obudzi i wtedy będzie drapieżny, jak sęp; zanadto świeża jeszcze natura, — taki młody!

— Ale śliczny!.. cudowny!

— Ach cudowny!..

W chwili, gdy się najbardziej zastanawiano nad tym zagadkowym chłodem i spokojem pięknego Izia, spadła pewnego razu, jak meteor niespodzianie nowina:

— Szaniecki się żeni!..

Przyjmowano prawie z wrzaskiem tę wiadomość wszędzie, gdzie ją przyniesiono.

— Tak, Szaniecki się żeni; już po słowie.

— Z kim?..

— Z Polewiczówną?

— Z tą wymokłą kurą, co ledwie pensyą skończyła?.. to niemożliwe!

— Ba, trzy wioski w posagu, jedynaczka, bez ojca...

— Ale nieładna.

— Podobno wykształcona i dobra.

— Dajcież pokój, gąska, ani be ani me. Lalkami się jej jeszcze bawić, ale nie za mąż wychodzić.

— Chyba go wyswatali i oślepiли, albo mu zaślali czego na kochanie.

— Swatał brat doktor.

— A, tak?... to co innego.

— Wiecie, ten brat to mi bardzo na papę wygiąda. Kto widział brata, coby tak w ryzach trzymał młodszego?... Uważaliście, jak on go na pasku prowadzi wszędzie, jak panienkę z klasztoru?...

— To prawda; dlatego też Izio wygląda trochę na zahukane dziecko.

Między Dr. Szanieckim a jego przyrodnim bratem istniał rzeczywiście stosunek jakiś patryarchalny; różnica przeszło lat dwudziestu dawała przewagę wieku i doświadczenia starszemu bratu, względem którego młodszy okazywał widoczną zależność i uległość, niemal synowską.

Dr. Piotr wychował Izia,łożył na jego wykształcenie, był mu więcej ojcem, niż bratem po śmierci macochy i opiekował się nim z prawdziwie rodzicielską troskliwością.

Powiadano teraz, że owo niespodziewane małżeństwo z Polewiczówną sam skojarzył, — mówiono nawet z pewnym przekąsem, iż nie tylko o dobrą żonę dla brata ale i o trzy wioski mu chodziło. Zdecydowawszy się z niewiadomych powodów na staro - kawalerstwo, chciał przynajmniej podwójną ceną okupić wolność Izia i dlatego wyszukał mu jedną z najposażniejszych, chociaż i najniepokąźniejszych panien na wydaniu.

Urok salonowego Antinousa od chwili, gdy zaczęły krążyć pogłoski o jego przyszłym małżeństwie, zmniejszył się trochę. Traktowano go ozięblej, płęć piękna nawet patrzała na niego teraz z jakąś szyderczą złośliwością, jakby z pewną urazą po doznanym zawodzie.

— Żeby sobie przynajmniej wybrał coś lepszego! — mówiły mniej dyskretnie — miał przecież tyle ładnych panien do wyboru.

— No, i mężatek, — dodawały ze zgryźliwym śmiechem starsze damy.

— Te jeszcze nie dały za wygraną, —
odcinała się strona przeciwna.

I miały słuszność, choć mówiły to w polowie żartem, nie przeczuwując, jak rychło słowa ich nabiorą aktualności.

W kilka tygodni zaledwie po rozpuszczeniu pogłoski o małżeństwie Szanieckiego zaczęto sobie szeptać na ucho inną wiadomość, która wywoływała uśmiech zdziwienia i zadowolenia na ustach płci pięknej.

— Nie może być?...

— Ale tak, tak, to fakt!

— A cóż będzie z tamtą?

— To właśnie najciekawsze; zapewne zerwie.

— No, no!... ktoby się był spodziewał!

Zdawało się, że kolportowana tą samą drogą ploteczka poprawia nawet wrażenie poprzedniej wiadomości i zaczyna znowu zwracać uwagę na interesującego Izia.

Mówiono teraz o romansiku jego z panią Lilą; obserwowano ich baczniej, śledzono, podsłuchiowano, szpiegowano a im więcej ten stosunek nabierał prawdopodobieństwa, tem więcej zwracano względów młodzieńcowi, którego omal nie pogrzebano w opinii, jako pospolitego filistra, co w małżeńską szlafmycę chciał ustroić swą piękną głowę.

wę i zaślubić „wymokłą kure” z trzema wioskami.

Te podejrzenia w salonach zakrawały prawie na rehabilitację pięknego Izia. Romansik z mężatką, i to w takich warunkach, pasował go znowu na bohatera chwili w świecie, w którym mówiono wiele o moralności kobiet i charakterze mężczyźni dzisiejszych, ale wybaczano i jednemu, i drugiemu wiele dla chwilowej sensacji.

Byłe było mówić o czym...

Małpy, bawiące się koronkami, nie rozdzierały ich z mniejszem poczuciem szkody, jak to się często czynić zwykło z cudzą sławą w salonowych rozmowach królowej opinii.

Trzeba było lekceważyć tak wszystkie języki, jak pani Lila, aby nie słyszeć ich syczenia i szmeru wszędzie, gdzie się teraz pokazywała w nieodstępnie niemal towarzystwie pięknego Izia; widywano go podczas antraktów w jej łożu, na wszystkich wieczorach i balach, na ślizgawce i na spacerach, niemal na wizytach ceremonialnych, na których niby przypadkowo spotykali się u progu a wychodzili razem.

— „Odprowadź mnie pan do powozu,” — albo: „zabiorę pana z sobą” — mówiła mu wprost, żegnając się z gospodynią domu.

Posłuszny z natury, przywykły do przewodzenia nad sobą, poddawał się tem łatwiej jej wszystkim żądaniom, że urok, jaki na nim wywierała, miał w sobie coś despotycznego.

— Ależ to go zawojowała! — szeptało, kiwając głową.

Dr. Piotr, który zmuszony był na kilka tygodni wyjechać z jednym ze swych możliwych pacjentów do Arco, nie przeczuwał, że za powrotem zastanie wszystkie swoje plany co do małżeństwa Izia zachwiane, a jego samego zaplątanego w sieć pani Lili.

— Hola! — powiedział sobie, poznawszy cały stan rzeczy — skradziono mi brata, ale przynajmniej znam złodziejkę; zmuszę ją, aby mi go zwróciła.

I zabrał się do tego nie zbyt dyplomatycznie.

Po rozmowie z bratem nabrał przekonania, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie jak przypuszczał, ale że wpływ pani Lili i wrażenie, jakie na nim zrobiła, nie dadzą się usunąć od razu.

Izio z początku zapierał się, jak student.

— A po cóż tam łazisz nieustannie? — spytał go szorstko brat doktor — dlaczegoż cały świat ma was oboje na językach?

— Cóż to znaczy!.. ludzie o wszystkim mówią i sądzą z pozorów.

— To ich unikaj.

— Ba!.. to nie łatwo.

— Dlaczego przestałeś tak nagle bywać u Polewiczów?.. przecież byłeś zdeklarowanym narzeczonym. Cóż ci nagle strześliło do głowy?

Izio spuścił oczy i milczał.

— Skompromitowałeś mnie, siebie i pannę!.. dlaczegoż ci się tak nagle niepodała?

— Nieładna,—odrzekł nieśmiało.

— Przecież widziałeś to od razu.

— No tak, ale nie ja ją wybierałem sobie.

— A kto?

— Jakto kto?.. przecież wiesz dobrze, żeś ty sam..

Doktor Piotr nie mógł pohamować gniewu.

— Cielę jesteś!—wybuchnął gwałtownie. —ja nie wiem, co te baby w tobie widzą, że leżą do ciebie, jak sroki do prosa. Niuńka!.. panna mu się nie podoba, bo nie ładna, ale trzy wioski ma w posagu, rozumiesz?.. trzy wioski! Jemu się zachciewa romansów z mężatkami, lala!..

Izio słuchał nachmurzony i skubał swój kruczy wąsik, ale nie odpowiadał ani słowa.

Doktór Piotr zmiarkował, że nie nie wskóra gniewem, wiedział, że brat zahukany zaczął się swoim zwyczajem, ale swoje robić zechce dalej.

— No, i cóż będzie?—spytał go udobruchany nieco po dłuższym namyśle.

— Nic nie będzie; co ma być?

— Powrócisz do Polewiczówny a z Małińską zerwiesz.

— Nie mam co zrywać.

— Przestaniesz bywać u niej i spotykać się z nią, — dyktował stanowczo, niemal surowo starszy brat;—tak być musi!..

Izio uśmiechnął się ironicznie, jak gdyby brał na kieł.

— To chyba z domu się nie ruszę i będę siedział zamknięty pod kluczem,—rzekł powoli spokojnym tonem; — wiesz przecie, że bywamy w jednych i tych samych towarzystwach. i że niepodobna się unikać. Zresztą, tak nagle nie mogę się odsunąć, nie mogę kompromitować kobiety. Powstaną z tego nowe plotki. Co ludzie powiedzą, gdy zacznę przed nią uciekać?.. pomyśl tylko.

— Niech mówią, co chcą, nam nic do tego.

— Tobie, ale nie mnie, -- odważył się wtrącić tym samym flegmatycznym tonem.

— A ja ci zapowiadam, że będziesz musiał zerwać z nią, — zagroził mu stanowczo brat; — jeśli ty sam nie przyjdiesz do rozumu, to ja jej mądre słówko powiem przy sposobności.

Iziowi twarz się przeciągnęła; miał minę nastraszonego dziecka, które sobie w kłopotcie wielkim poradzić nie umie.

— Daj mi pokój, — rzekł niechętnie — uroliło ci się coś w głowie i kłócisz się ze mną niepotrzebnie. Kiedy ci mówię, że między nami nic niema, to niema. A zresztą — dodał, siląc się widocznie na pewność siebie — gdyby coś było, to jestem pełnoletni i wiem, co robię. Nie trzeba mnie na pasku prowadzić.

Pierwszy raz w życiu przyjmował taki ton względem swojego opiekuna i brata, którego przywykł ślepo słuchać we wszystkim.

Doktór Piotr czoło zmarszczył, usta zaciął i rzuciwszy krnąbrnemu chłopcu gniewne spojrzenie, rzekł krótko:

— Zobaczymy!

Przez kilka dni nie rozmawiali wcale z sobą.

Wypadek ten miał jednak poważniejsze następstwa, niżby przypuszczać można było,—przyspieszył bowiem szalony krok, do którego pani Lila była przygotowaną.

W tydzień później rozeszła się już wiadomość o jej ucieczce od męża.

Ta romantyczna awanturniczość takiego rozwiązania sprawy, nęciła ją może bardziej od rozkosznych widoków samego stosunku z pięknym Antinousem, podziwianym przez wszystkie, pożądanym przez tyle.

Teraz, kiedy trafiła się poważna przeszkoda, która groziła zerwaniem na zawsze, kiedy ów surowy brat stanął na drodze i postanowił odebrać z jej rąk pochwyconą zdobycz, podrażnione nerwy, zmysły, ambicya, upór i duma salonowej tryumfator-ki, to „coś“ wreszcie, co buntowało się w niej przeciw niej samej, podziało na nią, jak szale i zrodziło plan — wykradzenia kochanka.

Kiedy mu tę myśl nagle, jak błyskawicę rzuciła do głowy, był oszołomiony, przerażony niemal śmiałością tego projektu; zdawało mu się, że jakiś gwałtowny wicher

powiał nagle na niego, pochwycił go, ogłuszył i unosić zaczął w dal, w przestrzenie bez końca, jak rzecz martwą, pozbawioną woli i świadomości siebie.

Jój białe, rozpalone ręce spoczywały wtedy w jego dłoniach i drżały; w zaciemnionym buduarze, do którego pociągnęła go przed chwilą z salonu, nie mógł widzieć dokładnie jój twarzy, ale czuł gorący oddech tój szalonej kobiety, która przytknęła prawie usta swoje do jego ust i szeptała:

— Tak być musi!.. musi!.. słyszysz pan?.. nie oddam cię nikomu na świecie, prędzej umrę wraz z tobą. Oni mi cię nie zabiorą, nie wydrą, chyba z życiem!..

Odsunęła się nagle od niego, jakby przestraszona własną namiętnością, która drżała w jój głosie, płonęła w niezdjętym pocałunku na jój ustach i nerwowym ruchem szarpnąwszy jego ręce, powtórzyła:

— Tak być musi!.. potem z szelestem jedwabnej sukni wymknęła się znowu z budoaru, pozostawiając go samego w ciemności.

Musiał się oprzeć o krzesło, które stało obok niego; zdawało mu się, że przytomność traci.

Pierwsza refleksya, która się zbudziła w jego umyśle, nie odpowiadała bardzo sytuacji, w jakiej się znalazł.

— Niepotrzebnie powiedziałem jej tak od razu o pogroźkach brata,—pomyślał.—To piorun, nie kobieta!..

Byłby się wstydził przyznać, że go jakiś lęk zdjął przez chwilę, i że uczuł nieznany dreszcz grozy i zachwytu zarazem. Po-chlebiała mu ta gwałtowna namiętność, z jaką pani Lila zapowiadała walkę o niego z całym światem, ale zarazem onieśmiałała go i krępowała rolę, jaką mu przeznaczała w tej walce.

Uciekać w świat daleki, porzucać Warszawę, brata, stosunki, wykraść mężatkę, a raczej dać się wykraść, wszystko to przedstawiało mu się, jak jakieś zadanie nad siły, ryzykowne, niemożliwe do wykonania, a przedewszystkiem kłopotliwe i niebezpieczne, wymagające za dużo energii i poświęcenia.

Jednak nie śmiał okazać tego,—w obec gwałtownej, namiętnej stanowczości pani Lili, musiał przynajmniej zachowywać pozory bohatera romansu, którego akcja tak szybko porwała go na drogę katastrofy.

Z rezygnacją fatalisty poddał się swemu losowi, jak człowiek, który z zamkniętymi oczyma skacze w wzburzoną toń, popchnięty z nienacka i nie ma czasu zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Wszystkiego, co mu ukradkiem, w pośpiechu jakimś gorączkowym mówiła pani Lila, snująca sama cały plan tej awanturniczniej ucieczki, słuchał w milczeniu, odpowiadając tylko uściśnieniem ręki, skinieniem głowy, albo krótkimi wyrazami:

— Rozumiem... dobrze... tak, tak!..

Ona myślała za niego i za siebie, nagliła do pośpiechu, obiecywała sobie i jemu raj po-za progiem „tego świata obłudy, konwenansu, niewoli i fałszu,“ jak mówiła w zapale, snując przed nim plany wspólnej przyszłości.

— Będziemy wolni i szczęśliwi!.. o, jak szczęśliwi! — szeptała w upojeniu, głosem kusicielki, obrzucając go spojrzeniem, pełnym obietnic tajemniczych i miłosnej ekstazy.

Dopóki przy niej bawił, czuł w sobie jakąś ryzykowną otuchę i niezłomne postanowienie skosztowania zakazanych owoców życia, poddawał się jej czarującemu urokowi, demonicznym wpływom jej słów, spoj-

rzeń, uścisków, rozumowań i pokuszeń; opuszczały go owe skryte wątpliwości, które rozstrajały jego energią, gdy wracał do siebie i rozmyślał nad tém, co się stać miało lada chwila, gdy wszystko do ucieczki ich przygotowaném już będzie.

Przystawał na wszystko, ale jakiś tajemniczy, ukryty głos przeczucia, nie pozwalał mu wierzyć, aby to na prawdę udało się tak łatwo popełnić szaleństwo tak wielkie i sto razy przychodziła mu ochota przerwać entuzyastyczne tyrady pani Lili o wspólném ich szczęściu na wolności, zapytaniem:

— A dlaczegoż nie moglibyśmy się równie dobrze i bezpieczniej nawet kochać tu na miejscu, nie narażając się na tysiące przejść i możliwych przykrości?.. Po co uciekać, zrywać z całym światem, rzucać się na oślep w ten rwący prąd, z którego można nie wypłynąć więcej?..

Nie śmiał jednak zdobyć się głośno na taką refleksyą, którą mu podsuwał praktyczny rozsądek, a jeszcze więcej instynkt zachowawczy salonowego sybaryty.

Nie chciał okazać się mniej przedsiębiorczym od niej, mniej ryzykownym, mniej pożądanym owego urojonego szczęścia w

miłości sam-na-sam, bez wszelkich więzów i ograniczeń; nie wypadało mu stchórzyć wobec kobiety, która gotową była „poświęcić wszystko dla niego“.

A jednak w gardle go nagle dławić zaczęło, gdy otrzymał od pani Lili bilecik z żądaniem, aby się z nią o zmroku zobaczył koniecznie w jednej z bocznych aleji Saskiego ogrodu.

„Muszę z panem rozmówić się ostatecznie; wszystko gotowe — pisała — jutro... stanie się, co się stać musi. Nie chcę cię więcej przyjąć u siebie, aby nie ściągać podejrzenia.“

Spotkali się w samotnej ustronnej aleji o oznaczonej godzinie; przyszła na schadzke w gęstym woalu i futrzanej szerokiej rotundzie z podniesionym kołnierzem. Wyciągnęła ku niemu rękę na powitanie i zdyszana szybkim chodem, nie mogła w pierwszej chwili przyjść od słowa. Położyła sobie jego dłoń na piersiach i rzekła:

— Posłuchaj pan, jak mi serce bije...

Zamiast odpowiedzi, uścisnął zlekka koniuszki jej palców i podniósł je do ust.

— To nic, to przejdzie; — mówiła szepcąc — pojutrze będę już zupełnie spokojną i szczęśliwą. Przyszłam panu tylko po-

wiedzieć, że jutro stanowczo wyjeżdżam nocnym pociągami. Zabieram z sobą Andzię; ona była nam obojgu wierną,—będzie mi potrzebną. Zatrzymamy się w Częstochowie, w hotelu — wiesz, ten hotel przy kolei?.. jest tylko jeden. Wyjedziesz rannym pociągami i po południu spotkamy się na dworcu. Każ pan sobie dać osobne *coupé* i uważaj, żeby nikt inny nie wszedł do naszego przedziału. Dnie są teraz krótkie, nie spostrzegą nas, do Granicy dostaniemy się już pod wieczór. Byle tylko stanąć w Wiedniu!.. Ach, wolałabym jechać z tobą razem, byłoby mi lżej na sercu, byłabym śmielszą przy pańskim boku, ale nie... nie, to niebezpieczne. Tak będzie najlepiej... ęPotém nie rozdzielimy się już nigdy, nigdy—chyba do trumny; prawda?.. powtórz mi jeszcze raz, że mnie kochasz. Potrzebuję to usłyszeć!.. to mój talizman na drogę.

Znowu nic nie odpowiedział, tylko w milczeniu rękę jej do drżących ust przycisnął.

Jakiś ciekawy przechodzień przeszedł raz koło nich, zatrzymał się o kilka kroków i zawrócił.

Musieli rozstać się i przerwać rozmowę prowadzoną po francuzku.

Ostatnia schadzka zakończyła się uściśkiem ręki i słowami:

— Więc pamiętaj, pojutrze — w Częstochowie.....

II.

Depesza Nr. 1-szy. „Anna Rajtarek. Częstochowa. Hotel przy kolei.

„Nieprzewidziana konieczność wstrzymała mnie w ostatniej chwili. Jechać dalej.

„Przybędę wprost do Wiednia. Spotkanie w hotelu Métropole. Uwiadomię o dniu przyjazdu. Proszę być dobrej myśli.“

Iz.

Depesza Nr. 2-gi: „Madame Lila Malińska. Wien. Hotel—Métropole.“

„Wstrzymałem brata od wyjazdu. Wyjaśnienie listownie“.

Piotr Szaniecki“.

Depesza Nr. 3-ci: „Nie przyjedzie. Powody sam wytłumaczę. Życzenie spełnione, adresu nie podamy nikomu. List wysłany.

Dr. Szaniecki“.

III.

Warszawa, 21 Lutego 1881.

Łaskawa Pani!

Z uczuciem największego przygnębienia biorę za pióro, by w sprawie niewymownie dla mnie przykrój, zaapelować nie do serca, ale do rozumu kobiety, która gotową jest jednym nierozważnym krokiem wejść na drogę, prowadzącą do zguby i pociągnąć za sobą młodzieńca, względem którego mam obowiązki starszego brata i opiekuna. Różnica wieku, jaka między nami zachodzi i stosunek mój do niego od dzieciństwa nadaje mi prawo w chwili tak ważnej, decydującej o całej jego przyszłości, wmieszać się w jego stosunki i czyny, za które pomimo pełnoletności swojej, jak wi-

dzę, nie mógłby niestety być jeszcze odpowiedzialnym.

Ojcu naszemu na łożu śmierci przysięgłem, że jego młodszego syna stróżem i opiekunem będę, nie jak brat przyrodni, ale jak rodzic prawdziwy i do tej chwili starałem się te obowiązki spełniać z zaparciem nawet samego siebie.

Wspominam o tém dlatego, aby się wobec pani wylegitymować z prawa, które mi nakazuje przeszkodzić szaleństwu, jakie mój brat dotąd jeszcze gotów jest popełnić.

Wybaczy pani, iż pod wrażeniem tego, co się stało, niechęć prawdy obwijać w bawelnę i rzeczy nazywam po imieniu.

Tak, uważałbym za szaleństwo lekkomyślny postępek, którego chwilowa namietność czy nawet prawdziwe uczucie, usprawidliwić nigdy nie zdołają. Jestem człowiekiem nie dzisiejszym, człowiekiem zafatowanym może pojęć, ale przyznaję, że z dziesięciorga Bożych przykazań, które dla mnie przynajmniej są podstawą życiowej moralności, to, które się tak łatwo lekceważy i przestępuje, a które zabrania „pożądać żony bliźniego swego“, uważam

za prawo wielkie, noszące w sobie dla przestępców najczęściej zarodek surowej kary.

Wiem, że nie miejsce i nie pora po temu rozwodzić się szeroko na temat, ale pragnę i ten wzgląd religijnej natury, przytoczyć na usprawiedliwienie mojego postanowienia, które musiałem zakomunikować łaskawej pani w moim wczorajszym telegramie. Tak jest, ja sam i nikt inny, i nic innego, wstrzymałem Izia od wyjazdu za panią z Warszawy, przyjmując na siebie odpowiedzialność za ten gwałt, który burzy wszystkie plany i taki niespodziewany obrót nadaje całej sprawie. Żałuję niewymownie, iż nie udało mi się o dwa dni wcześniej wpaść na trop tych tajemnych postanowień, bo może byłbym o tyle szczęśliwy uratować dwie ofiary chwilowego obłądu zamiast jednej; może potrafiłbym być i panią powstrzymać od kroku, którego zapewne już żałować zaczynasz.

Wiem dobrze, że to, co mówię, zakrawa na brutalność, że powinienbym oszczędzić pani tej gorzkiej prawdy, nie powołany do moralizowania w takiej chwili, ale jestem lekarzem z zawodu i przywykłem w niebezpiecznych wypadkach stosować środki radykalne i silnie działające.

Nie mogę przy tém zataić głębokiego żalu, jaki uczuwam z powodu tak fatalnej komplikacji faktów, na które brat mój z całą młodzieńczą lekkomyślnością się naraził; nie mogę wybaczyć mu braku zaufania do mnie i kłamstwa do ostatniej chwili, jakiem starał się pokrywać stosunek swój do pani. Rozumiem powody, dla których zapierał się tego stosunku, aby moję czujność uspić i podejrzenia usunąć, wiedząc, iż nie byłbym nigdy zezwolił na romans z mężatką, zarówno dla zasady, jak w imieniu jego dobra, honoru i przyszłości. Wiadomém bowiem było łaskawej pani, że przed kilku zaledwie miesiącami najformalniej mógł się uważać za narzeczonego młodej osoby, z którą związek małżeński mógł mu zapewnić szczęście legalne i zgotować mu przyszłość pogodną przy odbłasku rodzinnego ogniska, którego nie zastąpić nie zdoła.

I znowu poruszam najdrażliwszy punkt tej nieszczęsnej sprawy, przypominając pani ofiarę, którą uczynić chciałaś, a raczej już uczyniłaś—śmiem twierdzić—bez należytego zastanowienia, porzucając dom, męża i dziecko, to jest trzy najważniejsze obowiązki matki, żony i gospodyni, jakie kobieta spełniać przedewszystkiem powinna.

Nie śmiem robić pani wyrzutu żadnego w tym względzie, ale nie mogę wstrzymać się od tej uwagi z obowiązku uczciwego człowieka, który powinien od zguby ratować zaślepionych na bezdrożach życia. Przemawiam do pani pierwszy i zapewne ostatni raz w ten sposób; dlatego proszę mi wybaczyć śmiałość, z jaką narzucam się mało znaną pacjentce na lekarza duszy.

Wchodzę najzupełniej w położenie pani; wiem, że ten krok nierozważny jest nie-szczęśliwą pomyłką i że konsekwencye jego nie jedną jeszcze przykrość i upokorzenie zgotować pani mogą, ale nie sądzę, aby złe co do pani samą, naprawić się więcej nie dało.

Wyrozumiałość mężów najbardziej nawet drażliwych, byle rozsądnych, w takich małżeńskich kolizjach zdobywa się na rozwiązanie jedyne, jakie powinno mieć miejsce w wypadku, gdy własny egoizm poświęcić trzeba dla szczęścia — dziecka, cierpiącego najczęściej za winy rodziców.

W tej chwili nie potrzebuję przypominać chyba już łaskawej pani, że jesteś matką i że te drzwi do mężowskiego domu, które zatrzasnęłaś na zawsze za sobą, może otworzyć powracającej matce ręka dzie-

ciny i dlatego poczuwając się niejako do obowiązku względem pani zarówno, jak względem swego brata, ośmielam się w tych fatalnych warunkach dać pani radę, która wydać się może równie cierpką, jak cała treść niniejszego listu, ale znów jest najstosowniejszą w danej chwili: spróbuj pani wrócić do męża. Mówię to z głębi przekonania, przejęty najżywszą chęcią naprawienia złego, które się stało, a któremu, nie mogąc wcześniej zapobiedz, musiałem przynajmniej tamę nieprzepartą postawić, aby jeszcze gorszém się nie stało.

Szczerze i otwarcie wyrażam moje przekonanie, jak to zawsze w życiu czynilem; radzę, jak mi rozsądek doświadczonego człowieka dyktuje, a nie wątpię, że intelligencya i spryt kobiety tak wyjątkowo uposażonej od natury, poddadzą pani środki do wykonania mojej rady.

Trudno mi nawet przypuścić, abyś jej łaskawa pani przyjąć nie chciała, skoro sama konieczność narzuca ją równocześnie.

Zresztą, zapewne szanowni rodzice pani, wcześniej czy później staną się naturalnymi pośrednikami w tej sprawie, i dowiedziawszy się o miejscu pani pobytu, pośpieszą z pomocą i poradą.

Pomijam umyślnie wszystkie szczegóły dotyczące brata mojego, którego radbym najzupełniej usunąć z pamięci pani, jak go usunąłem z jej drogi, niestety trochę zapóźno. Mam nadzieję, że gdy przeboli ten fatalny wypadek młodzieńczej nierozwagi w swém życiu, zabierze się do pracy, która jest jedyną jego przyszłością, jako jedyną żywicielką człowieka bez majątku; gdy się pogodzi ze smutną koniecznością losu, będzie się starał w dalszém życiu skorzystać z nauki, którą wyciągnie z dzisiejszych gorzkich oświadczeń, i strzedz się będzie fałszywych kroków i zboczeń hazardownych z drogi obowiązku.

Kończę w przekonaniu, że pomimo moralnej rozterki, jaką zapewne wiadomość o mojem postanowieniu i zatrzymaniu brata mego w Warszawie, w pani wywołać musiała, najlepsze moje intencye i właściwe pobudki zechcesz pani w chwili rozwagi głębszej należycie ocenić i uwierzysz w głębokie współczucie, z jakim piszę się Szanownej Pani uniżonym sługą

Dr. Piotr Szaniecki.

IV.

Wiedeń 18 Marca 1

Mój Bolku!

A widzisz ananasie, że ci się na coś w życiu przydałem!.. choćby do tego, aby spłoszone sarny tropić nad modrym Dunajem.

Dalibóg, we mnie siedzi w gruncie, gdzieś na samym spodzie, bardzo pocziwa kana-lja, i żebym się tak mógł objąć za szyję, tobym się nieraz ucałował w oba policzki.

Ty nie myśl, że ja się tobie przechwalam tylko; poczekaj, ty się sam o tém jeszcze przekonasz i nie będziesz żałował tych dwustu blatów, któreś mi pożyczył

in illo tempore, gdy mi się zachciałojechać do Wiednia i zostać wielkim budowniczym. Maluczko, a zacznę ci choćby po dwa guldeny miesięcznie spłacać mój dług,—tylko poczekaj. Jak twoją matkę, a moją ciotkę kocham, oddam co do grosika, wszyściuteńko!..

Czy ty wiesz, kto do ciebie pisze?.. myślisz, że twój cioteczny brat?—e, furda!.. cóż to brat, to nie. Bratem ciotecznym może być, kto bądź, pierwszy lepszy bałwan, który miał ciocię, ale asystentem pana prof. Brauna i pierwszym jego rysownikiem w biurze *für die civile Baukunst*—tylko ja.

Et, co ty tam rozumiesz z architektury! —Szanuj przynajmniej pana asystenta i pamiętaj, że jak będziesz stawiał nowy dwór w swoich Łaszkowicach, żebyś u mnie plany zamówił.

Mogę panu dziedzicowi i coś mniejszego skonstruować, np. chlewek dla bezrogów, w którym osadzimy Izia Szanieckiego, jeżeli zechcesz.

A to ci kanalja!.. Ja do niego nigdy zaufania nie miałem, nawet wtedy, kiedyśmy razem do szkoły chodzili. Laluś był od kołyski. Pal go sęk!.. prawda?

Otóż *ad rem*: Skoroś mi tylko napisał, o co chodzi, i żebym ci wywachał panią Lilę, która zrobiła fugę z kochanej Warszawki, tak puściłem nos na wszystkie wiatry i biegałem, jak wyżeł po całym Wiedniu.

Dwa dni przez ciebie, a właściwie dla ciebie, nie pokazałem się ani na technice, ani w biurze. Profesorowi kazałem powiedzieć przez woźnego, żem spuchł i że mam fluksyą na całej gębie, a sam obleciałem najpierw wszystkie hotele.

No, *und was sagst denn Du dazu?*.. Na Grabenie spotykam się nos w nos z dwoma karemi kołmi, które ciągną czarny powóz, a w powozie damę tak czarno ubraną, że aż mi się w oczach ciemno zrobiło. Gdyby nie jój rudawe, *echt* makartowskie włosy, byłbym jój nie poznał w tój żałobie. Nie widziałam jój z półtora roku. Ona zmierzniała!.. miała minę prawie ponurą i surową, jakgdyby mówiła do wszystkich wiedeńczyków: „proszę się na mnie nie gapić, bo policyą zawołam!..“ Siedziała w powozie sama jedna wyprostowana, na kolanach miała parasolkę położoną w poprzek, a na parasolce oparte ręce, jak na balustradzie.

Nie mogłem biedz za powozem, jak psiak i szczekać, więc wskoczyłem do doróżki i kazałem się wieźć za nią; (jesteś mi winien 40 austriackich grajcarów za zmarnowany kurs). Na rogu Grabenu skręciła na Spiegelgasse i zajechała do Matschakerhoffu; naturalnie ja za nią. U portyera pytam dla pewności, kto jest ta dama, co przed chwilą tu zajechała; odpowiada mi: *Das ist die Gräfin Malinski aus Russland.*

Te osły nas tu wszystkich, co mamy jaką taką minę, za hrabiów biorą!..

Kazałem sobie pokazać fremdenlistę i znalazłem rychtyk: *Lila Malinska mit ihrer Kammerzofe Anna Raitarek. Nr 33 und 34.*

No, teraz wiesz, że stoi w Matschakerhofie. Czegóż chcesz więcej? Może mam pójść do niej, zapakować ją gwałtem i odeśłać *per Eilgut* do Warszawy?.. Wszystko zrobię, co każesz, tylko mi się to głupiemi wydaje, iż tyś się w niej durzył tak długo, a ona dla lali Szanieckiego męża porzuciła! *Unglaublich aber wahr.*

Powiadam ci, ten świat jest źle zbudowany, trzebaby go przestawić; ale, albo to Pan Bóg zechce na to pozwolić!.. musimy już w tej ruderze żyć, póki się niezawali.

Spieszno mi, abys list jak najwcześniej dostał, więc urywam na tém i zostaję na pańskie rozkazy *ad infinitum*.

Ty, tylko mi ty nie pisz takiej melancholicznój epistoły, jak ostatnia, bo my tutaj *fidele Wianer* bierzemy świat z najweselejszej strony, a smutek nam żołądek psuje.

Ściskam cię *cannibalsch!*.. Wiesz, co jest *cannibalsch?* to najświeższy idyotyzm, który nam z języka nie złazi.

Bądź zdrów i kochaj tę pustą pałkę, co się nazywa twoim.

Józkiem Niteckim.

V.

„Do téj chwili myślałam, że pomimo poczciwego słowa, którém się pan pierwszy i jedyny odezwałś do mnie, nie zdobędę się na odpowiedź i nie potrafię napisać do pana; a jednak piszę, choć nie wiem jeszcze, czy mi nie przyjdzie ochota list ten na końcu wrzucić w ogień, zamiast do skrzynki pocztowój.

A wiesz pan czemu?.. bo czuję, że jestem śmieszną.

Zdobywam się na wielkie zaparcie mojej kobiecej ambicyi i drażliwości, przyznając się do tego, jednak tak jest, powtarzam panu: jestem śmieszną.

Jakiś francuz, zdaje się Louis Desnoyers powiedział: „*Une femme sera laide, mal faite, mechante, ignare, sotté et bête, mais ridicule presque jamais*“. Otóż nieprawda; nie jestem ani brzydką, ani złą, ani głupią, ale należę do tych śmiesznych wyjątków,

które się prawie nigdy, jego zdaniem, nie zdarzają, i jeśli czegokolwiek panom Szanie zapomnę i nie wybaczę, to tylko tego, że mnie narazili na śmieszność.

Od dwóch miesięcy przyzwyczajam się do téj myśli i nie mogę dla niéj znaleźć kącika w mojej głowie, w którejbym ją ukryć potrafiła; wyskakuje z niéj ciągle, jak ten dyabełek z pudełka i chychocze mi złośliwie, i przedrzeźnia moję śmieszność.

Może pan pożałujesz porywu dobroduszości, w jakim odezwałeś się do mnie, kiedy się panu przyznam, że nie wyrzucam sobie dzisiaj tego, co uczyniłam i jestem zrezygnowaną na wszystko. Zrzuciłam jarzmo, które mnie gniotło, do którego pokazuje się nie byłam stworzoną.

Stało się!... trzeba przyjąć konsekwencye.

Może pan mnie także potępisz za to, że porzuciłam męża, którego nie kochałam, dziecko, które kochało więcej swoją bonę, niż mnie. salony, w których mnie obmawiano, obowiązki, których nie umiałam wypełniać, a które mi żadnego zadowolenia nie dawały. opinią, która mi w oczy pochlebiała, a za plecami z każdego wyciętego trochę więcej stanika robiła śmiertelny zarzut niemoralności, świat — wasz piękny

świat, w którym trzeba grać wieczną komedią, karmić się komunałami, kłamać i oszukiwać się wzajemnie, byle z zachowaniem dobrego tonu, i szukać blichtru, aby świecić więcej od innych!..

Miałam dość waszego świata, waszych konwenansów, waszej hypokryzyi, mdlęj atmosfery cudzych salonów i własnego buduaru. Moja subretka była szczęśliwszą odemnie, bo miała więcej swobody i zadowolenia ze swego życia, ze swojej sfery i swego stanowiska, niż ja, której tylu rzeczy zazdroszczono, a któremi w głębi duszy tak często pogardzałam.

To się panu dziwném wyda, nieprawdaż?... a jednak tak było.

Pragnęłam w życiu jakiegoś wielkiego upojenia, jakiegoś czaru, jakiegoś wielkiej namiętności, jakiegoś wrażenia, czegoś, co by mi dało choć chwilę szczęścia i zadowolenia... Nic, nic, nic!.. Urodziłam się głodna tego życia, a posadzono mnie u stołu, jak tę biedną chórzystkę w operze, przebraną za damę dworu, na królewskiej biesiadzie, przy której podają półmiski paradne na oko i śliczne owoce w koszykach, a wino roznoszą w złotych dzbanach; tylko, że to złoto jest prostą blachą, bażan-

ty i kapłony z *papier maché*, owoce z gipsu a puhary puste, lub co najwięcej gazowa lemoniada pieni się w kieliszkach.

Gryzłam czerstwe suchary i popijałam je wodą na téj wystawnej uczcie.

Natura stwarza ciała, w których więzi dusze, jak Ugolino, na śmierć głodową skazane... po co? dlaczego?... w jakim celu?...

Czy pan uwierzysz, że ja nie chwile, ale lata całe miałam w swoim życiu, kiedy mnie pytania takie prześladowały nieustannie i kiedy nie mogąc znaleźć na nie odpowiedzi, buntowałam się przeciw naturze, przeciw niebu i piekłu, i światu całemu, i sobie samém!.. Tak!

Zdawało mi się, że jestem opętana i że mnie prześladowuje jakiś demon ciekawości i powątpiewania. Raz mi wpadła w ręce książka: „*La folie du doute*”—a w niej znalazłam opisane wypadki psychopatyczne o ludziach chorych, blizkich obłądu, którzy sobie ciągle zadają jakieś pytania i brną w nich coraz głębiej i zostają w końcu maniakami, których zamykają potem w domu waryatów. *C'est mon cas!* — mówiłam sobie; przez pewien czas obawiałam się, że zwaryuję, miewałam taki ucisk na mózg

i taki niepokój dziwny, a wtedy szalałam, aby się ogłuszyć, otumanić...

Ja od dziecka byłam jakąś inną; gorszą czy lepszą—nie wiem, ale *inną* od wszystkich natur, które spotykałam. Zdaje mi się, że mam w sobie zarodki wszystkich złych skłonności i wszystkich cnót, że mogłabym być dyabłem i aniołem, tylko że dotychczas wahałam się między temi dwoma krańcami, a co dalej będzie — *chi lo sa?!...*

Rodzice moi nie umieli mnie wychować, mąż nie umiał poprowadzić, los nie umiał pokierować, świat nie umiał dotąd zrozumieć, i oto wyrosło ze mnie coś dziwnego, rozbijałego, albo ja sama wiem co!..

Przeczytałam cały ten ustęp od góry i mam ochotę list podrzeć, bo wątpię, czy pan co z tego zrozumiesz. Ja sama udaję tylko, że wiem, o co mi właściwie chodzi. Jedno wiem na pewno, ach! że jestem biedna z moją głową przewróconą, mojami nerwami, moją waryacką naturą, mojami pojęciami i zasadami, czy z moim brakiem wszelkich zasad.

Albo to która z nas ma jakie zasady?.. nie wierz pan temu. La Bruyère jest sofistą, który was wszystkich, moi panowie, mógłby dziś jeszcze zakasować, ale powiedział je-

dnę wielką prawdę: *La plupart des femmes n'ont guère de principes; elles se conduisent par le coeur, et dépendent pour leurs moeurs de ceux qu'elles aiment.*

Tak, ale co mają robić te, które nie zdołały pokochać nikogo, które za wiele pod miłością rozumiały, i za wiele od niej wymagają?... które nie umiały lub nie mogły uczepić się czyjegoś serca, dość dużego, aby ich miłość i własną wzajemność pomieściło, dość silnego, aby na niem oprzeć się mogły, serca prawdziwego, szlachetnego, rozumnego mężczyzny, nie purchawki lub lalki trocinami wypełnionój?.. Co mają takie począć?.. Muszą się błąkać, jak okręt bez busoli i bez sternika, zdać się na wolę wiatru i bałwanów, lub tonąć?..

Ot, widzisz pan, znów mi wraca dawna manja pytajników.. trzeba przerwać pisanie na dzisiaj.

To jednak dziwne; zdawało mi się, że nie potrafię panu odpowiedzieć na pański bardzo, bardzo pocziwy list, a teraz jakoś mi się lżej robi przy téj pisanéj rozmowie i nie wiem czemu.. mam ochotę płakać, dużo, cicho, długo, jak małe dziecko, któremu krzywdę zrobiono.

Nie!.. nieprawda, nie wierz pan temu; zaciskam tylko zęby, że aż zgrzytają, ale to na wspomnienie, o którym—napiszę panu kiedy indziej.

O, moich łez nikt nie zobaczy—nikt!..

Muszę przerwać na dzisiaj, ale nie mogę nie skończyć uściskiem ręki dobrego przyjaciela, która się do mnie aż tutaj wyciągnęła, teraz, kiedy jestem tak sama, że nawet chwilami siebie przestaję mieć przy sobie.

Dziękuję panu.

Widzisz pan ta „zabłąkana w lesie,“ — odpowiada, choć się nie da sprowadzić na drogę powrotu. O nigdy! — lepsza śmierć.

Napiszę do pana wkrótce, ale już rozsądniej; trochę się wyżałiłam — to mi lepiej.

Lila.

P. S. Ale, ale... Na litość Bożką skąd się pań dowiedziałeś o moim adresie?. przeniosłam się umyślnie do skromniejszego hotelu i prawie *chambres garnies*, aby nie być odszukaną przez nikogo i to mnie niepokoi, żeś pan mnie znalazł. Czy w Warszawie wiedzą o tém, gdzie jestem?.. odpowiedz pan natychmiast i donieś wszystko, co by mnie obchodzić mogło.

Tylko, prawda, co mnie dziś cała Warszawa obchodził..

VI.

„Pan jesteś naprawdę bardzo dobry, że mi tak szybko odpisałeś, a ja nie jestem tak złą, jak się wydaję, że dopiero po tygodniu odpowiadam, ale wszystkiemu winien niestały kwiecień ze swoją kapryśną pogodą.

Zaziębiłam się zeszłej niedzieli na przejażdżce w Praterze i dostałam tak silnego bólu gardła, że przez dwa dni mówić nie mogłam; obawiałam się już, czy nie trzeba będzie umierać nad modrym Dunajem, zwłaszcza, że mój doktor coś bardzo wąs motał i głowę kręcił przy auskultacyi.

Że zaś niema złego bez dobrego, skorzystałam przynajmniej na tej chorobie tyle, iż mam choć jedną znajomość w tém obcém, dużém mrowisku, w którym jak kij wetknięty, sterczy wieża św. Szczepana, a do koła niej snuje się rój wiedeńczyków i wiedenek.

Dostałam gorączki i miałam wrażenie, jakby mi kto gardło watą wypchał.

Moja służąca, przerażona, rozporządziła się sama i kazała mi w nocy sprowadzić lekarza.

No, przyszedł i dobrze zrobił, bo najpierw nie pozwolił mi się udusić, a powtórę mam z kim przynajmniej porozmawiać chociaż raz na dzień. Jakiś młody, nawet dowcipny, a zdaje się bardzo zdolny człowiek, tylko brzydki do niemożliwości, ale wie o swojej brzydocie i żartuje z niej w oryginalny sposób; oczy ma tylko bystre, stalowe, jak dwa lancety i zdaje się nimi operować swoich pacjentów.

Wyobraź pan sobie, nazywa się Dr. Pollack a jest zakutym Niemcem i powiada, że to jest jednym z kontrastów, jakimi sobie losy i natura pozwalają go prześladować od urodzenia.

Bierze mnie za wdowę, która dla przewietrzenia swęj żałoby puściła się w podróż po świecie. Niech będzie, nie myślę go z błędu wyprowadzać, bo nie mam do tego żadnego powodu, a ta pomyłka ułatwia mi stosunek z nim i moję sytuację.

Wesoły szwabik!—bawi mnie i przez godzinę opowiada rozmaite nowinki ze świata

ta i anegdoty, które mnie do śmiechu pobudzają. Nie śmiałam się już tak dawno, że mu prawdziwie wdzięczna jestem za tę chwilę rozrywki.

Ale ja panu za dużo chyba mówię o moim doktorze?.. coś dziwnego! Kiedy do więźnia zamkniętego w celi wylezie mysz z pod podłogi, to zajmuje go ona więcej, niż najwspanialsze lwy na pustyni, bo to jedyne towarzystwo jego samotności.

Za kilka dni zapewne wydobrzeję już całkiem i moja mysz pójdzie sobie, zkad przyszła.

Będę znowu samą, ograniczoną do towarzystwa służącej, która jest teraz jedyną duszą oddaną mi całkowicie, tylko, że ta dusza umie jedynie słać łóżka, zaparzać herbatę, sprzątać w pokoju i upinać mi włosy, a co najwięcej patrzeć się na mnie z poza drzwi jakby ze współczuciem i od czasu do czasu wybuchnąć z cudowną irytacją: „Ja powiadam, że ci mężczyźni to gorzej psa!“..

Jėj się może zdaje, że to mnie ulgę przynosi, kiedy ona im wymyśla, a mnie się śmiać chce, gdy tego słucham. Ona nie wie, że szczytem pesymizmu jest pobłażliwość i że ja ją zdobyłam przez tę parę mie-

sięcy, w których miałam czas zastanawiać się nad sobą i nad ludźmi.

Zdaje mi się, że gdyby pan Sz. teraz przyjechał do Wiednia i rzucił się do moich nóg, wstałabym, wzruszyła ramionami i kazała mu podać szklankę zimnej wody.

Sama nie pojmuję, co się ze mną stało i że tak wielka zmiana tak rychło zajść mogła.

Wyrzuty, skargi, żale?.. Nigdy!

Dzisiaj, kiedy na zimno rozmyślam nad tém wszystkiém, mam żal tylko do siebie i do nikogo więcéj, i wyrzucam tylko sobie, że zbyt drogo opłaciłam tak prostą nauzkę. A zresztą, postanowiłam zapomnieć o wszystkiém i pamiętać tylko słowa starego Goethego, którego Dr. Pollack ma na każde zawołanie pod językiem:

Das Leben wird dich schlecht begaben,

Glaube mir's,

Sofern du willst dein Leben haben,

Raube dir's! ..

Przeczuwam, że mi pan za taką teorią wypalisz nową burę, jak za mój list ostatni, ale pan jesteś średniowieczny romantyk i idealista. To dziwna, jak wy, tak zwani, intelligentni mężczyźni, lubicie moralizować kobiety, ale każdy Savonarolla pod

swoim kapturem ukrywa różki Mefista i z kaznodziei gotów zostać kusicielem, byle mu się tylko nadarzyła sposobność capnąć zbłąkaną duszyczkę, którą z krzywej drogi chce sprowadzić na prostą, to jest—tę najkrótszą, co do niego prowadzi.

Czy pan myślisz, że ja nie pamiętam pańskich spojrzeń i półsłówek z owych czasów, kiedy jeden z pierwszych spotkałeś mnie przy wejściu w świat, na salonach i miałeś wielką ochotę pobałamucić się ze mną trochę?.. Gdybym była pana słuchała, to coż?.. byłoby się może kilka lat wcześniej to samo stało, co teraz, tylko zamiast sam—na—sam z mojami myślami byłabym siedziała teraz z panem *tête-à-tête* w tym hotelu i pytała się pana, jak pan umie w swoim liście: co dalej?..

Co dalej!.. albo ja wiem. Nie myślę jeszcze o tém; chcę przedewszystkiém wyleczyć moje gardło, a potem zobaczymy. Życie jest, jak kalejdoskop, — jedno lekkie wstrząśnienie i nowy, niespodziany obrazek. Ktoby tam obliczał z góry wszystkie kombinacye na jutro, kiedy one samo wybierze najlepszą, bo konieczną w danej chwili. I coby to pomogło!..

Czy pan nie przekonałeś się, że w życiu najczęściej rozstrzyga fatalizm, przypadek, że farsy kończą się tragicznie, tragedye, jak farsa?.. że wtedy, kiedy się nam zdaje, iż zaszliśmy bez wyjścia i uderzyli nosem o mur, którego głową nie rozbijemy po ciemku, spada z kądś nagle promień światła i widzimy ze zdziwieniem, że stoimy przed furką, nawet nie zamkniętą, przez którą najbezpieczniej można przejść na drugą stronę?..

Gdybyś pan mnie był widział owęj nocy szalonej, kiedym wyjeżdżała z Warszawy, zakutana w szubę, zawinięta woalem, jak mumia, wciśnięta w sam kąt wagonu, drżąca na całym ciele z gorączki jakiejś, nie ze strachu, czekająca tej Częstochowy, w której miałam wysiąść i na drugi dzień spotkać się z panem Sz.!..

Byłam tak pewną tego jutra, jak pewną jestem wschodu słońca po nocy.

W hotelu kazałam sobie dać numer na piętrze i nie zrzucając futra, nie rozbierając się, siadłam na jakiejś twarděj, obszarpanej sofie przy oknie i nie pozwoliwszy nawet napalić w piecu, siedziałam w zimnym pokoju i czekałam dnia.

Ona,

Za ścianą, przezedrzwi, jakieś wesołe towarzystwo fetowało aktorkę z wędrownego teatrzyku; mężczyźni musieli być dobrze podochoceni, śmiano się głośno, tłuczono kieliszki, pito raz po raz zdrowie jakiegś „panny Pepity“, która okropnie fałszywym sopranem śpiewała kuplety i zapewniała, że kocha swoich amfitryonów, wszystkich razem i każdego z osobna, bo „miłość to życie!“

Słuchałam tego wszystkiego ze wstrętem i obrzydzeniem, ale nie ruszałam się z miejsca. Co mnie obchodzić mogła ta kałuża życia za ścianą!... Jutro w południe mieliśmy polecieć w świat, jak dwa ptaki, wypuszczone z klatki.

Za oknem na tle nieba rozgwieżdżonego rysowała się ciemna masa klasztoru na Jasnej Górze i u samego szczytu wieży błyszczało czerwone światło. Patrzałam w nie i przypominały mi się czasy, kiedy jako pensyonarka po raz pierwszy była z rodzicami w tej samej Częstochowie; przeszłość ze swymi wspomnieniami i terazniejszość moja stanowiły taki jaskrawy kontrast, że niemal zaczęłam zapierać się tej

małej dziewczynki, która się tu umiała modlić na klęczkach i tak w niczem nie była więcej podobną do mnie.

Wszystkie myśli, wszystkie wspomnienia z dziecięcych lat odsuwałam gwałtem w owę chwilę, bo mi przeszkadzały; aby odwrócić uwagę od nich, słuchałam głosów i rozmowy za ścianą.

Jutro, jutro — mówiłam sobie — wszystko się zdecyduje, odmieni, ułoży. Niech tylko on przyjedzie !!...

Jutrzejszy dzień przyniósł mi telegram od niego, że go zatrzymały w Warszawie ważne okoliczności i radę, abym uciekała dalej... sama.

Gdyby mi na głowę była zwała się ta wieża cała z latarką u szczytu, nie byłabym czuła chyba boleśniejszego ciosu.

No! widzisz pan, czy warto wierzyć w jutro i czekać go, i liczyć na nie?... Niech przyniesie, co zechce, nie będę przynajmniej miała żadnego zawodu i rozczarowania.

Nie lubiłam nigdy siadać do stołu, wiedząc, co mi podadzą na obiad, dlatego mój kucharz sam sobie dysponował najczęściej

obiady; nie chcę dysponować sobie *menu* dalszego życia, aby mnie apetyt nie odszedł.

Znowu pana tém oburzę i zgorszę, prawda?.. znowu gotówes pan skrzyżować ręce, jak Hamlet i dać mi jeszcze na końcu zba-wienną radę: *Get thee to a nunnery, Ophelia!*...

Nie, do klasztoru nie pójde, to wiem na pewno.

Mimo wszystko, ja lubię pana słuchać, nawet w roli moralizatora, a wiesz pan czemu?.. — bo wierzę w pańską życzliwość. Pan masz dobrą wiarę w swoją missyą i jesteś bezinteresownym. Mój Boże, czegoż—bo mógłbyś się dziś odemnie spodziewać!.. Kto wie, czy się jeszcze kiedy spotkamy w życiu; jestem, jak muszla na morskim piasku porzucona, która czeka przy-pływu. Przyjdzie nowa fala, spłucze ją i uniesie, Bóg wie dokąd z wybrzeża.

Nie napisałeś mi pan nic o Warszawie na czterech stronicach swego listu. Szkoda!... zresztą wszystko mi jedno.

Chciałabym tylko wiedzieć, czy mój Michaś zdrow i gdzie się znajduje. Wiem, że nie tęskni za mną, bo zawsze wołał prze-

siadywać w pokoju swojej bony, niż w moim budoarze, ale — ze wszystkiego, co mi się tu w samotności jeszcze przypomina najczęściej teraz, to dziecko. Okazuje się, że macierzyństwo jest drugą naturą kobiety.

Nabazgrałam tak dużo i tak niewyraźnie, że wątpię, czy pan te hieroglify odczytasz, — ale tém lepiej, będziesz musiał dłużej mną się zajmować. •

Szczerze wdzięczna

Lila.

P. S. Mój panie, co to za kuzyn pański, który mój adres wymyszkował?.. czy to ten sam Nitecki, którego widziałam raz na balu u pańskiej ciotki, taki blondynek z baczkami?

Możeby on zajrzał kiedy do mnie, miałabym z kim pogadać. Jeśli pan uważasz że można, przyszlęj go; albo nie, zaczekajmy jeszcze.

VII.

Wiedeń den 26-sten April.

„O du mein Augustin!

„Byłem dziś u Malińskiej, jak kazałeś, przyjęła mnie trochę zażenowana, nie wiedziała z początku, co gadać, ale ja się prędko znalazłem w kropce, — i po kwadransie byliśmy *zwei gute Freunde*.

Przyszedł tam ten Dr. Pollack, o którego pytałeś. Ależ to mała brzydka!.. nosek spiczasty i trójkątny, czoło pomarszczone, jak cholewa, włosy, jak szczotka, oczki jak gwoźdźiki, wąsy nastroszone, jak u kota, a bródka—trzy włoski w pięć rzędów.

Ma kanalja tylko słiczną rękę, jak kobieta.

Szwabisko zabite, ale wygadane i cięte.

Powiada, że tak pięknego gardła, jak

Malińskiej nie zdarzyło mu się pędzlować.
Eine wahre Primadonnengurgel — powta-
rzał.

Okropnie mi spieszno, bo zaczynamy
z profesorem budowę nowego szpitala, więc
muszę pędzić do biura; ale jutro przy nie-
dzieli naskrobię ci ze dwa razy tyle.

Küss' die Hand.

Józ. Nit.

VIII.

„Szkaradna Bolączko moja!

„Tobie się zdaje, że mnie tak łatwo jest pisać, jak tobie?... mylisz się serdenko, i najniesłuszniej—*auf Ehre!*—piłujesz mnie swojemi listami o to, że ci nie donoszę nic o twojej, nie, o naszej, — i to nie, o jego pani Lili.

Dalibóg, żeby mi się tak szczytowa ściana w moim szpitalu zawaliła (Ty, to wielkie słowo!...), jeżeli nie napisałem do ciebie całego protokołu z mojej pierwszej wizyty u Malińskiej.

Jakimże sposobem tyś tego listu nie odebrał?... Musiał chyba zginąć wtedy, kiedyś wyjeżdżał do siebie na wieś; wytargaj za uszy swego służącego, może mu z jakiejś kieszeni jeszcze ten pakiet wypadnie.

Posłałem ci przecież cały manuskrypt! .. a jużbym wolał wybudować wieżę babyłońską, niż dwa razy pisać o jednej rzeczy.

Zresztą, na nic by się to teraz nie przydało; od miesiąca dużo się zmieniło, hoho!...

Ten Pollaczek, to kanalijska, nie lubi czasu tracić i choć brzydka szelma, jak siedm pawianów razem, umie się brać do kobiet.

To kłamstwo, że trzeba być przystojnym mężczyzną, aby zdobyć kobietę; trzeba być przedewszystkiem mężczyzną i znać się na kobietach.

Wiesz ty, że jak ci coś powiem, to skoczysz, jakby cię co w pięty ugryzło. Trzymaj się krzesła! trzymasz się?... mocno?... no, mogę mówić?... To słuchaj: Malińska bałamuci doktora!—albo nie, doktor bałamuci Malińską, albo czekaj—oboje się wzajemnie bałamuca.

Już ci tego dobrze nie powiem, bo mi trudno się połapać w tym interesie, ale dość na tém, że między nimi coś już jest, albo niezadługo będzie.

Podobno pies z nudów muchy łapie, ale kobieta na muchach nie poprzestaje. Ja bo na téj płci znam się coprawda tyle tylko,

że mogę osądzić, jako specjalista, która jest lepiej a która gorzej zbudowana, bo to ma niejaki związek z architekturą, jednak co za dyabeł w tych budowach mieszka, tego ci nigdy nie zgadnę.

Żebyś mnie potłukł na szaber, to nic nie rozumiem, jak można kilka miesięcy temu uciec dla takiego Izia, który jest kwadratowe bydlę według tego, co zrobił, ale przynajmniej chłop piękny, jak się patrzy, a teraz zagustować w takim orangutangu i pozwalać mu, aby nadskakiwał i robił grymasy zakochanego szympansa!... Nic a nic nie rozumiem.

Przesiaduje teraz co wieczór u niej, masz wiedzieć; chodzi z nią do teatru, na koncerta Straussowskie do Volksgartenu i na obiady do Sachera. Onegdaj spotkałem ich nawet w powozie na Opernringu razem.

Co prawda, ona go traktuje trochę *en canaille* przy trzecich osobach, podkpiwa z niego i każe mu, jak pudlowi aportować z ziemi chustkę do nosa, kwiatki, cukierki, robi z nim rozmaite szprynce a szwabik warczy, wytrzeszcza swoje zdrowe,

białe zęby, szarpie ją z lekka, ale słucha i pozwala się kunirować.

Nie założyłbym się o dwa zajdle pilznera, że jest w niej zakochany a przynajmniej zajęty po same uszy, chociaż trzyma się i wyśniewa wszelką miłość, jako rzecz, która, jego zdaniem, psuje trzy rzeczy: nerwy, wątrobę i żołądek.

Mam teraz mało czasu, aby wpadać do Malińskiej części; więc tylko dorywczo ją widuję, zwiaszcza gdy sama po mnie przysze, bo trzeba ci wiedzieć, żeśmy bardzo szybko nabrali do siebie zaufania i gdybym nie widział, cowyrabia ze swoim szwabikiem, to myślałbym, że do mnie także słodkie oczy robi i ma ochotę wziąć mnie za muchę—naturalnie z nudów.

No, w każdym razie, mam prawo z fizyonomii być podobniejszym do człowieka, niż pan dr Pollack.

Ona wie, że z sobą korespondujemy teraz części i pyta zawsze z zajęciem o ciebie; próbowała nawet mnie wybadać, czy znam bliżej jej aferę z Szanieckim, ale ja robię naiwnego i jestem niby ciemny, jak tabaka w rogu.

Z tém wszystkiém irytuje mnie ten doktor i dalipan palnę jej kiedy *verba veritatis* w żywe oczy. Bo powiedz sam, czy to wypada, żeby się porządna kobieta — (ja ją mimo wszystko za taką uważam)—kompromitowała publicznie z taką niemiecką szołdrą! A co mnie najbardziej gniewa, to, że ona na prawdę zdaje się znajdować w nim upodobanie i uważa go za interesującego faceta.

Muzykują teraz z sobą zawzięcie. To mu muszę przyznać, że gra na fortepianie, jak anioł, nie—także jak małpa, bo swojemi łapiętami skacze po klawiaturze, i wyprawia takie szopki, że mi się czasem wydaje, jakby miał cztery ręce.

No tak, ale któż dzisiaj nie gra na fortepianie!

To nie powód, aby w każdym bębniarzu zaraz się durzyć,—nieprawda?

Kiedy ci się uda szwab muzykalny, to zaraz musi grać i śpiewać w dodatku. Pan dr. Pollack ma baryton; słyszałeś?!

I znowu mnie to do wściekłości doprowadza, że przy takiej facyacie, która się

prosi, aby ją lunąć, ma wcale ładny głos i śpiewa nawet z uczuciem.

Ale to nie jego własny baryton, on udaje tylko, że śpiewa,—to brzuchomówstwo; założyłbym się, że on skrzeczy, jak żaba swoim naturalnym głosem.

Czy ty nie wiesz, dla czego ja się zólcuję bez potrzeby, pisząc o doktorze?.. Przecież on mnie nic nie obchodzi, a jednak złości mnie porywają, gdy go przy Malińskiej ciągle widzę.

Wyobraź sobie, wczoraj układali razem plany, że pójdą kiedy zwiedzać *Sehenswürdigkeiten* Wiednia i wszystko, co jest *für Fremde* ciekawego!!...

Szwabikowi aż oczy się zaświeciły, przyrzekł ją oprowadzać. On ją jeszcze do Schwendera i do Walhali gotów zaciągnąć, a ona gotowa pójść przez ekscentryczność. Zobaczysz!

Posprzeczaaliśmy się porządnie o to, czy przyzwoitej kobiecie zagranicą wolno zwiedzać wszystko, czy tylko niektóre rzeczy. Ona utrzymuje, że kobieta zagranicą podróżuje *incognito* i ma prawo poznawać świat, którego, w normalnych warunkach

nigdyby nie zobaczyła. Doktor jęj potakiwał: *so, so!.. ganz richtig!.. ganz meine Meinung!* Chciałem go już lunąć za to, ale jeszcze poczekam.

Wczoraj, kiedyśmy razem od nięj wyszli, pytał mnie, kim był téż nieboszczyk mąż pani Lili; miałem mu parsknąć śmiechem w te małe ślępia, ale się powstrzymałem gwałtem. Kiedy ją bierze za wdowę, niech się złapie. Powiedziałem mu, że nieboszczyk Maliński był fabrykantem mydełek toaletowych i zrobił na tém miliony.

Zamydliłem mu oczy, chociaż zdaje mi się, że nie dowierzał.

„*Sie muss aber vom Adel sein*“, powtarzał i unosił się nad jęj arystokracją.

„*Sagen Sie mal, ist sie wirklich eine Gräfin?*“ spytał mnie poufnie. Naturalnie, że potwierdziłem. Niech ją ma za hrabinę, co to szkodzi!

Powowiada, że dziwaczniejszej natury nie zdarzyło mu się spotkać, ale i bardziej inteligentnej; potem przez godzinę chodził jeszcze ze mną po Grabenie i zachwycał się polkami.

Ale to nic nie pomoże, ja mam do niego jakąś złość, chociaż tak w cztery oczy muszę mu przyznać, że jest bardzo miły i sprytny, wie mnóstwo rzeczy, nawet się zna na architekturze, podróżował po Włochach, Grecyi i Niemczech, lichy go nosiło nawet do Azji Mniejszej.

To mi wszystko jedno; jak mnie zirytuje — lunę go i będzie awantura.

O du, mein Gott! tom ci mojego drobnego maku nasypał!

Bądź zdrow; na dzisiaj i na cały tydzień masz dość.

Twój *Józiek N.*

IX.

„Szanownemu Katonowi z nad Wisły
szle z nad modrego Dunaju pozdrowienie
Lila—pokutnica.

„Czy wiesz pan, panie Bolesławie, że
przez dwie godziny byłam na pana śmier-
telnie obrażona?.. Ależ to Maj—*der wunder,*
shöne Monat Mai, nie Marzec i nie wielki
post, a pan chcesz ze mną rekolekcyę od-
prawiać i sumienie mi roztrząsać.

Panie, ja nie cierpię morałów — *compris?*

Przyjmij pan to za trzecie ostrzeżenie,
jeżeli mamy dalej pozostać dobrymi przy-
jaciółmi i utrzymywać naszą koresponden-
cyą. Do wad czy oryginalności mojego cha-
rakteru należało, że nie znoszę żadnego
nacisku i buntuję się natychmiast przeciw
najżyczliwszej ręce, która mnie w mojej

drodze powstrzymuje, choćby ta droga prosto prowadziła w przepaść.

Co komu do tego, gdzie ja mam ochotę kark skrócić, skoro na tém tylko moja głowa ucierpi!

Pański ostatni list zrobił na mnie bardzo nieprzyjemne wrażenie; przed kilkoma miesiącami otrzymałam już podobny od kogoś innego; leży zmięty i pognieciony w mojem biurku, a ilekroć waham się w zrobieniu jakiegś nowój waryacyi — wiesz pan co robię? — biorę go i odczytuję na nowo.

Są muchy, które do szaleństwa doprowadzają konia; dla mnie taką muchą natrętną bywa każdy morał, w imię którego zabraniają mi robić to albo tamto. Ja sama wiem najlepiej, dokąd zająć mogę i na co się narażam; ja sama mam tyle siły woli, aby się zatrzymać wtedy, kiedy potrzeba.

Jestem przekonana, że bylibyśmy dotychczas pozostali w raju, gdyby w nim nie było rośło drzewo zakazane; rozumiem Ewę i jestem w prostej linii jej potomkiem po zjedzonem jabłku. Przypuszczam nawet, że to było jabłko dzikie, twarde i kwaśne, ale smakowało dla tego, iż go skosztować zabroniono. Pierwsza kobieta była rewolucjonistką — i ja nią jestem w tym kierunku.

Ćma,

Pan masz porównania śmiałe, ale niestosowne. Ta „éma“, nad którą pan ubolewasz i o którą się pan boisz, aby nie zginęła w płomieniach, nie ma nic ze mną wspólnego.

Bądź pan spokojny, — ja jestem salamandrą, która przejdzie przez płomień w asbestowych pantofelkach, nawet nie osmalona. Upewniam pana!.. Pozwolisz pan, że siebie znam lepiej, niż wy wszyscy, którzy na mnie patrzycie i zdaje się wam, żeście przyniknęli mnie do gruntu.

Zresztą, po co tu dużo słów marnować. Jestem, jaką jestem! *voilà tout*. Nie wierz temu, mój pocziwy Katonie, aby można być innym, gdy się jest raz takim a takim.

Aby pana uspokoić co do méj przyszłości, kończę nowiną, tymczasem tylko dla pańskiej wiadomości wyłącznej: zaczęłam brać lekcye śpiewu i mam zamiar wstąpić na scenę. Kiedyś zachwycano się moim głosem i muzykalnością; dzisiaj przypominano mi to w szczęśliwą porę i... *the reste is silence* do czasu.

Bardzo być może, że skoro pokończę swoje interesa, wyjadę do Włoch jeszcze tej jesieni. Cóż pan na to?..

Pozostajemy jednak w zgodzie nadal,
prawda? — tylko pod warunkiem, że pan
przestaniesz pisywać kazania.

Pozostaw to swojemu proboszczowi...

L.

X.

„Mój Bolu! dostałem za ciebie porządną pucówkę i jestem w niełasce.

Coś ty jój tam popisał w swoim liście?... przecież chyba nie to, że ja tu wypełniam rolę jakiegoś agenta, który ci donosi o każdym jój kroku?

Jestem pewny, żeś takiego głupstwa nie palnął, ja też zaparłem się wszystkiego w żywe oczy—(ba! co za oczy!) i omal nie przysięgłem, że od kilku tygodni nie pisałem do ciebie ani słówka.

„W takim razie pański kuzyn ma argusowe oko, skoro z Warszawy widzi aż do Wiednia i śledzi tu moje postępowanie, — rzekła mi. — Nierozumiem jednak, co mu daje prawa do tego, skoro nie jest mi ani bratem, ani swatem, ani niczém“.

Gniewaj się lub nie gniewaj, jak chcesz,

ale nie mogłem wytrzymać i palnąłem jęj z miejsca:

„Ale kocha się w pani, jak student przez tyle lat! miłość daje prawa, które trzeba umieć uszanować, choćby się cały świat lekceważyło tak, jak pani!“

Myslałem, że mnie weźmie od razu za kołnierz własną łapką i wyrzuci za drzwi, ale nadspodziewanie nie zrobiła tego; uśmiechnęła się dalibóg z zadowoleniem i spytała po chwili namysłu:

„Pański kuzyn się we mnie kocha?... a zkad pan wiesz o tém? musi mieć do pana więcej zaufania, niż do mnie, skoro na seryo nigdy ze mną o tém nie mówił, nawet wtedy, kiedyśmy z sobą po kilka razy w tygodniu walcowali, a po walcu to się tyle rzeczy kobietom zwykło zwierzać!“

Mówiła mi potem, że cię zawsze uważała za swego dobrego przyjaciela, tylko żeś wobec niej miewał minę profesora zakochanego w pensyonarce, który chciałby koniecznie zachować w obec niej swoją powagę i ma ochotę zrobić miłosne wyznanie, ale zdecydować się nie może, i mówi jęj o swoim uczuciu, wykładając matematykę, w samych algebraicznych formułkach.

O ile cię znam, to tak być musiało,—daj pokój.

Ty jesteś wogóle za poważny we wszystkiem, nawet kiedy walca tańczysz, a z kobietami trzeba obcesowo, *eins, zwei, dreil... Sturmschritt!* i basta,

Dr. Pollack zarazby ci zacytował wiersz który mi powtarza przy każdym spotkaniu: *Geh' den Frauen zart entgegen, du gewinnst sie auf mein Wort, doch wer stürmt und ist verwegen,—solcher kommt noch weiter fort.*

Nie wiesz ty czyje to?... Wszystko jedno czyje, ale prawdziwe i wypróbowane.

Ja tego doktora słucham, ale coraz większą mam ochotę wsypać mu kiedy arszeniku albo jalapy do rozbratla, kiedy jesteśmy na kolacyi u „Kronprinza“ lub w „Stephanskeller“.

Wyobraź sobie, że on tu Malińskiejwerbuj już rozmaite znajomości. W tych dniach przedstawił jej jakiegoś węgry, rotmistrza od huzarów, barona von *Bassama teremtete*, czy jakoś tam, płowego blondyna, który nosi wąsiki, jak mysie ogonki, z przodu ma rzadką grzywkę, z tyłu ogromną *Lauspromenade*, jest w pasie cienki, jak osa i szablą robi tyle brzęku, jak jaki szlifierz na naszym bruku.

Najprzód co mi to za węgier—blondyn!— a potem co mi to za *Rittmeister* z grzywką i monoklem!— a nareszcie, co to za znajomość dla pani Lili—huzar!

— Będziemy razem jeździć „kouno“—odpowiedziała mi.

„Sami?“ — „Nie, z panem i doktorem, *partie à quatre*“.

No, jak ci się to podoba? Ja mam czas tłuc się dla niej na koniu, może jeszcze po Praterze, w Niedziele?... oho! *Schwamm drüber!*

Ale poczekaj, to nie wszystko.

Wspominałem ci o zachwytach doktora nad jej gardłem, pamiętasz, kiedy chorowała.

Otóż teraz po wyzdrowieniu Pollaczek wmawia w nią, że ma miliony w krtani i że mogłaby zakasować samą Patti. Okropnie się jej to podobało, kolosalnie! Po całych dniach o niczem teraz nie myśli i nie mówi, tylko o scenie. Ma ją uczyć Wildt, chce chodzić do konserwatorium, trzy razy w tygodniu bywa na operze; dostała kompletnego bzika na tym punkcie. Kazała sobie przedstawić młodego tenorka z Hofopernteatru, niejakiego Finkla, który ma troszkę krzywą głowę, co podobno u śpie-

waków jest dowodem uczuciowości, ale zresztą jest jakby stworzony na Romea lub Fausta. Naturalnie doktorek zaraz go jęj sprowadził, ale pódkpiwa z niego okrutnie, aby ośmieszyć w jęj oczach możliwego rywala.

On się zresztą sam zasypuje przed nią przy każdym odezwaniu; trzech słów nie powie, żeby jednego nie przekręcił, a od czasu do czasu górnolotnie się odzywa ni w pięć, ni w dziewięć frazesem z jakiejś opery, co robi bestyą tak komicznym, że mu wszyscy w oczy śmiechem parskamy. Za Finklem i rotmistrzem znęciło się już zaraz kilka innych baków i dwór pani Lili pomnaża się ku jęj wielkiemu zadowoleniu. Lubi być otaczaną, chce, żeby się koło nięj ktoś kręcił i żeby miała całą menażeryą prywatną dla swojej zabawy. Także gust!—ale to wada wszystkich ładnych kobiet, że chcą, aby przed niemi, jak przed jubilerską gablotką stawali przechodnie i pódziwiali nawet ci, co mają same dziury w kieszeni i nigdy jednego marnego granatka kupićby sobie nie mogli.

Oj! czy ja się nie zanadto puszczam na porównania?... ja do tego jestem, jak sroka do baletu.

Gadu, gadu, a psy w krupach. Wprawdzie dzisiaj święto, ale przyrzekłem memu profesorowi, że mu przejrzę kosztorys stajni, którą ks. Windischgraetz chce postawić dla swoich koni—i robota czeka.— Wszystko przez nią i przez ciebie. Ty mnie jeszcze na literata wykierujesz, gdy ci będę musiał walić takie łokciowe korespondencye! — żebyś chociaż płacił za to honorarium.

Swoją drogą, ja ci się przyznam, iż mi się o nią z jakąś dziwną przyjemnością pisze. Ona ma urok jakiś, który ją robi *frappante, piquante* und *interessante*, i pomimo wszystkiego, cobym jęj miał do zarzucenia, lubię ją teraz passyami.

Ale to nieszczęśliwa kobieta ze swoją naturą i usposobieniem. Coś w niej pokutuje. Żebym miał własny pałac, którybym sobie sam dla oszczędności wybudował i milion dochodu, poodsadzałbym od niej wszystkich tych durniów i... no i co? — i został zapewne największym durniem przy niej w krótkim czasie.

Et, co tam o tém gadać...

Wiesz ty, przychodzi mi myśl do głowy; (a gdzież ma przyjść?!) Przecież z téj Warszawy do Wiednia to nie tak daleko; ko-

pnij ty się kiedy choć na kilka dni do nas.
Co?.. prawda, że śliczny projekt. Jak cię
kocham, nie będziesz żałował. A potem,
kto wie, czybyś się tu w porę nie przydał.

Nie namyślaj się długo i pakuj manatki.
Możesz stanąć u mnie, będzie ci, jak
w raju na przypiecku. *Also?..*

Twój calusieńki

Józiek.

XI.

Wiedeń 16-go Czerwca.

„A widzisz, że masz rozum!.. Doskonale; przyjeżdżaj w poniedziałek courier-cugiem i pakuj się wprost do mnie: „Technikergasse Nr. 8, zweite Stiege, III Stock, Thür-nummero 4.“ Tam już służący będzie czekał i sprowadzi cię do mego biura.

Zastępuję starego szefa i nie mogę się ruszyć, inaczéj pojechałbym naprzeciw ciębie z chorągwiami.

Ach, prawda, ty chcesz być *incognito*, bez parady. Dobrze, nikomu ani słówka nie pisnę, ani mru-mru!..

Twój pomysł mi się bardzo podobał. Wyobrażam sobie, gdy cię nagle zobaczy i niespodzianie, jakie duże oczy zrobił!..

Zatem do widzenia na p. w poniedziałek.

Ogromną mi frajdę robisz. *Küss' die Hand Eurer Gnaden*".

Joseph v. Nitecki.

— I pojechałeś? — spytaliśmy obaj Boleśława, który odsunął pierwszą paczkę przeczytanych listów i odwilżył wysuszone gardło kieliszkiem czerwonego wina.

— Rozumie się, że pojechałem.

— Ach, to było wtedy, kiedyś pierwszy raz zniknął tak nagle z Warszawy i przez kilka tygodni nie wiedzieliśmy, co się z tobą stało. Przypominam sobie — teraz przypominam. Zachodziliśmy w głowę, gdzie się podziałeś, — mówił nasz muzyk, podczas gdy ja badałem twarz Bolka, ożywioną jakimś gorączkowym rumieńcem, który wspomnienia przeszłości na niej zapaliły.

Skinął w milczeniu głowę i zdawał się zbierać myśli do wypełnienia żywem słowem tej luki, jaka następowała w spisany materjał do monografii émy, a potem, zapaliwszy papierosa i bujając się w fotelu na biegunach, zaczął tak mówić:

— Pojechałem, nie namyślając się długo, chociaż to był czas fatalny dla mnie, miałem tu interesów huk, odbierałem majątek

po dziadku, trzeba było siedzieć na wsi i zjeżdżać do Warszawy, ale cóż chcecie — opętała mnie ta myśl zobaczenia jej w Wiedniu!... Siadłem do wagonu wieczorem, a po południu drugiego dnia byłem już na Technikergasse.

Józek mnie przyjął, jakbym na odsiecz Wiednia z całą armią przybywał, a tu chodziło raptem o odsadzenie jednego huzara, jednego doktora, jednego tenora i kilku innych ciurów od kobiety ekscentrycznej, pędzącej na oślep po ślizkiej drodze.

Chciałem ją zobaczyć niespodzianie wśród tego otoczenia. Zdarzyło się tak jakoś, że w Operze dawano „Walküre“ Wagnera; miała być w teatrze, a potem, jak zwykle według przewidywań Józka, mogliśmy ją spotkać na kolacyi w Stephanskeller.

Zdawało mi się to niepodobnem do wiary, co Józek opowiadał.

Żeby ta dama z warszawskich salonów chodziła wieczorami po wiedeńskich knajpach w towarzystwie ludzi prawie obcych sobie, poznanych kilka tygodni temu, z jakąś zbieraniną mężczyzu — nie! to mi się w głowie pomieścić nie chciało, choć byłem przyzwyczajony do ekstrawagancyi pani Malińskiej.

Trzeba było wam ją widzieć w tym gabinecie gotyckim,—znacie Stephanskeller?—na dole, w suterrenach restauracyi, przy długim stole w towarzystwie pp. Pollacka, Finkla i rittmajstra!...

Uważano ich tam już za stammgastów, kelner traktował *die polnische Graefin* z wyróżniającą uprzejmością, ale z pod oka filuternie spoglądał na huzara i tenorzystę, uśmiechając się zlekka z taką miną, że miałem ochotę dać mn w kark za to.

Siedzieliśmy z Józkiem przy stole w samym kącie drugiego gabinetu, niepostrzeżeni i obserwowali zdaleka tę czwórkę. Zajęta rozmową o operze, słuchająca złożliwych dowcipów doktora, i kawalerskich komplementów oficera, obojętna dla reszty swojego otoczenia, nie zauważyła nas wcale dość długo; aż przypadkiem rzuciła okiem przezedrzwi i musiała dostrzedz Niteckiego, bo przez chwilę przypatrywała mu się z uwagą, potem podniosła lornetkę do oczu, którą miała przy szyldkretowym wachlarzu i aż z miejsca powstała, poznawszy i mnie nareszcie.

Panowie w jej towarzystwie odwrócili się, nie rozumiejąc, o co chodzi, a huzar głośno zawołał:

— *Schön, das ist ja der kleine Niteckil*— i podszedł do drzwi, dając znaki Józkowi, aby się zbliżył.

Ona zaś pokraśniała cała i nie zważając na nich, wyszła z gabinetu i rękę ku mnie wyciągnęła, jakby witała najlepszego przyjaciela po kilkoletniej rozłące.

— Ależ to pan, to pan!—mówiła rozradowana i zmieszana zarazem.—Jakżeż można!... siedzimy od kwadransa naprzeciw siebie i nie podszedłeś pan do mojego stołu, kiedyż pan przyjechał do Wiednia?... dzisiaj, teraz?... co za niespodzianka! A ten szkaradny kuzynek pański, ani słówka mi nie powiedział.

Patrzyliśmy sobie w oczy i prowadzili jednocześnie drugą rozmowę, która pozostała tajemnicą dla naszego otoczenia.

Musiała zmiarkować od razu wszystko, co się we mnie działo w tej chwili; ujęła mnie za rękę i odciągawszy trochę na bok, spytała:

— Po co pan przyjechałeś? — za mną, dla mnie, prawda?... dziękuję panu.

Przymknęła na chwilę powieki i pobladła, uścisnęła mnie silniej za rękę i ożywiając się znowu, rzekła:

— Nie chcesz się pan do nas przyłączyć, i dlaczego?... co to panu szkodzi?... to ciekawe dla pana figury. Takich pan nie spotykałeś w Warszawie.

Widziała, że mi przykrość sprawia i nie nalegała więcéj.

— Ależ ja muszę, ja muszę z panem się widzieć dziś jeszcze!— mówiła szybko,— więc kiedy?... przyjdźcie do mnie z Niteckim po kolacyi. O jedenastéj będę w domu. Dobrze?... przyjdziesz pan?... no, powiedz, że przyjdiesz z pewnością! Ach, żebyś pan wiedział, jak mnie wszyscy ci głupcy już znudziili!—opowiem panu to wszystko. Więc dzisiaj za pół godziny, dobrze?... ale koniecznie. Ja nie chcę czekać do jutra!..

Rzuciła mi spojrzenie jakby błagające i odeszła szybko do swoich towarzyszy, którzy zadziwieni, podejrziwém okiem przypatrywali mi się zdaleka i badali Niteckiego, com zaczął.

Nie dojedliśmy kolacyi z Józkim i wyszli wkrótce potém.

Za pół godziny byliśmy u niéj w domu.

Andzia aż krzyknęła z radości, i w rękę mnie pocałowała w przedpokoju.

— Pan z Warszawy, mój Boże!—powtarzała, przypatrując mi się świecącemi oczkami.

— A co tam słychać u nas?...

Tak się dziewczyna ucieszyła moim widokiem, jakbym był conajmniej jój narzeczonym.

Wpuściła nas do saloniku i zapowiedziała, że pani zaraz wyjdzie, tylko się przebierze. Skłamała bez zająknienia, pani nie było.

Ten salonik zrobił na mnie odrazu złe wrażenie; znać w nim było charakter *chambre garnie*, w którym zmieniają się lokatorzy, a jeszcze bardziej lokatorki, umeblowanie z pretensją do wytworności, co to przypomina tandetę; jedynie trochę świeżych kwiatów w żardinierkach przy oknie i w majolikowych wazonikach pod lustrem dawało mu pozór prywatnego mieszkania. Zresztą czuć było atmosferę hotelową, a po wykwintnych apartamentach pani Lili w Warszawie, ten buduar, udający salon, wynajmowany z doby na dobę, raził mnie ze względu na lokatorkę, niewypowiedzianie.

Na pianinie leżało mnóstwo nowych nut, na stolikach sporo książek—najwięcej w złotych okładkach, po których zdaleka już poznać francuzki romans; na kanapie duże *in folio* wydanie „Przemian“ Owidyusza z ilustracyami, bardzo klassycznymi w wyborze tematów i nagości figur.

Machinalnie odwróciłem pierwszą kartę i przeczytałem: *ex libris, Dr. Pollack.*

Sprytny ptaszek,—pomyślałem,—pożycza jej dzieła, w których zapisuje dla zmysłów podniecające środki...

Ta książka z biblioteki pana doktora więcej mnie pouczyła, niż wszystkie listy i opowiadania Józka Niteckiego.

Na alabastrowej, obtłuczonej paterze leżało kilka wizytowych biletów z zagiętymi rostkami z herbem pana barona „Giulay de Batihany“, rotmistrza huzarów armii austriackiej, i z nazwiskiem Aloizego Anastazego Finkla, nadwornego śpiewaka jakiegoś tam Książęcej Mości dwudziestego piątego rzędu z rozbitej Rzeszy niemieckiej.

Na samym wierzchu leżał mały bilecik marmurkowany o złotych brzeżkach, z nazwiskiem: Milli Pinck.

Pokazałem go Józkowi z zapytaniem:

— Któż to znowu?..

Wzruszył ramionami z niechęcią:

— To najświeższa znajomość; śpiewaczka operetkowa z Karl-teatru.

Ładna paczka! i to wszystko *à conto* przyszlęj karyery artystycznej!

Siedziałem, jak na rozpalonych węglach; chciałem już jak najprędzej zobaczyć ją, wziąć za obie ręce, wstrząsnąć i zbudzić, jak lunaticzkę, która śpi z otwartymi oczyma i nie widzi, na jaką spadzistą drogę weszła. Chciałem się z nią rozmówić stanowczo, przedstawić jej całe niebezpieczeństwo, na które samochcąc się naraża i zaproponować jej rzecz szaloną, ale uczciwą; chciałem wyznać jej, że ją kocham, i że jestem gotów ożenić się po otrzymaniu rozwodu, aby tylko nie dać jej spadać coraz bardziej...

Zdawało mi się, że powinna przyjąć moją rękę, rękę przyjaciela i mężczyzny, który przez lata całe chował dla niej tajoną miłość i ani razu w dawnych warunkach nie próbował zbliżyć się w roli gacha, w jakiej tylu innych ją otaczało, myśląc tylko o sobie i o zadowoleniu własnem.

Teraz sytuacja była zmienioną; teraz ja występowałem, jako poważny konkurent, i poniekąd jako wybawiciel kobiety, która tak fatalnie przerachowała się w życiu i była na drodze do zupełnego bankructwa.

Tak jest, byłem gotów ponieść największe ofiary, aby przywrócić jej legalną wolność i ożenić się z nią, mimo wszystko,

pomimo porzucenia męża i całej awantury z Szanieckim i całej téj menażeryi wiedeńskiej.

Trzeba kochać, aby to zrozumieć.

Powiadają, że miłość, która trzeźwo rozumuje, przestaje być miłością. Albo to prawda!.. Kiedy się kocha bardzo i prawdziwie, to się kocha nawet wtedy, chociaż rozum, jak prokurator oskarża nieustannie i potępia, a serce jak adwokat broni i odpięra wszystkie zarzuty i wygrywa zawsze sprawę na końcu, ale rozum z kodeksem w ręku nie daje się przekonać i apelacyą zakłada. On swoje, ono swoje—spierają się, zbijają wzajemnie, skaczą sobie do oczu przed kratkami, ale po najzaciętszej rozprawie biorą się pod ramię i wychodzą w największej zgodzie... pod okna kochanki czy kochanka.

Czekaliśmy dość długo na to przebieganie się i siedzieli w saloniku sami, rozglądając się po meblach i po ścianach, ale jakoś nie wychodziła; nareszcie drzwi od przedpokoju odskoczyły szybko, i wpadła do nas w kapeluszu i okryciu, wzburzona widocznie i zdyszana, starając się ukryć swą irytacyą.

Nie podała nam nawet ręki w roztargnieniu, tylko zaczęła zrzucać z siebie kapelusz, zarzutkę, rękawiczki i mówić bezładnie jedno po drugim:

— Długo tu siedzicie?.. przepraszam panów bardzo, ale nie mogłam pomimo najlepszej chęci... Dlaczego Andzia lampy dużej nie zapaliła!.. Pfu!.. jak mi gorąco... Andzia! gdzie ty siedzisz... Lampa!.. podaj mi syfon!.. Nie napijecie się także wody sodowej?..

Nurtowało ją coś i kotłowało się w niej nieustannie; była pod wrażeniem czegoś, co ją musiało do głębi wzburzyć, potrzebowała wybuchnąć, ale ją jeszcze moja obecność krępowała.

Józek ją wprost zapytał:

— Panią coś spotkało nieprzyjemnego?

— Nie, nic, dzieciństwo, bagatelka!.. — zaprzeczyła machinalnie, ale ustać nie mogła na miejscu; podeszła szybko do okna i zapuściła roletę jedną i drugą, potem zadowolona, rzekła jakby do siebie:

— Ten waryat gotów tu jeszcze wpaść na górę!..

Służącej po cichu kazała drzwi zamknąć i nikogo nie wpuszczać.

Żebyście wiedzieli, jak mi ta scena przykłą była; zacząłem się domyslać czegoś i chociaż jednego słowa nie zdążyłem do niej jeszcze przemówić, chcąc ją wybawić z kłopotu, rzekłem:

— Pani Lilo, możesmy przyszli nie w porę?.. powiedz pani szczerze, odejdziemy w tój chwili i jutro, o którój pani pozwoli...

— Ale nie, nie, — przerwała mi gorączkowo — nie odchodźcie, zostańcie, proszę was; zróbcie to dla mnie, zwłaszcza teraz.

Zwróciła się nagle do Józka i jakby mnie tam wcale nie było, zaczęła mu się zwierzać:

— Wyobraź pan sobie, miałam przed chwilą scenę na kurytarzu z tym postrzelonym waryatem... Chciał koniecznie przyjść tutaj i zobaczyć, kogo przyjmuję. To doskonałe!.. jakby mi nie było wolno przyjmować kiedy i kogo mi się podoba. Kontrola!.. jakiem prawem?.. Ależ to natrętny arrogant!.. Rozeszliśmy się, chyba na zawsze. Co pan powiesz na to, chwycił mnie za rękę i ścisnął tak, że pewnie siniec mieć będę—o patrz pan. Nie wyobrażałam sobie, że on do tego stopnia jest narwany. Nie chciał mnie puścić; formalnie przemocą mnie zatrzymywał.

Słuchaliśmy obaj jęj opowiadania z coraz więkším zajęciem. Józek nie mógł się odrazu połapać, chociaż był bardziej wtajemniczony w jęj stosunki.

— Ależ kto, kto taki?.. — pytał z oburzeniem.

— No któżby inny, jeżeli nie doktor! — wybuchnęła z irytacją.

— Pollack!..

— A naturalnie.

Zaczęła chodzić po pokoju z rękoma w tył splecionemi i prowadziła niby monolog z sobą, a niby objaśniając nas:

— To wszystko skutki nierozwagi... Za dużo sobie taki pan doktor pozwala... Że go przyjmuję i dopuszczam do mego towarzystwa, to jeszcze nie powód, aby się mieszał do moich wizyt i stosunków, a to zkąd?.. ja nie jestem obowiązana nikomu składać rachunków z moich czynności, nikomu w świecie!..

Patrzałem na nią ze smutkiem i ciekawością. Zatrzymała się nagle przedemną i wyciągając ku mnie obie ręce, odezwała się zmienionym tonem, jakby jęj na myśl przyszło dopiero teraz, że u nięj jestem:

— A pan słuchasz tego wszystkiego i nie rozumiesz, prawda?.. to śmieszna hi-

storia!.. ja panu to wszystko od początku opowiem, ale teraz muszę się trochę wyburzyć. Tak się cieszyłam na pańską wizytę i tak mi się moja radość zepsuła!.. Mnie się zdaje, żeśmy się nawet nie przywitali, prawda?.. ale bo też wpadłam, jak bomba. No, jak się pan miewasz?..

Uśmiechnęła się i w jednej chwili zniknął chmurny mars z jej twarzy; uściśnęła mi rękę gorąco i życzliwie, a Józka z pewną przyjazną poufałością pogłaskała, jak dzieciaka pod brodę, mówiąc do mnie:

— Ten pański kuzyn to pocziwa dusza; patrz pan, jak się naszczurzył,—on gotówby w tej chwili pójść za mnie połamać wszystkie żebra doktorowi.

Wróciła jej odrazu cała równowaga i dobry humor, zaczęła się śmiać i dowcipkować na ten sam temat, który przed chwilą traktowała z takim oburzeniem.

-- Bo trzeba panu wiedzieć,—mówiła do mnie — że ten biedny Eskulapik kocha się na zabój i wyobraża sobie, że to dosyć, aby mi się podobać. Zabawni ci mężczyźni!..

Zacięła usta i spoważniała nagle, spojrzawszy na mnie.

— Ale ja tego panu mówić nie powinienam,—rzekła;—pan jesteś z kopalnej epoki serca, człowiek nie dzisiejszy.

Pomimo jej humoru rozmowa się nam nie kleiła, pomimo pozornej swobody byliśmy krępowani, — i obchodzili ostrożnie wszystkie drażliwsze tematy.

Ani razu nie wspomniała o Warszawie.

Czekałem umyślnie tego zapytania, ale widocznie nie chciała przy Niteckim poruszać historyj warszawskich. Kilka razy powtarzała mi tylko:

— Ach, jak to dobrze, że pan przyjechałeś, jak to dobrze!.. będę się miała z kim wygadać za wszystkie czasy. Musisz mi pan cały wolny swój czas poświęcić w Wiedniu; mam tyle, tyle z panem do pomówienia!..

Uważałem, że spoglądała na mnie badawczo, a jednak spuszczała oczy, gdy się nasze spojrzenia spotkały.

Józek, sprytniejszy, niż przypuszczałem, chciał kilka razy odchodzić i zostawić nas samych, ale go zatrzymywała niezdecydowana, mówiąc:

— Nie, nie, zostań pan jeszcze chwilę, pójdziecie razem z panem Bolesławem.

Podchodziła do okna i starała się z poza rolety zobaczyć, co się dzieje na ulicy.

— Jestem przekonana—mówiła— że ten narwaniec doktor szpieguje mnie i robi mi fensterpromenadę o północy. A zresztą, co mnie to obchodzi!..

Nie myliła się; wyszedłszy od niej, spotkaliśmy mężczyznę jakiegoś z podniesionym kołnierzem, w cylindrze nasuniętym na oczy, który stał na rogu ulicy i pilnie przypatrywał się nam z drugiej strony chodnika.

Józek poznał w nim doktora i chciał koniecznie podejść do niego.

— Mój drogi, ja mu zrobię awanturę!—prosił się, jak dzieciak i laską wymachiwał w powietrzu.

Mitygowałem go całą mocą.

— Jakiem prawem? — pytałem — jakim prawem?

— *De jure caduco!*—odpowiadał.

Domyślicie się, iż obaj téj nocy oka nie zmrużyliśmy prawie.

Na drugi dzień poszedłem do niej o południu; zastałem ją smutną, kwaśną, z bólem głowy, zdenerwowaną, jak z krzyża zdjętą.

— Mów mi pan o Warszawie, — rzekła zaraz po przywitaniu. Siadła obok mnie na kozetce, ręce włożyła w szerokie koronkowe rękawy szlafrocza, głowę spuściła i z tą swoją pionową zmarszczką na czole słuchała.

Rolety były pozapuszczane jeszcze od nocy, firanki także, siedzieliśmy prawie w wieczornym zmroku, chociaż to było południe i na dworze, słoneczny, pogodny dzień letni.

— Mów mi pan wszystko, wszystko! — szeptała z naciskiem—nie ukrywaj niczego.

Nie było w niej jakoś ani śladu tego krnąbrnego i buntowniczego ducha, który zwykle z jej listów przemawiał do mnie; wydała mi się przygnębioną, spokorniałą, taką, jakiej sobie nigdy nie wyobrażałem.

Nie robiła żadnych uwag, oczu nie podnosiła, słuchała tylko i od czasu do czasu przerywała mi cichém zapytaniem:

— A mój mąż?.. a Michaś?.. rodzice jeszcze w Warszawie?.. a pan... S?..

Nie miałem jej wówczas wiele do powiedzenia; wszystko to dawało się streścić w krótkich słowach. Mąż zwinął dom i przeniósł się z dzieckiem na wieś, rodzice wyjechali do siebie, świat przestał się nią

zajmować i nie wspominał nawet jej nazwiska, letni sezon rozbił towarzystwa, zamknął salony, opróżnił miasto; najważniejsza wiadomość mogła być dla niej najdotkliwszą. Szaniecki — jak powiadano — wrócił do Polewiczówny; brat go pojednał z dawną narzeczoną i nawiązał znowu zerwane stosunki.

Myślałem, że to na niej zrobi większe wrażenie.

Syknęła cicho, przycięła dolną wargę i na chwilę spuściła powieki, a potem ironiczny jakiś i pogardliwy uśmiech wykrzywił lekko jej usta.

— Spodziewałam się tego, — rzekła po chwili, wzruszywszy ramionami i jakby ją dreszcz przejął, wsunęła głębiej ręce po łokcie w swoje szerokie rękawy, i nogę założywszy na nogę, siedziała nieruchoma.

— No i co dalej, co dalej?—pytała — to już wszystko?.. i nic więcej, nic więcej?..

Spodziewała się usłyszeć odemnie jakieś nowiny ważniejsze; wyobrażała sobie, że tam po za nią pozostały jakieś większe ruiny, jakaś większa pustka, jakiś większy brak i z jakimś przykrém zdziwieniem zawodu przekonywała się, że tak nie było.

Oderwała się, jak liść od drzewa i wiatr

ją uniósł, a drzewo zostało w swoim miejscu; to się jęj niepojętém wydawało i to ją drażniło w głębi duszy, chociaż nie chciała się z tém zdradzić.

— Nic więcej?.. nic więcej?..—powtarzała raz po raz, jakby nie dowierzając moim słowom; potem podniosła się nagle, szybko, wyprostowała i z jakąś gorzką rezygnacją machnęła ręką: „mniejsza o to“—twarz jęj miała przez chwilę wyraz brzydki, zły, podrażniony. Przeszła się po pokoju, zerwała kwiatek z wazonika i z roztargnieniem oskubała go z różowych listków, przesiewała je z dłoni w dłoń i całą garść cisnąwszy potem w powietrze, jakby to były jęj myśli starte na plewy, wróciła na swoje miejsce przy mnie i rzuciła się na kozetkę.

— No, a teraz powiedz mi pan coś o sobie! — rzekła — mój rozdział zakończony. Nieszczególna powieść!..—dodała z ironią;— po coś pan przyjechał do Wiednia?.. Albo nie, ja pana wyręcę, to będzie lepsze.. Ja za pana odpowiem, dobrze?..

Położyła mi dłoń swoją zimną na ręce i namyslała się, jak zacząć.

— Jesteśmy zbyt rozsądni, oboje — rzekła wreszcie—abyśmy przed sobą mieli od-

grywać komedią, zwłaszcza w dzisiejszych warunkach. Po co?.. dlaczego?.. w jakim celu? Pan mnie kochasz... wiem o tém. Nie chcę udawać, że tego nie spostrzegłam, że tego nie wyczytałam między wierszami pańskich listów, że mi o tém wreszcie wprost nie powiedział Nitecki i że mi pański przyjazd do Wiednia tego nie potwierdza. Pan mnie kochasz, chociaż mi tego wyraźnie nie powiedziałeś nigdy — pan jeden z mojego całego otoczenia dawniej i dzisiaj!.. dawniej przez skrupulatność honoru, dzisiaj przez nieśmiałość i niepewność, jaką w panu zbudziło moje otoczenie, które ci się dziwnem wydawać musi. Prawda?.. A jednak tylko miłość i to miłość rzadka u mężczyzn, bo uczciwa i bezinteresowna sprowadziła pana aż tutaj za mną. Jako człowiek uczciwy i człowiek honoru nie przyjeżdżasz pan skorzystać z sytuacji, po awanturkę przelotną z mężatką skompromitowaną, — a wiesz dobrze, że morały na nie się nie przydadzą i że naprawić nie potrafią tego, co się stało. Ja do Warszawy z panem, z pańskiej namowy nie wrócę; zresztą, jak pan sam widzisz, nikt się więcej o to nie stara. Wzgardzono widocznie złąkaną owieczką, machnięto ręką i po-

zwolono jęj—zginąć na bezdrożach. Przyjechałeś pan zatem zobaczyć mnie, rozmówić się ze mną w jakimś celu poważniejszym. Kto wie, czy i tego celu się nie domyślam. W téj samęj chwili, w której mi pan zrobisz swoje miłosne wyznanie, ofiarujesz mi nie tylko swoje serce, ale i swoje nazwisko; powiesz mi to, czego mi nikt nigdy nie powiedział, starając się o moje względy: „zostań moją żoną, chcę cię posiadać legalnie, chcę postąpić z tobą uczciwie!..“ Każdy z was jest gotów bałamucić najuczciwszą mężatkę, ale jeden na tysiąc zaledwie chciałby przyjąć na siebie całą odpowiedzialność takiego romansu i albo od niego się cofnąć, nie podkradając żony bliźniemu swemu, albo postarać się o nią, jak o żonę jawną, nie jak o skrytą kochankę. Ja mam swoją opaczność, przewróconą moralność, ale ją mam, a ze wszystkich wad ludzkich potępiam najbardziej hypokryzyą, obłudę, fałsz i udawanie zarówno w mężczyznach, jak i kobietach... Przyznaję, że pan jesteś tym wyjątkiem z tyśiąca; przychodzisz traktować ze mną uczciwie i otwarcie chcesz mi powiedzieć: „Pani Lilo, kocham panią i proponuję ci małżeństwo ze mną,“—czy tak?.. zgaduję pańskie myśli?..

Głosu mi zabrakło w krtani, uścisnąłem jęj rękę i tylko skinieniem głowy potwierdziłem.

— Widzisz pan, — mówiła dalej z tym samym spokojem — że przenikam lepiej pańską naturę, niż pan moję. A więc odpowiem panu również otwarcie i szczerze: panie Bolesławie, to niemożliwe. Najpierw, prawnie należę jeszcze do innego; rozwód jest w naszych warunkach rzeczą bardzo wątpliwą i daleką w najlepszym razie. Ale przypuśćmy nawet, żebym go uzyskała, — możeby się znalazły potrzebne do tego warunki — dodała z lekkim naciskiem — to jeszcze pozostanie największa przeszkoda... we mnie saméj. Czyś się pan nad tém nie zastanowił, że tak szalona natura, jak ja, jeżeli zrzuca z siebie jedno jarzmo, to nie dla tego, aby dobrowolnie wkładać znowu drugie?.. Widzisz pan, ja nie staram się okazać lepszą, niż jestem w oczach pańskich. Ja panu otwarcie powiadam, że nie potrafiłabym dać panu szczęścia, jakiego się spodziewasz, — nie tylko panu, ale zapewne nikomu. O ile siebie znam, nie znoszę żadnych więzów, jak znarowiony koń, — muszę żyć na swobodzie, albo się unoszę, buntuję, zrywam wędzidło i biada temu

który mnie poskromić pragnie!.. To nie-szczęście, zapewne—ale jest się taką, jaką się jest... Jestem wobec pana tak szczerą, jak wobec nikogo w życiu nie byłam, bo liczę na to, że mnie pan lepiej od innych zrozumiesz. Niéma we mnie ani cienia zwyczajnej banalności dzisiejszych kobiet. Nie wiem, czy jestem złą, czy dobrą i mniejsza o to—jestem sobą. Nic mnie nie obchodzi moralność i opinia waszego świata, robię to, co w danój chwili zrobić chcę i basta... Widzisz pan, jak się odsuwasz odemnie jak w panu walczą teraz dwa uczucia wręcz przeciwne: jedno, które pana do mnie przyciąga całą mocą, a drugie, które pana gwałtem odpycha i wstrętem przejmuje,—prawda?.. przyznaj pan, że prawda. Ja się tém ani obrażę, ani zdziwię. To całkiem naturalne. Ale pomyśl pan, że w takich sprzecznościach musiałbyś spędzić całe życie przy moim boku, gdybyś został moim mężem; musiałbyś się zszarpać i ztargać w miłości dla szalonej istoty, której żaden mężczyzna całkowicie opanować nie potrafi. Gdybym pana nawet szalenie kochała, nie umiałabym się zmienić i przewyciężyć dla tego uczucia i tém bardziej dręczyłabym cię bez litości, a w końcu znienawidziła tém

więcej, im bardziejby mi miłość ta ciążyła. To panu trudno przyjdzie zrozumieć, prawda? — a jednak tak jest. Zostańmy przeto tylko przyjaciółmi. Kobiety w ogóle nie miewają przyjaciół i dlatego taki stosunek, jako rzadszy, podoba mi się więcej od miłości. Ja w ogóle mam o was wszystkich wyobrażenie bardzo niepoehlebne; lubię was passyami, ale lubię jak... jak winogrona, które można skubać po gronku i łupiny odrzucać. To się panu wydaje cyniczném, co mówię?.. Trudno, mam chwile szczerości i mówię prawdę, a mówię dlatego, aby pana przekonać jak najgłębiej, że małżeństwo nasze jest niepodobieństwem i byłoby niebezpieczném ryzykiem z pańskiej strony, które musiałbyś zbyt drogo opłacić w życiu. Zostańmy, jak jesteśmy, — to moja szczerza, dobra, przyjacielska rada i jedyna panie Bolesławie w naszych warunkach.

Słuchałem tego wszystkiego zmartwiał jakiś, patrząc się na nią z dziwną mieszaniną uczuć, których pogodzić nie umiałem w sobie; serce mi drętwiało w piersiach, a głowa płonęła, jakby ją iskrami obsypywano.

— Ach, nie mów pani tak! — przerwałem jej nareszcie, zrywając się z miejsca — prze-

cież to wszystko jest potworne, co mówisz. To wszystko może się okrutnie zemścić na pani w życiu, bo jest pogwałceniem praw i pojęć najświętszych serca i sumienia ludzkiego. Kto pani podszeptał takie teorye, kto pani zepsuł duszę tak młodą jeszcze, a już tak przestarzałą?

Wybuchnęła śmiechem gwałtownym i spojrzała na mnie z demonicznym sarkazmem, wołając:

— A widzisz pan, a widzisz!.. i panu się zachciało zostać moim mężem!.. to zabawne. Masz pan słusność—dodała, urywając nagle ten śmiech szkaradny — ja mam w sobie duszę przestarzałą, ale pan jęj odmłodzić nie potrafisz, ani pan—ani nikt... Cóż pan chcesz, natura rodzi zarówno zdrowe, jak i jadowite grzyby; te drugie zwykle bywają nawet piękniejsze, ale są trucizną. Nie należy ich zrywać ani nawet dotykać. Ostrzegłam pana przed sobą; wiesz teraz, co ci zrobić należy.

Spojrzałem na nią surowo i spytałem:

— A czy pani wiesz, co się zwykle robi w lesie, spotkawszy grzyb jadowity?

Wzruszyła ramionami lekceważąco i odrzekła mi:

— Rozdeptuje się go nogą.

— A tak!...

Uśmiechnęła się ironicznie i patrząc mi w oczy wyzywająco, całkiem spokojnie powiedziała:

— To go pan rozdepcz.

Aż mi ciarki przeszły po grzbiecie i wzdrygnąłem się, jakbym się oko w oko spotkał z gadziną.

— Pani wiesz, że ja tego nie uczynię, bo mi panią żal—szepnąłem, -- ale znaleźć się może taki..

— Co nogą kopnie muchomora?—dokończyła szyderczo i machnęła ręką w powietrzu;—et, mój panie, przedtém wpierw całe stada muszek trupem padną.

Moja uwaga wszelako zasępiła ją na chwilę. Splotła ręce nad głową i siedziała jakiś czas milcząca, zatopiona w myślach, a widząc, że pod wrażeniem rozmowy z nią, usiadłem w drugim kącie saloniku i zakryłem sobie twarz rękoma, podeszła do mnie sama i odrywając mi dłonie od oczu, rzekła:

— No, daj pan pokój smutnym myślom; skorośmy się porozumieli, możemy teraz porozmawiać, jak dobrzy przyjaciele.

Nachyliła się nademną i pocałowała mnie zlekka w głowę.

Schwyciłem ją za ręce i zacząłem je okrywać pocałunkami, jak szalony, łyzy miałem w oczach, gorycz w ustach, płakałem, zaklinałem, aby mnie wysłuchała, przedstawiałem wszystkie niebezpieczeństwa téj drogi, na której sama się naraża, mówiłem jej o mojej miłości, w imię której chcę ją ratować, przysięgałem, że ją uszczęśliwię i otoczę wszystkiem, czego tylko zapragnie, byle chciała zostać moją żoną i zgodziła się na rozwód.

Słuchała tego cierpliwie, nie przerywając, ale patrzała na mnie z politowaniem, ręką przegarniała moje włosy i zdawała się myśleć o czémś inném.

— Nie, mój drogi panie Bolesławie — przerwała mi wreszcie z westchnieniem — to wszystko tylko piękne, pocziwe słowa, ale z tego nic nie będzie. Ja mam zresztą inne już cele przed sobą. Zobaczysz pan, wkrótce będą mówili o mnie w całej Europie; zdobędę sławę i rozgłos, zaćmię wszystkie gwiazdy, stanę tak wysoko, że mi do kolan nie dosięgną... Sama, o własnych siłach!... Zobaczysz pan, co ze mnie wyrośnie.

Zaczęła potem rozwodzić się szeroko o swoich planach i zamiarach na przyszłość,

i mówić, zapalając się, o swojej karyerze primadonny, o przyszłych tryumfach, o laurach, któremi zaścielał jej kiedyś drogę życia.

Przez pół otwarte drzwi wsunęła głowę Andzia i tajemniczo szepnęła:

— Proszę pani... znowu przyszedł. Wpuścić czy odprawić?

— Odprawić!.. nie przyjmuję ani dziś, ani jutro, ani nigdy!..

Zerwała się, jak pantera, poskoczyła do drzwi i zamknęła je z passyą na dwa spusty, klucz wyjęła z zamku i schowała do kieszeni. Zdawało jej się, że zrobiła coś heroicznego; miała taką minę, jakby się chciała wysadzić w powietrze razem ze mną, byle tylko nie wpuścić zgrzytającego zębami za progiem doktora. Była oburzona wczorajszą sceną zazdrości, którą jej zrobił z mego powodu.

Zwróciłem jej uwagę, że sama jest winną, bo po co go było ośmielać do siebie i dawać mu jakieś urojone prawa?..

— Kobieta rozsądna i przyzwoita potrafi zawsze utrzymać mężczyznę na takiej granicy, na jakiej zechce — powiedziałem jej otwarcie; — nie trzeba nawet pozorami obiecywać więcej, niż się może lub pragnie dotrzymać.

— Ach, to by trzeba zamknąć się w klasztorze, lub umrzeć z nudów! — odpowiedziała mi. — W tém właśnie, że się was za nos wodzi, jest kara dla waszój zarozumiałości i łatwowierności, a dla nas jedyna rozrywka.

— Ale to zabawka niebezpieczna i niegodna uczciwój kobiety.

— Eh, mój panie, — odrzekła — ta wasza mieszczańska uczciwość jest śmieszną, powtarzając, jak papuga w kółko: „nie wolno“, „nie wypada“, „nie uchodzi“. Życie jest i tak szare i jałowe samo w sobie, po co je jeszcze bardziej obrzydzać!.. Co w tém za nieuczciwość, że się śmiesznych dudków na lep łowi?.. Jesteście królami stworzenia, macie rozum, macie wolę, macie doświadczenie, nie dajcie się!.. Chciałabym choć raz w życiu spotkać takiego, któryby się umiał bronić i oparł się pięknej i sprytnój kobiecie!.. Kiedy się zdarzy między wami jaki Achilles, to wcześnieź lub późniź sam podstawī swoję pięte, aby go zranić i wziąć z honorami w niewolę. Znałam już i takich. To nudne w końcu. Wiesz pan, dlaczego passyami lubię orzechy?.. dlatego, że je wpierw gryźć

potrzeba; gdyby mi je podawano tłuczone, nie wzięłabym żadnego do ust.

Wyszedłem od niej po tej rozmowie z bólem głowy; chciałem tego samego dnia jeszcze wyjechać z powrotem do Warszawy, straciwszy nadzieję, aby mi się udało ją przekonać. Wszystko, co mi mówiła, odsłaniało w niej jakąś straszną chorobę duszy i przedrażnienie nerwów; miewała takie odpowiedzi, akcenta, spojrzenia, przy których dreszcz mnie przechodził. Nabrałem wtedy przekonania, że nie znałem jej dobrze przedtem, nie umiałem przeniknąć tak, jak teraz i zdawało mi się chwilami, iż do tej samej kobiety, którą kochałem, uczuвам niemal odrazę; ale wówczas powiadałem sobie na jej obronę:

— Nie, to nie mogą być jej prawdziwe zasady i przekonania, to nieszczęsna jakaś poza, to udawanie gorszej, niż się jest w istocie. Czekajmy jeszcze, badajmy lepiej, nie sądźmy z samych pozorów. Słowa kobiety pryskają często, jak iskry z pod młota, zaświecą, rozprysną się w powietrzu i gasną.

Wybierałem się tak codziennie z tego Wiednia i codziennie zostawałem, jak na uwięzi; trzeba było szarpnąć, zerwać tę

jakąś niewidzialną siatkę, która mnie zagarniała ku niej i przytrzymywała, jak rybę w więcierzu, ale nie miałem na to siły. Wiedziałem, że skoro raz wyjadę, nie wrócę więcej, — nie będzie po co wracać; więc siedziałem.

A ona, jakby to czuła, starała się być bardziej uroczą i czarującą, niż kiedykolwiek; całe dni prawie spędzaliśmy razem, codziennie wyjeżdżaliśmy we dwoje za miasto, po za linją, jadaliśmy obiady w zamiejskich restauracjach pod gołym niebem, w ogródkach, z których roztaczał się wspaniały widok na całą panoramę Wiednia, robiliśmy wycieczki na Kahlenberg, do Badenu, do najbliższych stacyj i wracali statkiem, albo pociągiem późno wieczorem dopiero do domu.

Najczęściej towarzyszył nam w tych ekskursjach Józek, jako przewodnik, znający doskonale miasto i okolice.

Zdarzały się wówczas chwile, w których pod jej urokiem, zapominałem o wszystkim i dawałem się oślepić złudzeniu, że jestem szczęśliwym narzeczoną i odbywam jakąś rozkoszną podróż przedślubną. Ona olśniewała nas obu swoim humorem i dowcipem, szalonymi pomysłami, jakie jej do

głowy przychodziły; miała dar zjednywania sobie ludzi i zawierania znajomości. Od małego dziecka na drodze, do garsonów w restauracjach, do spotykanych pasażerów w wagonie lub na pokładzie parowca, do przekupek przy straganach, wszystko ją zajmowało, przyciągało, rozciekawiało, z każdym po kilku słowach była już zaznajomioną i każdego w właściwy sposób umiała sobą zainteresować.

— Pani kokietujesz świat cały!—powtórzał jej Józek, załamując zkomiczną grozą ręce.

— To się u pana nazywa kokieteryą?—pytała z udaną naiwnością; — nie wiedziałam o tém.

Miała coś takiego w twarzy, w ruchach, w spojrzeniu, że zwracała na siebie uwagę wszędzie; na ulicy odwracali się za nią mężczyźni, w Volksgartenie i Stadtparku oficerowie chodzili za nią, jak za jakim feldmarszałkiem; brząkając szablami i potrącając się łokciem, wskazywali ją sobie, jako coś osobliwego.

— *Habt Acht!*—słyszałem nieraz za plecami, — *Collossal!.. Majestaetisch!.. die ist aber fesch! Wundervoll!..*

Uśmiechała się z zadowoleniem, słuchając komplementów a wyniosłem spojrzeniem mierzyła śmiazków, którzy się zbyt natrętnie do niej przysuwali. Ale ją to bawiło; rada była tym głupim hołdom, choć sama z nich drwiła...

— Cóż pan chcesz — mówiła — żeby ładnej kobiecie to nie sprawiało przyjemności, gdy się nią zachwycają?.. Nie wierz pan żadnej, że jest na to obojętną. Nawet najbrzydsza z nas ma tę próżność i wynajdzie na sobie coś ładnego, czém może zwrócić uwagę waszą. Czy pan nie spostrzegłeś, że kiedy kobieta ma jakiś szczegół ładny, a zechce się podobać, to go panu póty będzie podsuwała pod oczy, póki cię nim nie zajmie, choćby to był tylko mały pieprzyk za uchem. A przecież cała moda nasza jest niczém inném, tylko podkreślaniem naszych rysów dodatnich, a przekreślaniem ujemnych. Powiesz pan, że to znowu kokieterya?.. Ale kokieterya drogi panie, jest właściwie instyktem zachowawczym w kobiecie, która broni się, aby nie była pominiętą i nie zginęła w szarym tłumie. To w swoim rodzaju także walka o byt!..

Prowadziliśmy na ten temat długie rozprawy, w których podrażniona moimi argumentami rozwijała coraz krańcowsze teorye i próbowała mnie doprowadzać do passyi.

Przez cały czas mego pobytu nie przyjmowała nikogo ze swojej „paczki“, jak ich nazywał Józek. Rotmistrz zostawił tylko kilka biletów, a Finkiel wyjechał do Gracu układać się o gościnne występy.

Doktór zaś po trzech nieudanych wizytach, podział się, jak kamfora.

Z początku była niby zadowolona, że nie przychodzi, ale po kilku dniach już ją to korcić zaczęło i irytować.

— Ciekawa jestem, czy długo jeszcze wytrzyma?—mówiła niby obojętnie.

Niteckiego pytała, czy go nie widział i czy nie wie, co się z nim stało. Wygadała się przedemną, że Andzię posłała do szpitala dowiedzieć się, czy „ten waryat“ przypadkiem nie zachorował.

Ale zdrów był i ordynował codziennie, tylko widocznie wziął na ambit i przestał się naprzykrzać.

To właśnie ją drażniło.

Któregoś dnia poszła sama pod klinikę i wróciła w bardzo kwaśnym humorze, bo

go spotkała, jadącego dorózką; patrzył w przeciwną stronę, a może umyślnie udał, że jej nie widzi.

Cały wieczór potem wyśmiewała go i nazywała zarozumiałym głupcem, pyszałkiem, arogantem, — ale znać było, że jest urażoną.

Na drugi dzień chodziliśmy znowu z godzinę po Kärntnerstrasse, przyglądając się niby wystawom sklepowym; zaciągnęła mnie do jakiegoś bazaru w narożnym domu i wybierała rozmaite niepotrzebne drobiazgi. Kupiła notatnik oprawny w niebieski atlas i chciała mi go koniecznie na pamiątkę ofiarować.

— Co ja z tem zrobię? — wymawiałem się, tłumacząc jej, że nie mam co do zapisywania w takiej wytwornej książce.

— Wiesz pan, — zawołała nagle — zapisuj w niej swoje obserwacye nademną, a potem dasz mi pan to przeczytać; dobrze?.. Mój drogi panie Bolesławie, zrób pan to dla mnie, proszę pana. To będzie bardzo interesujące. Przecież pan i tak utrzymujesz, że ja jestem chora; wpisuj tu biuletyny mojej choroby. Tylko pisz pan prawdę.

— Ależ to dzieciństwo! — perswadowałem—ja przecież pani i tak wszystko mówię, co myślę.

— Kiedy ja chcę; ja chcę znać pańskie najskrytsze myśli o mnie—chcę się w nich przejrzyć, jak w zwierciadle.

Nie przestała nalegać, musiałem przyjąć notatnik, a w zamian ofiarowałem jej tekę zamykaną na listy, proponując żartem, aby ze swojej strony wpisywała znów wszelkie uwagi nademną i nad sobą.

— Doskonale, będziemy potem kontrolowali razem te notatki i zobaczymy, o ile się nawzajem rozumiemy.

Uważałem, że przedłuży jakby umyślnie nasz pobyt w magazynie, trzymając się w pobliżu dużego okna do samej ziemi, przez które widać było wszystkich przechodniów na ulicy.

Wychodząc, spojrzałem przypadkiem na porcelanową tabliczkę przy bramie i zrozumiałem nagle wszystko.

Chodziliśmy po tej ulicy dlatego całą godzinę, wstąpiliśmy umyślnie do tego bazaru, przebierali dlatego tak długo w drobiazgach, że na drugiem piętrze w tej samej kamienicy mieszkał—pan Dr. Pollack!..

Nie mogłem się powstrzymać, aby jęj tego nie powiedzieć, aby nie wybuchnąć i nie dać jęj poznać, że odgadłem jęj skryte zamiary, maskowane tak zręcznie.

Chciała go spotkać, chciała, żeby ją zobaczył ze mną, przy moim boku, chciała jeszcze bardziej podrażnić jego zazdrość.

Powiedziałem jęj to wszystko jednem spojrzeniem i jednym wyrazem, wskazując na tabliczkę doktora z jego nazwiskiem, umieszczoném przy bramie.

Wzruszyła ramionami i nie zmieniawszy nawet wyrazu twarzy, spytała jakby zdziwiona:

— No i cóż?.. wiem, że tu mieszka. Czyż to powód, żebyś pan zaraz blednął, jak ściana i przeszywał mnie oczyma na wskrós?.. Wszyscyście jednakowi!

Zostawiła mnie stojącego na chodniku i poszła dalej.

Odwróciła się do mnie kilka razy i uśmiechała, jakby wiedziała, że pójde za nią, jakby przeczuwała, co jęj powiem, w tym wybuchu szalonej zazdrości, która się we mnie obudziła z tak błahego ostatecznie powodu.

Szliśmy przez ulicę, jak para małżonków pogniewanych; ona słuchała a ja mówiłem

i mówiłem, co mi tylko ślina na język, a żółć na serce przyniosła. Pierwszy raz wobec kobiety, kobiety kochanej byłem prawie brutalnym w słowach, zatraciłem miarę wyrzutów i znęcałem się niemal nad nią w szalonej passyi, która mnie osłepiła; a przy tém wszystkiém powtarzałem jej, że ją kocham. że cierpię przez nią i czuję się tak nieszczęśliwym w tej miłości bez nadziei, bez jutra,—obwinałem ją o wszystko złe, do jakiego kobieta może być zdolną, a jednak... jednak wyrzucałem jej, że nie chce zostać moją żoną!

Cóż to dziwnego, moi drodzy; rozżalone serce nie bywa konsekwentne, ani sprawiedliwe, ani wyrozumiałe, ale w tych wszystkich błędach dowodzi tylko, że kocha i cierpi...

Przed domem chciałem ją pożegnać na zawsze, odgrażałem się, że odjadę, że nigdy więcej o mnie nie usłyszy, zapewniałem ją, że wiem teraz, co mi czynić pozostaje i że żałuję, iż tego wcześniej nie uczyniłem.

Ona patrzała na mnie, jak na furyata z zajęciem i politowaniem, nie odpowiadając ani słowa; była tylko bladą i usta jej drżały.

— Pan mnie obrażasz, panie Bolesławie,—rzekła nareszcie—słuchałam pana dotąd, jak człowieka, któremu namiętność pomieszała zmysły, słuchałam przez ciekawość i spólczenie, bo to wszystko i smutne, i zabawne zarazem. Ale ostrzegam pana, że umiem być mściwą i... okrutną, gdy mnie zranią. Zastanów się pan nad tem, co mi śmiałeś w oczy powiedzieć — szaleńczy!..

Zdawało mi się, że jój źrenice błysnęły, jak stal, gdy mi ostro, szybko, z urażoną dumą rzuciła nagle dwa wyrazy:

— Żegnam pana!..—i wbiegła na schody do siebie.

Na tem byłoby się wszystko skończyło, gdybym był wytrwał i nie popędził za nią na górę, ale cóż chcecie! ona miała słuszość, gdy mówiła o Achillesach, co swoje pięte nadstawiają sami i na oślep pędzą na własną zgubę.

Popędziłem i ja;—wpadłem aż do jój sypialni, z goryczą jeszcze większą, z żalem, z łkaniem, z tą całą waryacją zrozpaczonego kochanka i rzuciłem się do jój kolan, z jednéj ostateczności wpadając w drugą. Zapomniałem o wszystkiém, co jeszcze przed chwilą mówiłem do niéj, a pamięta-

łem tylko o tém. że ją uraziłem, zgnębiłem, skrzywdziłem i że ją przebłagać muszę, aby jęj nie stracić na zawsze.

Tak, jak weszła, nie rozebrana siedziała jeszcze na swojej kozetce między oknami i zimna, zacięta, milcząca pozwalała mi wic się u swoich stóp i przeproszać się w najczulszym wybuchu żalu i skruchy.

O, do téj chwili pamiętam jęj oczy bezlitośne i złe, jakimi patrzała we mnie, jakby się moją męczarnią nasycić chciała i przedłużała tę scenę pokuty, która była jęj odwetem;.. dotąd pamiętam jęj suchy głos i to ironiczne przymrużenie oczu, z jakim schyliła się po pluszową poduszkę na ziemi, którą w roztargnieniu strato wałem nogami i podnosząc ją, rzekła z naciskiem:

— Pozwól pan, tu jeszcze nie po wszystkiem wolno deptać w tym domu!..

Zrozumiałem dobrze alluzyą, jaka była w tych słowach i jeszcze bardziej czułem się przybity tą wymówką.

Całowałem jęj stopy, jęj kolana, jęj dłonie, ach!.. i to był dzień najfatalniejszy dla mnie, ale i najrozkoszniejszy w życiu.

Te przeprosiny odpokutować musiałem w tydzień później strasznie, jakby za karę żem obraził jęj dumę!..

Historya tego tygodnia znajdziecie krótko spisana w tym notatniku, który odesłałem jój na pożegnanie już z dworca kolei na samém wyjezdnie z Wiednia.

Przeczytajcie go sami... ja nie zaglądałem do niego ani razu od owego czasu... i teraz wolę tych kart nie przerzucać.

Pójdę się przejść trochę po ogrodzie... Wrócę za chwilę — potrzebuję odetchnąć. Czytajcie sami...

XII.

Piątek.

„Moja!...

Więc moja teraz i niczyja więcéj!

Czym ja przypuszczał jeszcze dwa dni temu, że pierwsze słowo, jakie tu wpiszę, będzie brzmiało tak śmiało, tak rozkosznie, tak upajająco, a jednocześnie téż zaprzeczy wszystkim moim najuczciwszym planom i zamiarom, z jakimi do niéj przyjechałem?...

Miała zostać moją żoną, albo niczém, a teraz — pojedziemy oboje w świat, aby zginać ludziom z oczu i żyć tylko dla siebie — i „zebrać z życia samą śmietankę“ jak się wyraziła.

Chce podróżować, byle nie po Europie; to za nudne dla niéj i za banalne.

Pragnie wrażeń silnych, wstrząsających, czegoś niezwykłego, coby ją drażniło, dresz-

czem grozy lub zachwytu przejmowało. Chciałaby zobaczyć pustynię, albo ocean, więc pojedziemy do Egiptu, albo do Indyj, byle jak najdalej... Podróż nasza najmniej potrwa rok, może półtora roku.

Wczoraj, jak dziecko klaskała w rączki z radości, że będzie w przebraniu beduina jeździć na wielbłądach, albo we wschodnim kostyumie na słoniu, jeśli zamiast pod Piramidy wybierzemy się nad Ganges.

Ledwiem ją ubłagał, aby włosów krótko nie obcinała, dopóki nie wyruszymy w drogę; miała już w rękę nożyczki.

Co za dziwna, niespokojna, gorączkowa natura!...

Nie znałem kobiety, któraby tak łatwo przerzucała się z krańca w kraniec; — zapala się szybko, jak lampa elektryczna i może tak samo zgasnąć od razu...

Nie mam dziś głowy na zimną refleksyą, nie mogę myśleć o niej z otwartymi oczyma i patrzeć na to dziwne, jako obojętny obserwator. Za bardzo mi się w oczach mieni...

Coby mi zresztą dziś z trzeźwego sądu przyszło?...

Analizować kobiety, to tyle, co oskubywać różę, aby się dowiedzieć z ilu listków

złożona. Wolę tego nie wiedzieć, a mieć ją całą, piękną, woniejącą i zachwycać się nią jak najdłużej.

Tamto jest rzeczą botanika...

Jestem mojem szczęściem oszołomiony a nadzieja przyszłości jeszcze bardziej mnie upaja. Chciałbym, abyśmy już jak najprędzej wyjechali!...

Zażądałem telegraficznie podniesienia mojej summy z Banku; skoro tylko pieniądze nadejdą—umykamy z Wiednia natychmiast.

W głowie mi się mąci na tę myśl...

Nie mogę pisać dłużej—wiedząc, że ona mnie czeka. Jej wspomnienie przejmuję teraz dreszczem całą moją istotę.

Moja!.. moja!.. moja!.. mo...

Sobota w nocy.

„Spędziliśmy z sobą dziś całutki dzień od samego rana; po wczorajszym skwarze deszcz padał i niebo się zachmurzyło, ale co nam do tego?.. W *mackintoshach*, jak para ekscentrycznych anglików chodziliśmy po deszczu bez parasola.

Robimy już sprawunki na drogę. Lila jest w cudownym humorze.

Nie wiedziałem, że rozporządza swoim majątkiem posagowym, który nienaruszony

leży w depozycie na każde jęj zażądanie. Usuwa to między nami najdrażliwszą kwestyą co do kosztów naszej podróży.

Powiedziała mi z dumą, że jest panią swojej kieszeni zarówno, jak swoich fantazyj; oprócz kwiatów i cukierków nie przyjęłaby nic więcej od nikogo. Zdaje mi się, że ją obraziło samo przypuszczenie o wspólności naszej kasy.

Musiałem się tego wypierać, jak grzechu.

W południe była u nięj panna Milly Pinck, dowiedzieć się, co będzie z lekcjami śpiewu przez lato; odpowiedziała ze znaczącem na mnie spojrzeniem, że będzie zmuszoną przerwać naukę aż do jesieni.

Panna Milly zmrużyła jedno oko i popatrzała na mnie ze złośliwym uśmieszkiem, jakby o tę przerwę bardzo podejrzewała moję obecność w Wiedniu.

Jakaś sprytna niemeczka, pulchna, ruchliwa, fertyczna, typ subretki operetkowej i damy z półświatka; trochę ekscentrycznie ubrana, z podmalowanemi oczyma i pachnąca na trzy kroki, jak saszetka do bielizny.

Powiedziała mi zaraz na wstępie, że jest *die kleine Schneck* — i że powinienem ją zobaczyć na scenie w operetce pod tym tytułem. Lilę nazywała „drogą hrabiną“

i z wiedeńskim akcentem paplała rozmaite niedorzeczności o sobie i o drugich. Zrobiła na mnie bardzo niedobre wrażenie,

I to z takimi paniami chciało się jęj, pani Lili Malińskiej kolegować..

Chwała Bogu, że ją wyrwę przecież z takiego otoczenia. O karierze scenicznej niema mowy, przynajmniej na czas naszej wyprawy.

Może się mylę, ale zdaje mi się, że ją łudzili pod tym względem. Śpiewała mi dzisiaj aryę z „Cyrulika“ — i dalibóg, pomimo całego dla niej zachwyty, nie wiedziałem, co powiedzieć, gdy skończyła. Myślałem już, że mnie opuścił wszelki krytycyzm względem niej, i że ją tylko kochać i podziwiać mogę, ale—nie!

Przekonałem się, że mogę ją kochać i poznać się na tém, iż ma głos duży, ale nierówny, że detonuje i w górnym rejestrze ma kilka tonów ostrych, a nadrabia brawurą i pokrywa tylko sprytnie duże jeszcze braki w koloraturze.

O, stokroć wolę, gdy gra na fortepianie, choć mnie jęj gra nerwowa, nierówna, kapryśna, przerzucająca się od Chopin'a do Straussa, i od Lecoqu'a do Mendelssohna drażni i rozstraja, ale jest w niej dziwny

temperament, jakaś zmysłowa namiętność, która się łąsi cichemi dźwiękami, szepcze, kusi, łaskocze nerwy, a potem znów wybuchą szałem, porywa siłą i zrywa się nagle uderzeniem brutalnym w klawisze, psując wrażenie umyślną kakofonią.

Nozdrza jej przy grze rozdymają się ustawicznie, usta drżą, jakby szeptały urywane wyrazy, pionową zmarszczką błyskającą raz po raz brwi ściągane, oczy zmieniają barwę, a pierś zaczyna falować i wtedy... wtedy idę całować jej rozpalone dłonie i drgające paluchy przytrzymuję w swych rękach, dopóki się nie uspokoją.

Miewa wówczas wyraz twarzy, jakby się budziła z jakiegoś snu gwałtownego.

To samo *tempo rubato* ma w śpiewie; — wyobrażam ją sobie na scenie, gdzie trzeba trzymać się w takeie i słuchać pałeczki dyrektora. Ale... ale!.. Nic z tego nie będzie nigdy. Mam nadzieję, że ją o tém przekonam i uratuję od zawodów artystycznych.

Zresztą, na co jej sława primadonny!.. zrobię ją tak szczęśliwą przy moim boku, dam tyle wrażeń, zaspakajać będę wszystkie jej pragnienia, zniosę wszystko, poświęcę wszystko i — w końcu przekonam, że

szczęście można znaleźć gdzie indziej, nie tam, kędy go pragnie szukać.

Ta podróż nasza musi ją zmienić, zbliży ją więcéj duchowo do mnie i może spełni moje pierwotne zamiary...

Niedziela w południe.

„To nie do pojęcia, ile sprzeczności zebrało się w téj kobiecie, zmiennéj, jak powierzchnia morza!..

Kazała mi odejść precz i zostawić się samą.

— Nie mam humoru dziś rozmawiać z panem, — powiedziała mi krótko, — idź sobie i przyjdź nad wieczorem dopiero. Nie chcę cię widzieć dzisiaj, jestem rozdrażnioną... Byłam w kościele... po długim, bardzo długim przeciągu czasu. Coś mnie zbudziło dziś rano tą myślą, że powinnam się pójść pomodlić; poszłam i wyszłam z kościoła znękana i rozdrażniona. Wiesz pan, co panu powiem?... ja nie umiem się modlić. To nie jest brak wiary, to jakaś niezdolność wzniesienia ducha do Boga. Mnie w dzieciństwie mojem chowano bardzo religijnie do jakiegoś dziesiątego roku życia; musiałam z ojcem klęcząco odmawiać pa-

cierze rano i wieczór, uczyłam się z cze-
ladzią śpiewać godzinki na wsi... Z tych
czasów zostało mi tylko poczucie czegoś
wyższego, co jest nad nami i jakaś bojaźń
instynktowa wszystkiego, co ma związek
ze światem niewidzialnym, duchowym, nad-
ziemskim. Potem, kiedy matka zachoro-
wała ciężko i oddano mnie pod wyłączną
opiekę guwernantki, panny Lebun, zaczęło
się we mnie wypaczać wszystko i rozwijać
samowolnie. Moja francuzka była racyo-
nalistką najgorszego gatunku, która *pour*
une bonne place w obywatelskim domu,
przywdziała maskę świętoszki. Pierwsze
wątpliwości we wszystko ona we mnie
wzbudziła. Pod jej wpływem wyrastał ze
mnie taki dyabeł, jaki dziś jestem. Ale co
to pomoże przypominać dawne dzieje!..
dość na tém, że jestem dziś taką, jaką je-
stem. Ten kościół mnie znękał; muszę wy-
począć, muszę zostać samą— idź pan i nie
przychodź, aż wieczorem!..

Zamknęła się na klucz i zapowiedziała, aby
nawet Andzia nie wchodziła do jej sypialni.

Zastanowiło mnie bardzo to jej wyzna-
nie na punkcie wiary.

Nie widziałem jej tak roztarganej we-
wnętrznie; nie śmiałem nawet spytać, od

kogo odebrała list dziś rano, który zastałem na jej biurku.

Może się uspokoi do wieczora... Kocham ją i lituję się nad nią.

Niedziela w nocy.

„To jednak dziwne z tym listem... Czyżby mi się na prawdę zdawało tylko, że go widziałem? Utrzymuje stanowczo, że żadnego listu nie otrzymała od nikogo i że na biurku nic nie leżało.

Muszę jej wierzyć, a jednak przysięgłbym, że go widziałem.

Nawet, co więcej, przypominam sobie, że leżał zasunięty pod tekę, którą jej ofiarowałem za ten notatnik, a na bibule najwyraźniej znać było ślady atramentu po osuszaniu pisma.

Więc nie tylko list otrzymała, ale i odpisywała na niego...

Wstydzę się sam przed sobą za ten spryt policyjny i podglądanie takich szczegółów, jak gdybym śledztwo w kryminalnej sprawie prowadził, ale sam nie wiem, z kąd mi się to od pewnego czasu wzięło. To najpewniej skutek mojego stosunku z kobietą tak zmienną i fantastyczną, jak ona, któ-

rój nigdy nie można być całkiem pewnym; to skutek tego *être sur le qui-vive*, które widocznie należy do jój taktyki w postępowaniu z mężczyznami i w którym mnie utrzymuje nieustannie.

Zauważyłem, że odkąd mamy już należeć do siebie, wynajduje jakby umyślnie dla mnie delikatną torturę, opowiadając mi o ludziach, którzy się w nią kochali. Niby to ma być dowodem jej zaufania i szczerości, ale ja tego spokojnie słuchać nie umiem, a nie śmiem jój przerwać: „przestań, bo mnie to boli!...”

Czasem mi się zdaje, że się tą miłością przechwala, że sobie robi reklamę wobec mnie. Brzydka myśl, ale ją mam i odpędzić jój nie mogę!...

Co za cel miała, opowiadając mi wszystkie szczegóły swego stosunku z Szanieckim, kiedy sama delikatność powinna jój nakazać, aby przy mnie teraz nie wspominała nawet jego nazwiska, więcej ze względu na siebie — nie na mnie.

Mam uczucie, jak gdyby brała szpilkę i zlekka, ale nieustannie wykluwała mi na skórze inicjały wszystkich swoich wielbieli; posądzam ją, że przytém z pod oka

bacznie mi się przygląda, jak ja to znoszę i czy się bardzo krzywię z bólu.

Jeśli tak jest istotnie, to... wynalazła sobie rozrywkę niegodziwą.

A może to sposób oduczania mnie zazdrości, która jest najnieznośniejszą we mnie wadą, według jej zdania?

Wszystko mi jedno; wiem tylko, że mnie to męczy.

Dziś znowu cały wieczór rozmawiała ze mną o Pollacku, aby mnie przekonać, że to człowiek niepospolity, że monstrualnie brzydki, ale że do tej brzydoty przyzwyczaić się można. Zachwyca ją rozum i spryt w doktorze; utrzymuje, że to pierwszy mężczyzna, którego w życiu spotkała, znającego tak dobrze kobiety.

Być może, ale czy my nie mamy lepszego tematu do rozmowy z sobą, jak tylko o nim?...

Nie mogłem już wytrzymać i powiedziałem jej otwarcie, że się nim nie mogę zachwycać, bo go nie znam, a nie kocham się w nim, tylko w niej, więc wolę o niej, niż o nim rozmawiać.

Na to mi odrzekła:

— Ja zaś wolę mówić o człowieku, który mnie więcej kocha od pana.

— Odemnie?

— Nieinaczej, bo pan mnie kochasz egoistycznie, a on bezinteresownie; wie o tém, że go odsunęłam dla pana, a jednak...

Zacięła usta i nie chciała dokończyć; dodała tylko:

— O, on mnie do końca życia nie zapomni; tacy, jak on, nie zapominają, to szczególnie natural...

Powiedziała to tak, jak gdyby mnie chciała wepchnąć sama na drogę domysłów i przypuszczeń i zatruć znowu spokój na dni kilka.

Co takiego było między nimi?... Czy w ogóle były cośkolwiek?...

Te jej niedomawiania pewnych rzeczy są gorsze od najboleśniejszych wyznań. Niechby mi powiedziała wprost, że był jej kochankiem, tylko niech mi się tego domyślać nie każe!..

Dziwnie jestem rozstrojony całym dniem dzisiejszym; żeby choć Józek wrócił z tego Klosterneuburga!.. Przecież przy restauracyi starego kościoła cegieł chyba nie podaje, że tyle dni tam już siedzi i nie wraca. Potrzebuję się przed kim wygadać, toby mi nieco ulżyło. Zdaje mi się, że połknąłem tłuczonego szkła, zamiast cukru...

Jutro wrócę pewnie znów do normalnego stanu, gdy się z nią zobaczę.

Kazała mi przyjść obudzić się rano; chce, abym jej pierwszy powiedział: „dzień dobry“ i przyniósł świeżych kwiatów.

— Jutro poniedziałek, — mówiła — będę miała cały tydzień przyjemny, gdy mnie zbudzisz kwiatami i pocałunkiem.

Były to jedyne dobre słowa z całej naszej rozmowy wieczorniej; o naszej podróży nawet nie wspomniała ani razu, chociaż co o tem mówić, to przecież już rzecz postanowiona...

Pojutrze powinny mi nadejść pieniądze z Warszawy...

Czuję, że będę miał szkaradną noc dzisiaj; po głowie łążą mi myśli, jak mrówki. Ten list na biurku spokoju mi nie daje. Muszę jutro zajrzeć do teki, czy na bibule są rzeczywiście ślady atramentu... Jeżeli są, to ją złapię na ten dowód; musi przyznać, że pisała do kogoś.

Tylko potem znów się pokaże, że to jakieś głupstwo najzwyczajniejsze w świecie, które moje przewidzenia rozdeły do potwornych rozmiarów.

To dziwna, jak ona swoją dyalektyką umie mnie zawsze pokonywać! Gdyby chciała,

wmówiłaby chyba we mnie, że nie istnieje słońce, prawda, moralność, świat cały, tylko ona jedna jest słońcem, prawdą, moralnością, światem. — Niekiedy lękam się tej jej sofistyki, bo mi się we łbie wszystko przewraca, gdy do mnie mówi, w oczy mi patrzy i moją rękę trzyma w swoich dłoniach, miękkich, jakby listkami róży wysłanych. Wie o tym czarze piekielnym, który jest w niej i korzysta z niego.

Czemu mi te wszystkie refleksye przychodzą dopiero, kiedy od niej odejdę!... Przy niej formalnie głupieję i pozwalam sobie jej rączkami mózg ścisnąć, jak gąbkę.

Ale co mi przyjdzie z tych rozmyślań?.. Trzeba iść spać, mam tylko kilka godzin do ranka.

Poniedziałek, god. 8-ma rano.

„Przeczytałem, com nabazgrał dzisiaj w nocy.

Boże, jak my się kiedyś będziemy z Lilą śmiali z tego, siedząc gdzieś pod południkiem na piasku, w cieniu jakiej piramidy, zajadając daktyle i przeglądając ten notnik...

No, tymczasem idę po kwiaty dla niej na „dzień dobry.“

Ćma.

W południe.

„Na bibule są ślady... Otworzyłem teczkę, podczas gdy się ubierała w drugim pokoju i sprawdziłem; jest najwyraźniej odcisk adresu.—Wszystkie litery widoczne... Pisała do doktora.

Zatém kłamiel..

Zapanowałem nad sobą i nie powiem ję ani słowa, dopóki nie dowiem się wszystkiego.

Jestem śmieszny, jak Bartolo, rachujący arkusiki papieru swęj wychowanki, ale trafiłem na jakiś trop i przeczucie mi mówi, że wykryję coś złęgo.

Dlaczego się zapierała tego listu?... dlaczego?... Muszę to wiedzić.

Środa.

„Pani!...

Z chwilą, gdy odbierzesz ten notatnik i doczytasz go do końca, będę już ztąd daleko.

Odsełam w nim jedyną pamiątkę, jakaby mi Ciebie i ten ostatni tydzień spędzony razem przypominać mogła.

Odjeżdżam, aby niczém więć nie krępować twoję swobody i nie przeszkodzić jutrzejszję schadzce z panem doktorem P.,

na której zamierzałaś wytłumaczyć mu powody, dla jakich mnie „zakochanego szaleńca i idealistę,“—jak raczyłaś się w swoim liście do niego wyrazić,—musiałaś chwilowo do siebie przypuścić „w obawie o moje zmysły i moje życie.“

Przypadek podsunął mi brulion tego listu, który do téj pory leży w szufladzie twego biurka, a który pozwoliłem sobie odczytać dziś nad wieczorem w Pani nieobecności. Z mojej strony była to niedyskrecya, ale z Pani wielka... niezręczność: pisać takie listy i nie niszczyć ich natychmiast.

Komedia, którą raczyłaś zagrać ze mną, przynosi zaszczyt reżyserskiej pomysłowości przyszłej primadonny, ale ubliża kobiecie, która tak usilnie starała się zachowywać pozory oryginalnej, lecz szczerzej natury.

Zasada pani „nie mówienia czasem całej prawdy, lecz nie kłamania nigdy“ — okazała się takim samym kłamstwem, jak całe Pani postępowanie ze mną od chwili naszego zbliżenia się.

Nie mogę powstrzymać się od jedynej satysfakcyi, jaka mi dzisiaj pozostaje, aby na pożegnanie nie przesłać okłasku... ko-

medyantce, przy której tak śmieszną musiałem odegrać rolę.

Życzę powodzenia i dalej!

Były...

Bolesław W.

XIII.

Na notatniku znać było gwałtowny ruch ręki, która go widocznie po odczytaniu zmięła i rozedrzeć usiłowała; karty były z jednej strony nadszarpane.

Zwróciłem na ten szczegół uwagę Henryka, siedzącego naprzeciw mnie przy stole z głową opartą na obu rękach i rozszerzonemi oczyma patrzącego w otwartą tekę. Błada zwykle i zadumana twarz naszego muzyka gorzała na policzkach wypiekami rumieńca; zmarszczył swoje szerokie czoło i odrzucając się w tył na siedzeniu, zawołał:

— Cóż to dziwnego!.. po takim liście możnaby człowieka rozedrzeć, nie tylko jego pismo. Nie,—tak się nie pisze do kobiety, nawet gdyby zdradziła... Ja mu to powiem; nie wolno ubliżać i znęcać się nad słabszymi, trzeba mieć zawsze względy dla kobiet, nawet kiedy się przez nie cierpi.

Taki list, to obelga, to policzek!.. a nie policzkuje się dziecka i kobiety.

Mówił to z takim zapalem, jak gdyby stawał w obronie żywej, pokrzywdzonej ofiary. wobec brutalnego faktu, który się stał przed chwilą, nie przed całemi latami.

— Masz słuszość, Henryku! — odezwał się z ogrodu głos Bolesława, który dosłyszał zdala te słowa;— tak, w ten sposób nie pisze się nawet do kochanki, która zdradziła, a nie dopiero do kobiety, która się tylko kochać pozwoliła, nie przysięgając w zamian miłości.

— Więc dlaczego napisałeś ten list do niej?—przerwał mu Henryk.

Bolek podszedł do nas na werendę i siadając na swym fotelu, odrzekł po chwili:

— Widziałem raz u siebie na wsi chłopca, który z bólu ugryzł w ramię chirurga, gdy mu wyjmował z palca kawałek szkła ze stłuczonej butelki; potem padł mu do kolan i całował po nogach, przeprasząc, że nie wiedział, co robi. Ja miałem drżkę wbiją w samo serce i ty się pytasz, dlaczego ugryzłem z bólu?.. Nie miałem czasu zastanawiać się, co robię. Kiedy mnie licho skusiło otworzyć jój biurko i przekonać się, czy pisał do niej doktor i co

pisał, chciałem tylko stwierdzić moje podejrzenia, a gdy znalazłem jęj list... (przypadek chciał, aby jęj pióro prysnęło atramentem i poplamilo papier, dlatego go nie wysłała) — gdy odczytałem wszystko od początku do końca, wściekłość mnie porwała i... znacie moję popędliwą naturę!.. pobiegłem, jak waryat do domu, napisałem do nięj to pożegnanie, Józkowi zostawiłem kartkę, że wyjeżdżam nagle i uciekłem z Wiednia. Zdawało mi się, że ją w jednę chwilę znienawidziłem, że nią pogardzam, i że ją potępiam na całą wieczność!..

Uśmiechnął się gorzko i dodał:

— Ta wieczność trwała nie całą dobę... Gdy wysiadał z wagonu w Warszawie, już mi żal było zerwania, wyjazdu, listu mojego, jęj i całej przeszłości, która się więcej wrócić nie miała. Zacząłem się zastanawiać nad tém, co zrobiłem; mówiłem sobie, że w gruncie rzeczy korzystałem tylko z jęj łaski, z jęj kaprysu czy fantazyi, że właściwie ja byłem jęj dłużnikiem za te chwile, które przy nięj spędziłem i że nie miałem prawa oburzać się na nią. Zacząłem ją nawet tłumaczyć i usprawiedliwiać przed samym sobą. Czyż nie była panią swęj woli, nie mogłaż rozporządzać

sobą, nie powiadała mi tyle razy, iż nad wszystko ceni swobodę?.. nie dawała mi do poznania, iż doktora uważa za bardziej interesującego odemnie i od tylu innych?.. A jednak sprowadziła nasz stosunek do takiej poufałości, jednak chciała pojechać ze mną w daleki świat i darować mi część swego życia, zgodziła się, aby być moją, aby należeć do mnie!.. Tamtemu pisała, że czyni to tylko z litości. Co jęj kazało litować się nademną?.. Dlaczego w przeddzień prawie naszego wyjazdu, naznaczała schadzke tamtemu?.. dlaczego nie pozostała przy nim, a mnie nie poświęciła dla niego?.. Tych „dlaczego“ było tysiące i na wszystkie miałem tylko jedną odpowiedź: „bo tak się jęj podobało.“

Mówił to tonem smutnego spokoju, układając przejrzone dotąd przez nas papiery w tecę i zakończył taką konkluzją:

— W tych sprzecznościach właśnie leżał charakter jęj istoty—i gdyby na każdą wątpliwość, jaką budziła, znalazła się konsekwentna odpowiedź, nie byłaby sobą, nie byłaby Lila-ćmą, nie byłaby tym wykołojonym rozbitkiem, który tyle złego zrobił sobie i drugim!...

— A mnie się zdaje,—wtrąciłem—że te niezrozumiałe, niepojęte natury kobiece, które najczęściej świat gorszą lub zadziwiają, dałyby się o wiele łatwiej zdefiniować, gdybyśmy A nie podstawiali za X. Pomieszalibyśmy dużo liter w tym alfabecie, którym drukujemy dzisiejszą psychologią kobiecą i moralność społeczną i dziwimy się, iż bardzo wielu wyrazów odcyfrować i zrozumieć nie umiemy, przestawiwszy w nich pojedyncze litery; wmawiamy w siebie przytém, że książka jest wolna od wszelkich błędów drukarskich i ślepo wierzymy tylko temu, co widzimy czarno na białém.

— Chcesz powiedzieć,—przerwał mi Bolek—że się samoświadczymy, wyrzekłszy się trzeźwego krytycyzmu względem kobiet; być może, bo patrzymy na nie najczęściej przez jakiś zabarwiony pryzmat subiektywności i z jednej wnioskujemy o wszystkich, żyjemy w takim chaosie zwątpień, że cóż dziwnego, iż przestaliśmy rozumieć najprostsze rzeczy, które dotąd nie ulegały wątpliwości. Wyobraź sobie, że w arytmetyce zakwestyonowano ci takie odwieczne prawidło, jak: „dwa razy dwa jest cztery“ i że jakiś matematyk na podstawie ilości urojonych dowiódł ci pozornie, iż dwa razy

dwa jest zero,—a potem spróbuj zrobić rachunek choćby tylko z własną praczką, — zobaczymy czy dojdiesz do ładu. Świat musi powrócić koniecznie do jakichś ustalonych prawd, zasad, poglądów, idei, które staną się w każdej sferze naszego życia przykazaniem obowiązującym i wtedy dopiero będziemy mogli wyjść znowu z błędnego koła sprzeczności, o które się dziś na każdym kroku potykamy. Może to tylko wystarczy nam do czasu, bo duch ludzki jest wiecznym wścibskim, który długo na miejscu usiedzieć nie zdoła, ale przynajmniej wypocniemy trochę po rozterkach wszelakich i zaprowadzimy jakiś ład prowizoryczny.

Henryk niecierpliwie poruszył się na miejscu i wyciągając rękę ku papierom, przerwał naszą dyskusję:

— Dajcie pokój teraz waszej filozofii i powróćmy do rzeczy, która mnie bardziej zajmuje. Ja w kobietach nie upatrywałem nigdy zagadki; widziałem w nich piękny obraz, godny podziwu lub uwielbienia, a nie rebus, którybym rozwiązywał. Warto sobie nad tem łamać głowę i czas tracić!.. No i cóż dalej? — zwrócił się do Bolesława — co trzymasz tam w ręku?.. — czytamy!

Bolek przetarł oczy i szepnął:

— Masz słuszność, — czytamy dalej.

Motodeńka 1-go Sierpnia.

„Szanowny i łaskawy Panie!

Z wielką nieśmiałością biorę za pióro, aby Szanownego Pana trudzić listem niniejszym. Z góry proszę, abyś wybaczył. Piszę go strapiona i zboląła matka, która już oczy wypłakała w nieszczęściu, jakie się podobало Bogu zesłać na nasz dom.

Licząc na okazywaną nam niegdyś życzliwość, ośmielam się zwrócić do łaskawego Pana w materyi tyle delikatnej, ile bolesnej dla mnie.

Sąsiad nasz, W-y Łacieński z Panasów, powróciwszy w tych dniach z Warszawy, przywiózł między innemi wiadomość, jakobyś Szanowny Pan przed niedawnym czasem bawił dłuższy czas w Wiedniu.

Czy tak było istotnie?..

Wielceby mi na tém zależało, bo może przez uprzejme pośrednictwo pańskie mogłabym nieszczęśliwa zasięgnąć nareszcie języka o losie mojej straconej córki Lili, która, niestety, jak to wszystkim już w Warszawie wiadomo, porzuciła dom swego męża

i obowiązki przykładnej żony, a, co ważniejsza, matki biednego dziecka. Ach, Panie szanowny, ile cierpię z tego okrutnego powodu, tego żadne pióro wyrazić nie zdoła! Grom padł na nasze stare głowy. Jedy-naczka nasza, ukochana córka, duma i po-ciecha naszego życia, tak srodze z nami po-stąpiła!

Proszę, wybaczyć Pan sercu macierzyńskie-mu, że się żali, ale to okazywa tak rzadka w mojem zgnębieniu. Nie mam nikogo, przed kim możnaby się boleścią podzielić. Mąż mój, dotknięty tak głęboko postępkami córki, że niemal obłędu był blizki,—nie po-zwala nawet imienia jej wspominać w na-szym domu; z krewnymi mało mamy od lat kilku styczności, z obcymi wstyd mówić o ta-kiem nieszczęściu.

Ale choć zbolełe i zranione serce,—kochać nie przestaje. W wielkiej żałości mojej w tajemnicy przed mężem piszę do Szano-wnego Pana z zapytaniem, czy przypad-kiem w owym Wiedniu nie spotkałeś naszej Lili?.. Może słyszałeś o niej cokolwiek?.. Od pół roku przeszło słych o niej zaginął; widocznie, poznaawszy swój błąd, nie śmie się do nas odezwać i cierpi teraz w samo-

tności, bez ratunku i pociechy. Boża kara w ślad idzie za złym uczynkiem.

Kobietą jestem, ale własnej córki zrozumieć nie mogę i jest dla mnie zawsze jeszcze tajemnicą prawdziwa przyczyna jej zerwania z mężem. Jakakolwiek jest — opłakaną zostanie.

Złe przeczucia i sny, nie płoszone najżarliwszą modlitwą, zwiększają mój niepokój o zbłąkane dziecko. Czy nie wiesz o niej Panie czego?.. Jaki jej adres, jakie miejsce pobytu? Napisałabym do niej choć pod kazem ojca, który się wyrzeka własnego dziecka i obiecuje zmiękczyć serce obrażone pod jednym warunkiem, gdyby wróciła do browolnie i przynajmniej na rok osiadła w klasztorze dla odprawienia pokuty i oczyszczenia duszy ze zmazy tak ciężkiego grzechu.

Moje zaklęcia skłoniłyby ją do tego zapewne. Wszak to pewnie ostatnia prośba matki w tém życiu.

Racz Pan wypaczyć, iż Go mimowoli wciągam w tajemne sprawy naszej rodziny, ale czynię to wiedzona przeczuciem i zaufaniem, że zrozumiesz boleść serdeczną i współczucia nieszczęsnej matce nie odmówisz.

Głęboką wdzięczność żywić będę za łaskawą, oby pomyślną wiadomość, którą zechciej dobry i szanowny Panie nadesłać nie pod mojem—(dla ostrożności przed mężem), lecz pod proboszcza naszego adresem, który poniżej wymieniam.

Proszę raz jeszcze wybaczyć mojej śmiałości i przyjąć błogosławieństwo strapionej matki za wiadomość o jej zbłąkanej córce.

Z rzetelnym szacunkiem

Emilja Czajkiewiczowa.

— Nie pamiętam, żeby mi kiedy tak trudno było odpowiedzieć na jaki list, jak na ten—mówił Bolek, wpatrując się w duże, okrągłe pismo kobiece, na którym kilka plam świadczyło o łzach, jakie się z oczu matki na papier stoczyły.—Nie wiedziałem, co odpisać, czy wyznać jej całą prawdę o córce, czy zataić to, co mogło ją jeszcze boleśniej dotknąć. Wybrałem drogę pośrednią; posłałem jej adres Lili i napomknąłem, że zdrowa, dobrze wygląda, i zajęta jest studjami na śpiewaczkę; dodałem od siebie radę, aby ktoś z rodziny pojechał sam do Wiednia i starał się skłonić ją oso-

biście do powrotu i zarzucenia myśli o karierze scenicznej.

„Listy i namowy przez korespondencyą na nic się nie przydadzą”—pisałem starój, i gdyby mnie usłuchali, możeby wszystko jeszcze inny było obrót wzięło, ale w kilka tygodni później dostałem znowu od niej list, w którym dziękowała mi za wiadomość o córce, i donosiła, że mąż jej rozchorował się z irytacyi i dostał ataku apopleksyi, tak go wzburzyła nowina o nowój kompromitacyi, na jaką go wyrodna córka chce narazić, wstępując do teatru.

Szkoda, że mi się ten drugi list jej zapodział; były w nim bardzo ciekawe ustępy i prawdziwie średniowieczne poglądy na zawód artystki.

Zdawało się, że oboje starzy bardziej do serca wzięli niebezpieczeństwo wstąpienia swój córki na scenę, aniżeli całą jej ucieczkę od męża. Wydało się im to okropnością.

Ojciec groził klątwą, jeżeliby się ośmieliła wykonać swój zamiar, a matka zapewniała, że takiej sromoty nie przeżyje!... Wygadałem się niepotrzebnie z tą historią teatralną i pogorszyłem sprawę, zamiast w niej dopomódz.

Pojechałem do siebie na wieś i tam, jak borsuk w jamie, ukryłem się w mojej samotni.

Po całych dniach włóczyłem się po lasach z psem i strzelbą na ramieniu, pod pozorem polowania, ale z niewystrzelonym nabojem wracałem zwykle do domu. Uciekałem od ludzi, kładłem się na mchu lub na trawie i godzinami wpatrywałem się w niebo, albo w zielone liście nad głową, taka mnie opadała melancholia i martwota. Wmawiałem w siebie, że nie chcę myśleć o niej, że powinienem nawet zapomnieć, iż znałem ją kiedykolwiek; zacząłem filozofować na temat miłości w ogóle a kobiet w szczególności, i dochodziłem do najbardziej potwornych wniosków.

Kobieta?... cóż to jest kobieta? — mówiłem sobie—to przecie zepsucie całego dzieła stworzenia, to najfatalniejszy błąd w samém zakończeniu mistrzowskiej kompozycji, pierwszy dyssonans, od którego rozpoczęła się cała kakofonia naszego życia.

Bóg stworzył Adamowi Ewę, aby mu się w raju nie nudziło i nie było smutno na ziemi,—a więc stworzył mu zabawkę. Trzebaż było kobietę, jako taką uważać i nie żądać od niej niczego więcej. Potrzebnie

tęż przez tyle wieków zaprzataliśmy sobie nią głowę?... potrzebnie dziś jeszcze oddajemy jęj tyle myśli, tyle serca, tyle czasu i uwagi?.. Czy to warto?.. czyż nie można-
by tym kosztem zapełnić życia naszego pożyteczniej i właściwiej?... Czyż to kobieta naprawdę jest najpiękniejszym kwiatem stworzenia, największą rozkoszą naszego życia, największą potrzebą mężczyzny?... To poeci ją tak rozreklamowali, to ona sama, wyzyskując chwile naszej słabości, wmówiła w nas, że jest naszym dopełnieniem, ozdobą naszego życia, koniecznością naszej fizycznej i duchowej natury.

Ależ to wszystko jest przesadą!... Nie prawda; można się obejść bez miłości, bez tej niewoli opętania, bez tego aksamitnego jarzma wieńczonego różami, bez tego haszyszu, który nam zmysły upaja i przytomność odbiera. Trzeba rozumować trzeźwo i wyzwoić się z błędu, który mści się od wieków na połowie ludzkości.

A więc bunt, więc reforma, więc zerwanie więzów, w których gnuśnieje i nikczemnieje mężczyzna, stworzony pierwotnie nie na niewolnika Ewy, ale na króla wszelkiego stworzenia!..

Cóż ztąd, kiedy wśród tych wszystkich rozumowań na łonie natury, wśród tego spisku przeciw tyranii i hegemonii kobiecój, przekradały mi się przez głowę raz po raz myśli:

— Co téż ona teraz robi?... gdzie się obraca?... czy pogodziła się z doktorem, czy téż znalazła sobie kogo innego?... czy bardzo jest jeszcze na mnie obrażoną i... czy nie dobrzeby było po raz drugi pojechać za nią, choćby na koniec świata?...

Napsulem sobie głowy, czasu, humoru, spokoju tą całą filozofją anti-kobiecą i nakręciłem się w kółko, jak pies, który chce się za ogon złapać, ale ani na krok nie ruszyłem się z miejsca.

Żał mi było, żem bez wszelkich wyjaśnień zabronił był Józkowi wspominać o niej w listach, obiecując, iż mu to kiedyś wytłumaczę, a potem wstydziłem się zapytywać o nią. Wyrzekałem się pamięci o niej, a byłbym dał Bóg wie co, za dwa słówka wiadomości: gdzie jest i co się z nią dzieje?..

Osowiałem zupełnie i zdziczałem w moich lasach; nareszcie jesienią przyszła mi myśl odlecieć razem z bocianami na południe.

Miałem przecież jechać z nią pod Piramidę. Tam muie jeszcze nie było!.. Zaczęło mi się gwałtownie zobaczyć kanał suezki i dać szc lutka jakiemu sfinksowi nad Nilem. Pędziło mnie coś w świat, a wcale nie zapieram się tego dzisiaj, że i cicha nadzieja jakiegoś przypadkowego spotkania z nią wyganiała mnie w tę nową podróż.

Spakowałem walizkę i na całą zimę pojechałem do Kairu.

To sobie przyznać muszę, że dla uratowania pozorów przed samym sobą—nie pojechałem na Wiedeń, tylko na Berlin, aby nie wyglądało, że jadę dla niej.

Ach, moi drodzy, sfinksy miały taką głupią minę, kiedy mnie zobaczyły samego w Egipcie, a nad kataraktami nilowemi tak mnie febra wytlukła, że zajechawszy do Luxoru, nie miałem już nawet ochoty przewertować księgi hotelowej, aby się dowiedzieć, czy nie zatrzymywała się tu przypadkiem pani Lila Malińska ze swoją pokojówką Anną Rajtarek.

Dotychczas sumiennie zajmowałem się tą kontrolą przejezdnych turystów, ale zawsze bezskutecznie; nigdzie na ślad jej nie udało mi się natrafić—i nic dziwnego, bo ona w tym samym czasie solfeggiowała

w Medyolanie i studyowała partya Aidy do debiutu w Dal-Verme.

Wyjechałem do Egiptu, jak bałwan, a wróciłem, jak mumia po półrocznej włóczędze na pustyni.

Jakoś w lutym byłem już w Warszawie, śniady i ogorzały, jak beduin, z brodą po pas, wysuszony jak skwarek na afrykańskiem słońcu.

Witano mnie, potroszę, jak waryata, który odbył kuracyą w domu okłakanych, potroszę jak nieboszczyka, który się zjawił nagle wśród karnawałowej uciechy, potroszę jak bohatera, wracającego z awanturniczej wyprawy, i dalibóg miałem chwilę, w której mogłem w naszych salonach zastąpić Izia Szanieckiego, jako nowa gwiazda sezonu.

Izio od kilku tygodni był już żonaty z Polewiczówną, i obchodził swoje miodowe miesiące, dzięki energii brata-opiekuna.

Kiedy jeszcze nie zdążyłem wysłuchać wszystkich ploteczek i rozejrzeć się po Warszawie, pewnego dnia z samego ranka posłaniec przyniósł mi ten oto bilecik: rzuciłem okiem na adres i omal z łóżka nie wyskoczyłem na środek pokoju.

Poznałem od razu jej pismo i osłupiałem ze zdziwienia.

Jakże było nie rozedrzeć sobie oczu na widok niespodziany tego listu, w którym się odebrało taką wiadomość:

„Przyjechałam. Stoję w Hotelu polskim. Muszę się z panem zobaczyć jak najprędzej.... Spytaj pan szwajcara o panią z pod Nr 30-go i zapukaj do drzwi trzy razy. Czekam z niecierpliwością!..

Li.“

Przez chwilę zawahałem się, pójść czy nie pójść?.. Po takiem rozstaniu, jak było nasze, nie wyobrażałem sobie tak obcesowego spotkania. Co innego, gdyby nas był przypadek gdzie sprowadził z sobą, ale tak ni ztąd, ni zowąd, przywitać się znówu po kilku miesiącach, jak para najlepszych przyjaciół, kiedy się zerwało w taki sposób, jak my — to mi się jakoś dziwnem i niepojętém zdawało.

Ale skoro mnie sama wzywała, skoro się odezwała do mnie pierwsza, bez jednego słowa wzmianki o tém, co między nami zaszło, bez wszelkiej urazy—powiedziałem sobie: „trzeba pójść.“

Palila mnie nadto ciekawość dowiedzieć się, po co tak nagle wracała, w jakim celu, z jakich powodów?..

Świadomość, że jest w Warszawie, że ją mogę zobaczyć znowu, zagłuszała wszystkie argumenta przeciw powtórnemu zbliżeniu się do niej.

Poszedłem.

Przyjęła mnie, jakbyśmy się wczoraj w najlepszej zgodzie rozstali!..

Miała na sobie jakiś pluszowy ciemnoniebieski szlafrok z trenem, który swą wspaniałością odbijał od urzędnika i pewnego nieładu w hotelowym pokoju, a przypominał wielce kostyum teatralny; rozpuszczone włosy ujmował wążki, złoty dyadem nad czołem. Wyglądała mi na jakąś Elbę z „Lohengrina“; nie brakowało jej nawet kosztownego paska ze zwieszoną u boku torebką.

Siedziała przy herbacie i przeglądała „Kuryery“.

— No i cóż? — zawołała, wpatrując mi się w oczy z uśmiechem, który jej całą twarz opromieniał,—zrobiłam panu niespodziankę, prawda?..

Podala mi papierosy i zapaliła sama.

Była tak swobodną, jakby przed rokiem z téj samej Warszawy nie zniknęła tajemniczo i nie oddała się na pastwę wszystkiemu złemu językom, a w Wiedniu nie zarzekała się przedemną, że nigdy więcej nie powróci tutaj za żadne skarby świata!..

Kiedy jej tę uwagę uczyniłem, wzruszyła lekceważąco ramionami i rzekła:

— Mój panie, kobieta wie czasem to, co zrobiła, ale nigdy na pewno nie może wiedzieć, co jeszcze zrobi. Przed tygodniem byłam pewną, że umrę, nie zobaczywszy więcej kochanej Warszawki, a dzisiaj jestem tu znowu i sama sobie się dziwię.

— Cóż panią tak nagle sprowadziło?

— Ach, interesa, mój drogi, interesa!.. będę potrzebowała pańskiej pomocy. Poleć mi pan jakiego dobrego adwokata. Muszę regulować swoje sprawy majątkowe i skończyć raz stanowczo z moim mężem.

Załamala ręce i spoważniała.

— Boże, jak się pan okropnie zmieniłeś!.. byłabym pana nie poznała z tą brodą. Postarzałeś się przez tych kilka miesięcy!.. Czy i na mnie znać taką zmianę?..

Nie śmiałem jej powiedzieć, że wyglądała gorzej, niż za mojego pobytu w Wiedniu; przypuszczałem, że ją podróż tak

zmęczyła; jechała jednym ciągiem z samego Medyolanu. Oczy miała podkrojone, policzki trochę zapadłe i usta spieczone, jakby gorączką. Pokaszliwała zlekka. Mówiła mi, że się w drodze zaziębila, ale że zresztą czuje się wybornie.

— Przez jakiś czas chcę zachować moje incognito,—rzekła—pan mnie nie zdradzisz, prawda?.. dopiero pojutrze pokażę się Warszawie.

— Dlaczegoż pojutrze?— spytałem.

— Ach, niedomyślny człowieku!.. — zawołała ze śmiechem — przecież to dzisiaj trzecia maskarada!.. Przyznam się panu, że mnie więcej przez drogę zajmowała ta myśl, iż będę mogła intrygować połowę moich ex-wielbicieli, aniżeli mój rozwód.

— Rozwód? — podchwyciłem zdziwiony.

Zacięła usta i zarumieniła się.

— Ach, wygadałam się niepotrzebnie! — wybuchnęła po chwili, śmiejąc się sama ze swój nieostrożności—ale to nic, byłbyś się pan o tém i tak później dowiedział.

Przyznała mi się, że to jest jeden z najważniejszych powodów, dla których przyjechała.

— Potrzebuję teraz być zupełnie wolną i zrzucić z siebie moje dotychczasowe na-

zwisko;—mówiła—wszystkiego panu jeszcze nie mogę wytłumaczyć, ale dowiesz się z czasem. Tak się dziś okoliczności składają, że mi rozwód jest konieczny, — dodała, ociągając się.

— Więc jednak zmienisz pani może jedno jarzmo na drugie? — spytałem ją, hamując przykre wzruszenie, jakiego doznałem na samo przypuszczenie téj możliwości.

— Nic, nic panu więcej nie powiem teraz, — przerwała, jakby domysłając się uczucia, które mi serce ścisnęło. Dawny żal obudził się znowu we mnie do niej za to, że wzgardziła moją ofiarą, a teraz była może gotową wyjść jednak za mąż za innego.

— Miałem po co przychodzić do niej...— pomyślałem, — aby jeszcze jedną szpilkę połknąć z jej łaski.

Nie chciałem jej badać więcej, ale w myślach dosnuwałem całą tajemniczą historią jej nowego romansu i dotknięty w mojej miłości własnej, cierpiełem nową męczarnię zazdrości.

— Widzisz głupcze — mówiłem sobie w duchu, siedząc naprzeciw niej i wpatrując się w jej twarz, z tą dawną mieszani-

na lubości i żalu — potrzeba ci było spieszyć się tak tutaj i nawiązywać zerwaną nitkę, na której jak pajac będziesz podrygiwał, ilekroć jej przyjdzie ochota pobawić się tobą!.. Wynos się stąd natychmiast, ucinaj poły i uciekaj!.. Szanujże się trochę więcej, ciemiego, i miej choć odrobinę męskiej dumy.

Wymyślałem sobie, ale — siedziałem na miejscu i słuchałem jej głosu, który mi się wydawał muzyką; tak trudno mi było odernąć się od niej.

Gardziłem sobą, szydziłem z własnej słabości, nazywałem ją Cyrceją, a siebie bardzo brzydkim mianem, ale poszedłem szukać dla niej adwokata, wybierać kwiaty do upięcia domina, kupować maskę i zamówić karete na bal maskowy. Zdawało mi się, że w tej abnegacyi znajduję nawet pewne zadowolenie, pewną wyższość nad nią, która, wiedząc, że ją kochałem, posługiwała się mną okrutnie i przy mnie myślała zapewne o tym jakimś drugim, tam daleko, dla którego przyjechała po rozwód...

Miałem nie pójść z nią na maskaradę, ale w ostatniej chwili znalazłem się jednak w mojej łóż z gabinetem i przyglądałem się,

jak po sali ona w białém dominie, w pudrowanej peruce, z koronkowym wachlarzem, w białych kameliach, chodziła z innymi i miała dokoła siebie całą zgraję złotéj młodzieży i wszystkich swoich dawnych znajomych, intrygowanych pojedynczymi słówkami, rzucanemi im na przynętę.

Była królową wszystkich masek i wśród tysięcznego tłumu tylko sama jedna rzucała się w oczy, jak zjawisko.

— *La dame blanche* — nazywano ją, i stawiano grube zakłady o nią, ale nikomu przez myśl nie przeszło, aby to była ona, Lila Malińska, żona tego samego Miecia, który z obojętną, apatyczną, znudzoną miną przyszedł na maskaradę i chodził także po téj samej sali, nie przypuszczając, że tak blisko siebie ma — ją!..

Kołowała przy nim nieustannie, aż nareszcie zbliżyła się do niego, wsunęła mu rękę pod ramię i po kilku minutach weszła z nim do mojej loży.

— Czy pozwolisz nam porozmawiać tutaj trochę sam-na-sam? — odezwała się do mnie zmienionym głosem, a z pod maski jej roziskrzone, błyszczące dziwnie oczy, rzuciły mi spojrzenie, które znaczyło:

— Wynos się i nie przeszkadzaj!..

Rozumie się, że nie miałem ochoty wychodzić z mojej własnej łóży w takiej chwili i zostawiać ich sam-na-sam, ale nie podobna było pozostać; domyśliłem się, że jęj o coś więcej, niż o maskaradową intrygę z własnym mężem chodzi, i ustąpiłem im miejsca.

Uścisnęła mi, gdy wychodził, nieco silniej rękę na podziękowanie, a słyszałem za sobą, jak drzwi zamknęła na zasuwkę.

Powiadam wam, że mi serce biło, jak młotem, i że ta sytuacja więcej mnie przejmowała, niż gdybym sam był bohaterem takiego spotkania.

Co teraz będzie?—mówiłem sobie—jeżeli on jęj nie pozna—farsa; jeżeli mu się zde-maskuje — może być dramat. Wiedziałem tylko jedno, że skandalu w żadnym razie nie będzie.

Tych dwoje ludzi, którzy tam staną oko w oko, nie będą sobie mieli nic do powiedzenia, albo bardzo dużo; a zatem rozmowa ich zerwie się gwałtownie i ryzykowny eksperyment ze strony jęj nie uda się wcale, albo przeciągnie się bardzo długo.

Na wszelki wypadek postanowiłem trzymać się w pobliżu; zostałem w kurytarzu i odwrócony plecami do tłumu, który prze-

ciągał nieustannie z wielkiego teatru ku schodom do sal reutowych, czekałem.

Miałem wielką ochotę kopnąć każdego, kto tylko zbliżał się do mnie, aby mi popatrzeć w oczy, albo zaczepić banalną uwagą:

— Aha!...małeńkie *rendez-vous*, prawda?.. macie kolacyjkę umówioną?.. lub:

— Także sobie miejsce wybrałeś na schadzkę!

— Cóż takiego?.. jeszcze jój niema? Coś za długo daje ci czekać.

Byłem tak rozdrażniony, że nie mogłem nawet skłamać uśmiechu. W dodatku jakaś bardzo przekwitła ogrodniczka, zaciągnęła w moją stronę grubego jegomościa z ryżem bokobrodami i umieściła się z nim właśnie pod samymi drzwiami mojej łóży, szepcząc mu ciągle do ucha piskliwym głosem jakieś androny, które go niezmiernie bawić musiały, bo wybuchał raz po raz chrypliwym, fistułowym śmiechem, rozdzierającym mi nerwy do reszty.

Zdawało mi się, że ta małżeńska schadzka przeciąga się całe wieki, a to zaledwie minuty mijały.

Nie mogłem wytrzymać na miejscu, wszedłem do sali, aby rzucić okiem do łóży

w nadziei, że przez kotarę uda mi się cokolwiek dostrzedz w gabinecie. Tłok wydał mi się nieznośnym, gwar zmieszanych głosów, śmiechów, szeptów, muzyki, szelestu sukien, pisku masek — ogłuszał mnie, drażnił i sprawiał istną torturę.

Zasłona od gabinetu, w którym siedzieli z sobą, była szczelnie zapuszczoną; wyteżalem słuch, żeby choć jedno słowo z ich rozmowy pochwycić, ale nadarmo.

Przez chwilę zdawało mi się, że poznaję jej głos podniesiony i ostry, i że kilka francuzkich wyrazów przedarło się do moich uszu z poza kotary; wywnioskowałem z tego, że musiała mu się dać poznać i że teraz przyszło między nimi do kulminacyjnej sceny.

Daję wam słowo, że zgrzytałem zębami i z nienawiścią patrzyłem na obojętny, gwarliwy tłum, do którego w duchu krzyczałem:

— Stulcie gęby, kanalje! Czyż nie widzicie, że umieram z ciekawości, aby choć kilka słów jej podchwycić?!

Wróciłem znowu do kurytarza; pod drzwiami ta sama ogrodniczka przyciskała się do brzuchatego jegomościa, który się aż pocił pod natarczywą jej zalotnością.

Minęło tak sto lat dla mnie w ciągu dobrej pół godziny.

Maliński nie wychodził z łoży.

Przystało mnie niecierpliwić to oczekiwanie, a zaczęła irytować głupia rola, jaką odgrywałem dobrowolnie.

Po co ja stoję, jak bałwan, przed temi drzwiami?—dogadywałem sobie—co mnie to właściwie obchodzić może, co sobie państwo Malińscy po roku niewidzenia mówią?.. Mażeńskie sprawy nie należą do osób trzecich. Skoro się zeszli w tak niezwykłych warunkach, niechże się bawią. Co dalej będzie, to właściwie jego rzecz, nie moja. On mąż, a ja co?... ja nic. Bałwan, opętany urokiem kobiety, która cały świat wyzywa i kokietuje, a ze mnie drwi tak samo, jak z całego świata. Kto wie, może oni się pogodzą, zamiast rozejść na zawsze; może ten rozwód, pod którego pretekstem wróciła do Warszawy, jest tylko zamydleniem mi oczu?.. Może to nowa ekscentryczność z jej strony?.. Kto z nią do ładu trafi!...

Kiedy sobie to wszystko mówię, nagle ryży jegomość wpada na ogrodnickę, odtrącony gwałtownie drzwiami od łoży i Maliński wzburzony widocznie, błądy bardziej jeszcze, niż zwykle, z ustami zaciśniętymi, w kapeluszu nasuniętym na oczy, wybiega

na kurytarz, mija mnie szybko i przeciska się przez tłum ku wyjściu.

Jegomość wymyśla, ogrodniczka pokłada się od śmiechu, a ja pomiędzy nimi pędzę do łoży, zatrzaszkując za sobą drzwi—i znajduję Lilę na kozetce, przegiętą w rozpaczliwej pozie, z twarzą ukrytą w dłoniach i wciśniętą w poduszki siedzenia. Głowę miała odkrytą z koronkowego zawoju, maska leżała na podłodze wraz z rękawiczką, zdartą widocznie w uniesieniu z ręki.

Poskoczyłem ku niej niespokojny, dotknąłem jęj ramienia, chcąc ją podnieść i ocucić z tego stanu, ale mnie powstrzymała nerwowym ruchem, szepcząc:

— Zostaw mnie pan... zostaw mnie pan!.. za chwilę!..

— Co się stało?... co zaszło między wami?—zacząłem dopytywać.

Dała mi znak, że nie chce odpowiadać i żebym ją pozostawił w spokoju.

Stałem nad nią zmieszany, gubiący się w domysłach, przejęty drżeniem nerwowym i litością dla téj zgnębionej kobiety, którą powaliło jakieś straszne wstrząśnienie.

Ze sali dochodził balowy gwar i odgłos muzyki, urągając nam obojgu....

Nareszcie podniosła głowę i z ciężkiem westchnieniem, jak zbudzona z letargu, wyprężyła się cała, przesunęła dłonią po czole, i wstrząsnęła, zbierając myśli i przytomność.

Bledszą była od swojej atłasowej sukni; oczy zgaszone, suche, matowe, jak dwie ciemne plamy wlepiła w ziemię i rozmyślała.

Ani jednej łzy nie dostrzegłem na jej policzkach, ale twarz miała tak zmienioną, surową, zchmurzoną wewnętrzną burzą, że mi się wydała straszną.

Siedziała tak czas jakiś, obojętna na wszystko dokoła siebie.

Nie śmiałem się odezwać do niej ani ruszyć z miejsca, dopóki sama nie podniosła się szybko z kozetki; zarzuciła na głowę koronkowe okrycie tak, że niēm całą twarz zasłoniła i ujmując mnie pod ramię, rzekła:

— Wyprowadź mnie pan ztąd natychmiast... prędzej!..

Przez cały czas, zanim sprowadzono jej karetę i wydano futrzaną szubę, nie przemówiła więcej do mnie ani słowa; stała oparta o ścianę i milczała, zajęta tylko swojemi myślami.

-- Mogę panią odwiedzić do hotelu? — spytałem ją, gdyśmy wyszli na ulicę.

Zatrzymała się chwilę na stopniach karety i rzekła:

— Potrzebuję powietrza... każ mu pan jechać w Aleje.

Pojechaliśmy. Noc była jasna, nie zbyt mroźna; spuściła okno i wcisnęła się w sam kąt okutana futrem.

Przez całą drogę znowu nie zamieniliśmy ani słowa.

Odważyłem się wziąć ją za rękę i przycisnąć do ust na znak współczucia. Zdawała się nie czuć tego i nie uważać wcale. Patrzała przez okno na ulicę tym samym wzrokiem suchym i zasepionym, a blask migających latarni, wpadając do wnętrza karety, oświecał mi chwilami jęj twarz posągowo martwą i bladą.

— O czém pani tak myślisz? — spytałem nareszcie—musiała się pani wydarzyć wielka przykreść?..

Ocknęła się i nagle, jakby w niej pękły okowy, rzekła do mnie:

— Wiesz pan, nie znałam dotychczas mego męża.

— Dlaczego?

— Ten człowiek mnie nienawidził! — odpowiedziała zgłuszonym głosem, jakby jęj

to odkrycie wydało się czémś nadzwyczaj-ném.

— Tak jest, — mówiła dalej, — nie zna-łam go dobrze. Dziś mi się odsłonił. Krzywdziłam go przez lat tyle. To nie jest zwyczajna natura...

Wyznaję, że ta opinia w jój ustach wyda-ła mi się jeszcze dziwniejszą niespodzianką, niż wszystko, co dotąd zaszło. Wszyscyśmy tego cichego, potulnego, odsuwanego Miecia uważali za salonowe zero, a jego niewytłu-maczoną bierność, za wrodzoną apatją i skutki wczesnego przeżycia. Nie istniał dla nas prawie, zaćmiony przez nią, ustępu-jący wszystkimi z drogi, niewidzialny po większej części przy jój boku.

— Mówię panu, to człowiek bardzo nie-szczęśliwy i ja go takim zrobiłam—zaczęła znowu bez bliższych wyjaśnień. — Nie po-znałam się na nim. Stało się!..

— Czy tylko dzisiaj nie przeceniasz go pani zanadto? — wtrąciłem, ale mi żywo z wewnętrzném przekonaniem zaprzeczyła:

— O nie!.. za bardzo mnie kochał, a za mało umiał mi to okazać w swoim czasie. To jego błąd. Dzisiaj ta miłość zmieniła się w nienawiść szaloną, która wybuchnęła, jak zapalona mina; rzuciłam na nią iskrę sama.

Teraz wiem wszystko i rozumiem całe nasze pożycie...

Urwała wzburzona i rękoma oczy zasłoniła gwałtownie.

— Moje dziecko umarło,—odezwała się po kilku chwilach jakimś żalosnym głosem, który dreszczem przejmował.

— Michaś? — zawołałem — kiedy?... gdzie?... i nie wiedziałaś pani o tém?...

Zdawało mi się, że pierś jej szarpnęło stłumione łkanie; opanowała je przemocą i spokojnie, ale smutnie odrzekła w urywnych wyrazach:

— Umarł na jesieni... Szkarlatyna... Zkądże miałam wiedzieć?... nie miał mi kto donieść o tém!

— A matka pani nie pisała?

— Raz jeden, wkrótce po pańskim wyjeździe z Wiednia; od tego czasu nie miałam więcej listu. Dziś się wszystkiego dowiedziałam razem... Czyś pan słyszał, że ojciec mój... sparaliżowany?...—spytała ciszéj, jakby się wstydziła tego pytania sama przed sobą.

— I to wszystko ma być moją winą?... moją? i tylko moją?!...—wybuchnęła rozpaczliwym jękiem, który w spazmatyczny śmiech się zamienił.

Nie miała sił powstrzymać się dłużej.

Oparła głowę na mojem ramieniu i zapłakała krótko, boleśnie, tak jakoś, że nigdy nie byłbym jęj uważał zdolną do podobnego płaczu.

Miałem sam łzy w oczach, a nie mogłem się zdobyć ani na jedno słowo pociechy dla nięj.

Co w takich razach jest do powiedzenia wobec faktów, z których się składają dramaty życia!... Słowo jest słowem; jak pusty dźwięk, drażni tylko swoją nicością i bezsilnością w podobnych chwilach, ale nie jest pociechą, ani ukojeniem, a perswazyą wobec winnego sumienia—tyle pomaga, co umarłemu kadzidło.

Myślałem, że w tych łzach dusza się jęj skapie i oczyści; pozwoliłem jęj płakać...

Podniosła głowę z mego ramienia, otarła oczy koronką i prostując się z uporem niepodległej natury, odezwała się nagle tonem, w którym się przebijał powracający bunt jęj złych instynktów:

— Ha, trudno!... jaką mnie życie chce mieć, taką mnie będzie miał!... Tem lepiej.

Załamala ręce, że omal jęj wszystkie palce ze stawów nie wyskoczyły i otulając się futrem,—zawołała:

— Każ mu pan wracać.

Była w tonie jój głosu jakaś nuta smutku i gniewu zarazem.

Przypomniałem sobie jój własne słowa, które powiedziała raz do mnie w Wiedniu:

— Ja nie umiem być dobrą, kiedy mi jest źle i kiedy muszę cierpieć, wszystko jedno z czyjjej winy, z cudzej czy własnej.

Nie przypuszczałem nigdy iż to spotkanie z mężem tak na nią podziałać może!...

Jednak ten mąż, jakikolwiekby był, kochany, czy nie kochany, nie przestaje być dla kobiety nigdy zupełnie obojętnym, nawet wtedy, gdy go porzuciła dla innego. To zawsze będzie ten pierwszy mężczyzna, który ją posiadał, do którego należała choćby tylko samém ciałem, który w jój życiu, w jój sercu, w jój zmysłach zapisał się niestartemi głoskami i który się jój przypominać będzie zawsze, jako rozkosz, czy jako ból. jako wyrzut czy jako żal, nawet w objęciu drugiego!..

Alboż nie było wypadków, że rozwódkom i wdowom rodziły się dzieci podobne do ich pierwszego męża?... że w szczęściu płakały jeszcze potajemnie przez niego, a w nieszczęściu za nim?... że usunęły go z oczu, z serca, z sumienia, z nerwów swo-

ich, a nie mogły usunąć go z myśli i z pamięci?...

Niéma kobiety, któraby z pod téj władzy uświęconej przez Boga i naturę, zupełnie wyswobodzić się mogła.

A cóż dopiero, jeśli w głębi swéj duszy czuje się winną, choćby przed całym światem i wszystkimi sądami zapierała się tego głośno i całą sofistyką samolubstwa, czy wstydu odpierała zarzut swego wiarołomstwa!

Kobieta, gdy zdradza męża, przedewszystkiém obwinia jego o powód własnego błędu i stara się wmówić w siebie i w innych, że on tylko sam do tego ją doprowadził, tylko on—nikt inny!... ale to, że tak usilnie szuka przyczyny swego błędu lub upadku—w nim, a nie w sobie, jest właśnie reakcją poczuwania się do złego.

Tem goręcej stara się bronić i przekonywać siebie, im bardziej poczuwa się do winy i tém trudniej przychodzi jéj przyznać się do swéj słabości, im łatwiej uległa pokuszeniom.

Tak samo, jak błędnie najczęściej pojmuje fakty, tak nie umie pojąć ich konsekwencji, zwłaszcza, gdy za nie odpowiedzialność przyjąć musi.

— Czegóż pan milczysz ciągle? — pytała mnie rozdrażniona, gdyśmy wracali do hotelu. — Może pan powiesz także, że wszystkiemu ja sama jestem winną?... no, nie wstydź się pan, potępiaj mnie, jak on, jak moja rodzina, jak wasza opinia, jak cały świat teraz!...

— Dużo sobie z tego robię! — dodała z nerwowym śmiechem, odwracając się pogardliwie odemnie.

Milczenie moje jeszcze bardziej wyprowadzało ją z równowagi; chciała, abym ją uspokajał i łagodził rozterkę, jaka w jej sercu i umyśle wrzała.

Zacięła usta i dopiero, gdy karetka zatrzymała się przed bramą hotelu, wysiadając, rzekła mi krótko:

— Dobranoc panu.

Chciałem ją zatrzymać jeszcze przez chwilę; szarpnęła rękę niechętnie i pobiegła ku bramie.

— Kiedyż panią zobaczę? — spytałem.

Wzruszyła ramionami i odparła:

— Nie wiem,

Czułem, że ma do mnie urazę i żal.

— Jutro?...

— Nie wiem.

— No, to dziś?...

Spojrzała na mnie surowo niemal i rzekła:

— Nie przyjmuję wizyt tak spóźnionych.

Portyer otworzył bramę i rozstaliśmy się bez pożegnania.

Wbiegła do sieni szybko i zostawiła mnie na ulicy; ocknąłem się dopiero, gdy usłyszałem zapytanie stróża, które mi dziwnie brutalnym w tej chwili się wydało:

— A pan nie pójdzie na górę?...

Odwróciłem się od niego bez odpowiedzi, wskoczyłem do karety i kazałem się zawieźć do domu.

Przez dwa dni zachodziłem do hotelu, ale nie mogłem jej zastać; nie chciała mnie przyjąć, albo rzeczywiście biegała po mieście za swemi interesami. Dopiero przypadkiem spotkałem ją na ulicy, i to gdzie?.. nie zgadlibyście nigdy!... Wychodzącą o zmroku z kościoła.

Zarumieniała się i odwróciła głowę, jak gdyby się wstydzila, że ją złapałem na schadzce—z Panem Bogiem.

— Dziś wieczorem wyjeżdżam — rzekła mi — poszłam do Wizytek zobaczyć ołtarz, przed którym...

Zatrzymała się i patrzyła mi w oczy przez chwilę.

— Brałaś pani ślub—dokończyłem za nią.

Moja domysłność wywołała drugi rumieniec na jej zmizerowanej twarzy.

— Zgadłeś pan.

Wyciągnąłem ku niej rękę z gorącym współczuciem, tak mnie czegoś za serce chwyciła wyrazem swoich dużych, dziwnie jakichś smutnych oczu.

— A wiesz pan, com tam robiła?— spytała.

— Domyslałam się: modliłaś się, pani.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie; poszłam złożyć na ołtarzu moję obrączkę ślubną, której mój mąż odebrać nie chciał. Tak, ot, patrz pan, nie mam jej więcej na palcu. Dziś wyjadę ztąd i nigdy więcej do Warszawy nie wrócę, o, nigdy więcej!... na to panu przysiędz mogę.

— Cóż pani zamierzasz? — spytałem ją żywo.

Uśmiechnęła się jednym z tych uśmiechów swoich, które dreszczem mnie przejmowały i rzekła z jakięś złowrogiem błysnięciem oczu:

— Popłynąć z falą!...

Zamknęła mi usta temi słowami.

— Zostańcież tu sobie wszyscy zdrowi i szczęśliwi, o ile możecie— zaczęła innym

tonem— i zapomnijcie o mnie, o ile potrafię.

Zaczęła się śmiać nanowo, udając swobodę i lekceważenie.

— Zdaje się nawet, że to wam z łatwością przyjdzie. Czy wiesz pan, że przez tych dwa dni przekonałam się, iż Warszawa się starzeje, bo traci pamięć gwałtownie. Spotkałam kilka moich dawnych przyjaciółek wczoraj i dzisiaj na ulicy, które zrobiły oczy tak duże, gdy mnie zobaczyły, ale nie śmiały mi się ukłonić; przypominałam im tylko z powierzchowności panią Lilę Malińską i były biedaczki okropnie zakłopotane, co zrobić ze swoją zdziwioną miną na mój widok. Obawiały się przywitać ze mną, nie będąc pewne, czy wróciłam znowu do męża, czy też przyjechałam wykraść im którego z ich nowych wielbicieli. Niewiniątka!... O, one się nie skompromitują tak lekkomyślnie i żaden romansik nie narazi ich dobrej opinii, bo od czegoż są szerokie... plecy panów mężów?! Rozsądna kobieta nie powinna nigdy wysuwać się z po za tego parawanu, jeżeli jej na tém zależy, aby damy z dobrego towarzystwa nie przestały jej poznawać na ulicy. Prawda, panie, że to w jakiejś operetce

śpiewają: „wszystko można, lecz z ostrożną“?.. To mogłoby być dewizą waszej salonowej moralności, która dekoltuje się po pas, ale nosi — ogromne wachlarze w ręku. *N'est ce pas?*... O, hypokryzjo, zkąd ty jesteś rodem, że się tak w świecie ciebie zapierają?!..

Z tą złośliwą ironią mówiła jeszcze długo na ten temat; znać było, że się czuje jednak dotknięta tą przygodą i odwróceniem się od niej kilku wątpliwych moralistek, które sobie za ubliżenie uważały przywitać ją po awanturze z Szanieckim.

Pozwoliła mi odprowadzić się do hotelu i wieczór cały, ostatni nasz wieczór przed wyjazdem spędzić z sobą.

Wydobyłem z niej wtedy półsłówkami bliższe szczegóły owej rozmowy z mężem na maskaradzie i potem, gdy zostałem znów sam, gdy mnie wspomnienia o niej tylko odwiedzały, spróbowałem tę scenę odtworzyć w jakimś urywku dramatu, który nigdy zapewne nie będzie już napisanym.

Oto macie szkic rzucony na tych kilku świstkach.

Dziś mają one dla mnie tylko znaczenie notatki, w której pozostał także jeden z ry-

sów dziwacznej i złożonej z tylu sprzeczności natury.

Zdaje mi się, że dość wiernie skreśliłem w tym fragmencie sylwetkę Malińskiego, którego, jak zobaczycie, wszyscyśmy dobrze nie przeniknęli.

XIV.

(Scena przedstawia gabinet obok łoża parterowej w Teatrze Wielkim; na jednej ścianie lustro, pod lustrem konsola, przy drugiej mała kozetka; przez zapuszczoną zasłonę dochodzi z sali balowej gwar głosów i muzyki.)

Białe domino (rzucając się na kozetkę i chłodząc wachlarzem.) Nieznośny upał w tém piekle, do którego przyjść musiałam, aby znaleźć—ciebie.

On. (Obojętny, z twarzą znudzoną, z początku apatyczny, stoi oparty o konsolę i zdaleka szapokłakiem wachluje swą towarzyszkę.) Mnie?... (wzruszając ramionami.) Czyż nie szkoda było zachodu?... Przypuszczam, że żartujesz tylko.

Białe domino. Broń Boże! czyż dla ciebie już żadna kobieta nie przyszłaby na maskaradę?... tak mało sam się cenisz?... po cóż w takim razie jesteś tutaj?... skoro niczego się nie spodziewasz i niczego

nie szukasz, dlaczego przychodzisz na bal maskowy?

On. (z *uśmiechem.*) Przychodzę nudzić się raz — na inny sposób.

Białe domino. No, to wcale nie nowina u ciebie. Jesteś znudzony zawsze i byłeś nim, jak długo cię znam; (*śmiejąc się*) bo my się znamy, mój drogi, i to dobrze, i to dawno. Nie domyślasz się nawet, kim jestem?... nie przypominam ci nikogo?... przypatrz mi się lepiej (*pokazując mu swoją rękę.*) Ta ręka np. czy wydaje ci się całkiem obcą?... podaj mi swoją. Upewniam cię, że ją znasz doskonale, że ją nawet ściskałeś nieraz czule, gdy... byłeś jeszcze trochę mniej znudzonym. No, i jakże?... Domysłność twoja usnęła zupełnie.

On. (*nie zadając sobie nawet trudu przyjrzeć się jej uważnie.*) Być może, że cię znam, ale cóż z tego?... nie powiesz mi nic, czegobym sam nie wiedział i nie usłyszysz nic, co by cię zająć mogło. Szkoda twego czasu i dowcipu, maseczko.

Białe domino. A przyznam ci się, że nie jesteś nawet uprzejmym, nie tylko zabawnym.

On. Prawda?... powiedziałem ci to odrazu. Mogłabyś nie zmieniać głosu i nie

zakrywać tak szczelnie swojej twarzy, a wątpię, czy zdołałabyś wykrzesać ze mnie choćby iskrę lepszego humoru.

Białe domino. Nawet, gdybyś się przekonał, że jestem bardzo ładną?...

On. (z uśmiechem obojętnym.) Nawet.

Białe domino. Ach, wiedziałam i to, że wdzięki kobiet straciły dla ciebie urok od dawna. Miałeś przecie żonę, za którą szalała cała Warszawa, a ty... (spostrzegłszy jego ruch niechętny.) Co to?... zmarszczyłeś się tak groźnie, jakbym ci obelgę wyrządziła. Czy o twojej żonie nie wolno mówić z tobą?...

On. (chce coś innego odpowiedzieć, ale powstrzymuje się i robi gest, jakby zamierzał ją pożegnać.) Wybaczysz maseczko...

Białe domino. (zatrzymując go.) O nie, mój drogi; nie wymkniesz mi się tak łatwo; przyszedłam tu dla ciebie i musimy porozmawiać. Ja mam ważne sprawy z tobą do załatwienia.

On. (chłodno.) Niestosowne miejsce wybrałaś do tego.

Białe domino. Przeciwnie; gdzieindziej nie moglibyśmy być tak swobodni. No, rozchmurz czoło, siadaj obok mnie, bo uwierzę, że na prawdę boisz się kobiet i prze-

stałeś dowierzać sobie. Możemy zrobić z sobą układ...

On. Pod jedaym warunkiem, że będziesz mówiła ze mną o wszystkiém, z wyjątkiem o mojej żonie.

Białe domino. A właśnie, to tylko jedyny cel mój.

On. W takim razie zostawię cię samą i odejdę (*zwraca się ku wyjściu.*)

Białe domino. Nie uczynisz tego i zostaniesz (*wstaje szybko z kozetki i zachodząc mu drogę, opiera się plecami o drzwi, ze śmiechem.*) Chyba po moim trupie!...

On. (*spogląda na nią z niechęcią, odwraca się i siadając na kozetce, mówi*) Jesteś niedelikatną, maseczko.

Białe domino. Złowiłam sobie ptaszka w samotrzask i mam go teraz wypuścić?... o nie!... przekonasz się, że tak drażliwy temat dla ciebie może być wysoce zajmującym. Czy wiesz, kto mnie tu właściwie do ciebie przysłał?... (*chwila milczenia*) Twoja żona—Lila!...

On. (*zwraca ku niej nagle głowę.*) Ona?...

Białe domino. (*tryumfująco.*) A widzisz, że będziesz słuchał i rozmawiał!..

On. (*szybko*) Kto pani jesteś?!...

Ćma.

Białe domino. (*tłumiąc śmiech gwałtowny.*)
A, to bardzo trafne pytanie na maskaradzie!

On. Kto pani jesteś?...

Białe domino. Czy już mam się zdemaszkować, zanim pana intrygować zaczęłam? cierpliwości!

On. O, miałem jej dużo w mojem życiu... (*spokojniej.*) Jeszcze raz cię pręszę, maseczko, mówmy o czém inném.

Białe domino. To będzie trudno; jako parlamentarka twojej żony, muszę moje poselstwo spełnić. Mam od niej postawić ci pewne warunki.

On. Warunki?... od niej?...

Białe domino. Czy to cię aż tak dziwi?... Małżeństwo zerwane, to jak dwa skłócone państwa, które zerwały z sobą dyplomatyczne stosunki; musi między niemi wybuchnąć wojna, albo przyjść do nowych traktatów. Otóż państwo Lila, (*żartobliwie*) królestwo zrewoltowane, żąda dla miłego spokoju...

On. Za lekko pani bierzesz, a za dowcipnie prowadzić chcesz te układy; jeśli to wszystko nie jest żartem i mamy rozprawiać koniecznie na ten temat, przystąpmy

od razu do rzeczy. Czego może żądać jeszcze odemnie... pani Malińska?

Białe domino (*po chwili*). Rozvodu.

On (*stłumiony przykre wrażenie, z udaną swobodą*). Tak?... przecież go sobie sama wzięła, jak wszystko brała w życiu, co jój się należało i do czego nie miała prawa. Czekalem rok cały na zażądanie tej formalności. Czy mogę wiedzieć, gdzie przebywa obecnie?...

Białe domino. Pani Malińska?... (*ociągając się*) Na południu.

On. Więc to prawda, że chce popełnić jeszcze jedno nowe szaleństwo i wstąpić na scenę?

Białe domino. Wolno panu nazywać to szaleństwem, dopóki nie usłyszysz o jój tryumfach. Zdaje się, że pan nigdy dobrze nie umiałeś oceniać swojej żony.

On. Za to oceniali ją... inni i na tém jój nawet więcej zależało.

Białe domino. Zapewne! kiedy się ma męża, jak gdyby go się nie miało...

On. Zaczynasz być przykrą, maseczko, i za śmiałą w swoich sądach.

Białe domino. Ach, przepraszam; wróćmy do rzeczy. Zatém Lila żąda rozvodu. Cóż pan na to?... Jest o tyle szczerą, że nie my-

śli taić przed panem przyczyny, dla której stawia ten warunek. Potrzebuje zupełnie być wolną i zwraca panu tylko to, co jako żona pańska nosiła — nazwisko pańskie.

On. Aby przyjąć inne, czy wrócić do swego?...

Białe domino *(po chwili wahania)* Inne.

On. Wychodzi za mąż powtórnie?...

Białe domino. Może.

On. Na pewno wiedzieć tego nie wolno?...

Białe domino. Owszem; stara się o jej rękę człowiek niepospolity, bogaty, przystojny, włos, ze stariej rodziny patrycyuszów rzymskich... Cóż pan jeszcze więcej chcesz wiedzieć? Kocha ją do szaleństwa i gotów poświęcić dla niej tak samo... żonę, jak ona pana. Margrabia Rampolino jest żonatym milionerem, ale żyje w separacyi z margrabinią od lat kilku. Oto wszystko.

On *(słucha tego z uwagą, potem skłania głowę smutnie i szepce, jakby do siebie).* Zamało było jej ofiar dotychczas!...

Białe domino *(ironicznie).* Pan patetyzujesz, panie Maliński. Nie znano pana dotąd z tej strony. O, nie chmurz pan tak czoła, bo ci z tem nie do twarzy!... Teraz, skoro wiesz wszystko, jakąż dasz odpowiedź? Zga-

dzasz się, prawda?... i to, jak zawsze, bez zastrzeżeń.

On (po chwili namysłu) Nie.

Białe domino (żywo). Co?... odmawiasz?... Ależ to żarty z pańskiej strony!... Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale nie takiej odpowiedzi po panu. Ach, pan zapewne masz na myśli trudności, jakie staną na przeszkodzie waszemu rozwodowi?... prawda?... to nie, to się da załatwić. Margrabia ma stosunki w Rzymie. Jediną przeszkodą poważną może być dziecko, ale...

On (spokojnie, ze smutną miną) Bóg je usunął. (przesuwa ręką po oczach, jakby pod wrażeniem bolesnego wspomnienia).

Białe domino. Co chcesz przez to powiedzieć?...

On. Umarło przecież.

Białe domino (swoim głosem) Michaś umarł?.. (załamuje ręce i zbliża się szybko ku niemu).

On (uderzony brzmieniem jej głosu, podnosi się nagle, wpatruje w nią niespokojnie, wzburzony do głębi, energicznym ruchem zdziera jej maskę z twarzy i staje, jak gromem rażony). Ha!... Toś ty?!... (stoją przez długą chwilę naprzeciw siebie, w milczeniu, on z oczyma w nią wlepionymi, ona instynktowo twarz zasłoniwszy rękoma).

Białe domino (*po długiej chwili*). Dlaczegoż mnie o tém nie uwiadomiono?... miałam przecież prawo wiedzieć o mojem dziecku. (*milczenie*). Kiedy umarło?... co mu było?... dla czegoż mi nie odpowiadasz?... (*milczenie*). Może pan mnie zwodzisz tylko?... przyznaj, chcesz się mścić na mnie i wymyśliłeś taki sposób, aby mi dziecka nie oddać, gdybym go zażądała, prawda?... No, powiedzże cośkolwiek!.. odezwij się chociaż, dlaczego mnie drażnisz i męczysz?... Widzisz przecie, że drzę cała i że się nogi chwieją podemną... Postąpiłeś ze mną brutalnie, zdarłeś mi maskę z twarzy, kazałeś mi się zdradzić, a teraz... Nie, słuchaj, to być nie może, ty użyłeś podstępu, abym do ciebie przemówiła naturalnym głosem; podejrzywałeś, że to ja jestem pod maską i dlatego mi o téj śmierci powiedziałeś, ale to niegodne; z życiem dziecka nie należy żartować!.. My dwoje możemy mieć do siebie pretensye, możemy się rozwodzić, dokuczać sobie, wyrzuty robić, ale nie mieszajmy dziecka do tego, cóż ono winno!.. Słuchaj, odwołaj to, coś powiedział, to nieprawda, żeby Michaś umarł?... Jesteś okrutny, znęcasz się nademną. No, już dość tego!.. dopiąłeś celu, teraz nie męcz mnie dłużej!

(*milczenie*). A!... jesteś bez serca i litości! (*odwraca się od niego i rzuca na kozetkę, podpierając głowę na dłoni*).

On (*wpatrywał się w nią przez cały czas z rękoma splecionemi, w nieruchomej postawie, z wyrazem surowego smutku w oczach, wreszcie przy ostatnich jej wyrazach jak gdyby ocknąwszy się, bez słowa odpowiedzi zwraca się ku drzwiom, chcąc wyjść*).

Białe domino (*spostrzegłszy to, zrywa się gwałtownie i zatrzymuje go*). O nie!... nie wyjdiesz teraz, dopóki mi wszystkiego nie powiesz!... musimy się rozmówić... Drugiej takiej chwili nie będzie. Jeżeli prawda, że Michaś umarł, w takim razie nic nas nie wiąże więcej, nie!... ostatnie ogniwo między nami prysło (*z nerwowem rozdrażnieniem zdziera rękawiczkę i zdejmując obrączkę, podaje ją mężowi*). Proszę, odbierz pan swój pierścionek ślubny, a zwróć mi mój; żądam teraz zupełnej swobody, żądam rozvodu i musisz mi go dać. Nie masz prawa wiązać mnie z sobą, teraz mniej, niż kiedykolwiek. Pan wiesz najlepiej, od jak dawna przestaliśmy być małżeństwem, nie zachowując nawet jego pozorów wobec świata. Pozwalałeś mi robić, co mi się podobało, zostawiałeś mi wolność, nie troszcząc się, co

z nią pocznę, na co jej użyję, jak i dokąd z niej skorzystam. Zdawało się panu, że-
niąc się ze mną, że będziesz miał domową
kotkę, która za twoim piecem wygrzewać
się będzie spokojnie; pomyliłeś się!.. Co mi
dało małżeństwo z panem?... kilka mie-
scy szału i upojenia, a potem lata całe nie-
smaku i zawodu. Dałeś mi się wysliznąć
z rąk i pochwycić mnie więcej nie próbo-
wałeś. Masz, czegoś chciał i na coś sam
zasłużył!.. Nie umiałeś być mężem dla mnie,
nie umiałeś mną pokierować, brakło ci sił
i energii, usuwałeś się dobrowolnie od me-
go boku i pozwalałeś zajmować to miejsce
innym. To trudno!.. Mąż takiej żony nie
może być malowanym mężem. Trzeba było
o tém pamiętać!.. Ty nie mogłeś mieć oczu
otwartych i widzieć niebezpieczeństwa, ja-
kie nam obojgu w takim stosunku groziły,
bo ty byłeś zawsze śpiący i znudzony,
skrzywiony i kwaśny, unikający ludzkich
spojrzeń i nie widzący tego, że grasz naj-
lichszą rolę męża—śmiesznego!.. Tak, wiedz
o tém, byłeś śmieszny!.. i dlatego...

On (*dotykając jej ramienia z siłą, przerywa
nagle z groźnem spojrzeniem*). Dość!..

Białe domino (*zmieszane jego wzrokiem,
co ją się przestraszone*). Co pan zamierzasz?...
puść mnie!..

On (*bardzo blady z ustami drżącemi, chce przemówić, ale głosu opanować nie umie*). Psst!... (*Sadza ją na kozetkę i nachylony nad nią przez chwilę walczy z głuchą wściekłością, która się na jego twarzy maluje*).

Białe domino (*spogląda na niego z coraz większém zaniepokojeniem, próbując powstać i wyzwolić się z jego rąk, które ją przytrzymują*). Tyś mnie gotów jeszcze zabić!... powiedz!...

On (*wstrzasając nią*). Ani słowa więcej!.. (*po chwili*) Nie bój się, nie zabiorę ci życia, skoro ci go nie wziąłem wówczas, kiedy cię jeszcze kochał i tyle męczarni znośił przez ciebie. Dziś możesz żyć dla całego świata!... (*z pogardą puszcza jej ramię*) Nie chcę być ani twym sędzią, ani twoim katem.

Białe domino. Jestem pewną, że mi si-
niec zrobiłeś!...

On (*spogląda na nią z politowaniem*). Będziesz przynajmniej, póki nie zniknie, pamiętała o tém, co ci powiem w tej chwili. Nie kochałaś nic i nikogo w życiu prawdziwie, więc ci trudno będzie zrozumieć drugie serce, które krzywdziłaś przez lat tyle. Nie umiałaś uszanować moich uczuć dla ciebie i poznać się na nich... Czy ty

wiesz, że kiedy straciłem nadzieję, abym mógł zapanować nad tobą i twoją samowolą, miewałem chwile, w których do krwi gryzłem sobie pięście, zamknięty w moim pokoju, podczas gdyś ty walcowała w salonie i do rana swoje siesty odbywała buduarowe. Ulegałem ci najprzód, bom cię kochał zanadto i wierzył ślepo twoim zapewnieniom, że masz naturę gronostaja, która się nie splami nigdy, że lubisz świat i zabawy, ale nie chcesz szukać awanturki że dziwactwa twoje są oryginalnością, a, wybryki fantazyą. Umiałaś to wmówić we mnie od początku, żem uwierzył w prawość twojej natury i zaufał ci. Sama przed sobą nie byłabyś się potrafiła tak bronić, jak ja broniłem ciebie od własnych moich podejrzeń, od podszeptów, które słyszałem, od przywidzeń, które mi spokój zatruwać zaczęły w pierwszych latach naszego małżeństwa. „Lila! — mówiłem ci tylko — Lila, opamiętaj się!..“ ale ty każdą moją uwagę, każde życzliwsze słowo przestrogi przyjmowałaś, jak zamach na tę swobodę twoją, która była jedynym twym ideałem i świętością. Tylko, że między swobodą a swywołą zatarłaś różnicę... Widziałem przecież, jak szybko zaczęłaś do mnie tracić

serce, gdy chciałem moich praw bronić, jak się odwracałaś odemnie zniechęcona, gdy lada twój kaprys uapotkał we mnie opór. Wówczas bałem się utracić to, czego nigdy nie posiadałem w tobie: twoje serce i twoją ufność i robiłem ustępstwa coraz większe, których ty nie umiałaś ocenić, a świat zrozumieć. I oboje w spółce, ośmieszaliście mnie, bo wam z tém wygodniej było!... Dzisiaj ty śmiesz mi w oczy robić wyrzut, że byłem mężem malowanym przy tobie i że cię utrzymać nie miałem siły?... A przecież najłżejszy nacisk doprowadzał cię do szału i podniecał do stokroć gorszych nadużyć. Jak cię było prowadzić, kiedy chciałaś iść wiecznie samopas i nie tą drogą, co cały świat, ale własnymi ścieżkami?... jak cię było kierować, kiedy takiego zakłęcia, takiej świętości, takiej prawdy nie było, dla którejbyś potrafiła zrobić z siebie ofiarę i wyrzec się choćby najmniejszej fantazyi swojej?... Kochałem cię tak bardzo, jak cię dziś nienawidzę, boś nie człowiekiem, ale potworem, który gotów poświęcić wszystko, świat cały dla swego egoizmu, dla swego kaprysu, dla swoich zmysłów i rozkoszy, jak poświęciłaś męża, dziecko, rodziców i jak zgubisz

wszystkich, co w zaślepieniu kochać cię prawdziwie będą... Teraz uwikłałaś nową jakąś ofiarę i wiecznie głodna nowych wrażeń, które cię zgubią kiedyś w życiu, gotowaś rozbić małżeństwo, oderwać może ojca dzieciom, jak rozrywałaś narzeczo-nych i wyjść za mąż za człowieka, który podrażnił twoje nerwy i twoją wyobraźnię, a którego tak samo porzucisz, jak porzu-ciłaś mnie przed rokiem — i myślisz, że pozwolę na to, że przystanę na rozwód. a-
bym był współnikiem nowej twój ohydy?.. Omyliłaś się, pani!... tak nie będzie. Nie znam twego margrabiego, ale mu powiedz odemnie, że prędzę cię może wziąć... na kochankę dzisiaj za moją wiedzą, zanim ci czyjąkolwiek jeszcze żoną zostać pozwolę!..
*(z nienawiścią zbliża się do niej i przez za-
ciśnięte zęby chce jej rzucić jakiś wyraz o-
belgi). Ty... (hamuje się gwałtownie i naci-
snąwszy kapelusz na głowę, wybiega szybko
z łoży, pozostawiając drzwi otwarte za sobą.)*

XV.

— Więc ten margrabia Rampolino był rzeczywistą figurą?—przerwał nam Henryk w chwili, gdyśmy po odczytaniu tej wyrwanej sceny z dramatu rozmawiali z Bolesławem o dziwnym charakterze Malińskiego, zapoznanym przez nas wszystkich dlatego tylko, że tak dobrowolnie zrezygnował na bierną rolę malowanego męża przy boku swojej żony.

— Rozumie się, iż rzeczywistą — odparł mu Bolesław—zmieniłem tylko jego nazwisko, bo żyje dotąd w Medyolanie i zajmuje stanowisko bardzo poważne w arystokracji włoskiej. Widziałem go na własne oczy podczas rozprawy sądowej, gdy stawał, jako świadek; figura imponująca, wielkoświatowy *viveur*, protektor sztuk pięknych, słynny z tysiąca romantycznych awanturek, które mu wypełniły całą młodość

bardzo burzliwą. Jego to było wyrażenie o nieboszczce, że „należała do kobiet, które lekceważą mężczyzn, ale żadne są męskiego pocałunku“; kiedy mówił o niej, miał łzy w oczach i nie wstydził się ocierać ich publicznie, przyznając głośno, że był nią przez pewien czas zajęty tak bardzo, iż nie byłby się wahał dać jej swego nazwiska, gdyby ich małżeństwo projektowane nie było natrafiło na ważne przeszkody. Mówił o niej z godnością, ale i z goryczą zarazem, którą ja rozumiałem najlepiej ze wszystkich, bo doznawałem téj samej mieszaniny uczuć skłóconych z najbardziej krańcowych przeciwności w stosunku z Lilą.

Kochało się ją, a miało zawsze na dnie téj miłości jakiś żal do istoty tak dziwnie niepochwytnej, tak niewolniczo uległej wrażeniom chwili, i przewrotnym instynktem, wszczepionym w nią jakby klątwą jakąś na zgubę téj duszy, wiecznie niespokojnej i trawionej jakąś gorączką tajemną.

Ale pozwólcie mi dopełnić kolejno ten ostatni rozdział, który smutną historią Ōmy zamyka katastrofą.

Patrzcie, pozostaje już nie wiele dokumentów w mojej tece.

Oto kilka wycinków z gazet włoskich i niemieckich, ze zwyczajną reporterską reklamą dla nowej primadonny, która, zdaniem znawców, zabłyśnie jako pierwszorzędną gwiazda na horyzoncie opery.

Nazywają ją ogólnie „contessa Lila di Mali“, opowiadają w przesadnych szczegółach o jej arystokratycznem pochodzeniu, o przeszkodach, jakie jej stawiała rodzina w poświęceniu się scenie, o studyach, odbywanych od dwóch lat u słynnego maestra Giovannini, który zalicza ją do najcelniejszych uczennic, jakie pod jego kierunkiem kształciły się na śpiewaczki, a dla większego zainteresowania nią opinii, wspominają o oryginalnościach pięknej polki, wysoce inteligentnej i ekscentrycznej w życiu prywatnem.

Pod każdym wyrazem znać tutaj podłożonego lira, którym sobie kazano opłacać reklamy.

Półtora roku trwały jednak te przygotowania do debiutu w Dal-Verme; półtora roku od niej saméj nie miałem żadnej wiadomości.

Kiedyśmy się rozstawali w Warszawie, przyrzekłem jej, że gdziekolwiek po raz pierwszy wystąpi na scenie, pojedę zoba-

czyć ten tryumf, którego była tak pewną i pierwszy powinszuję jej powodzenia.

— A jeśli się nie uda?—spytałem ją żartobliwie, nie bardzo w głębi duszy podziękując jej wiarę w siebie.

Uśmiechnęła się ironicznie i odrzekła:

— Musi się udać, albo... wstrząsnę publiczność takim efektem, jakiego jeszcze nie widziała nigdy na scenie.

— Cóż pani obmyśliłaś takiego?

— Przyjedź pan, to zobaczysz — powiedziała —rozumie się, jeżeli zrobię *fiasco*.

Mówiła to swobodnie, ze śmiechem, ale pionowa zmarszczka na jej czole błysnęła wtedy dziwnie złowrogo.

— Bądź pan spokojny—dodała na końcu — zanim wystąpię na scenie, rozkocham wpierw do szaleństwa cały teatr, dyrektora, wszystkich moich kolegów, recenzentów, nawet orkiestrę i publiczność, jeśli będzie potrzeba. To się zrobił..

Przyrzekła napisać do mnie, ale słowa nie dotrzymała.

O jej debiucie doniósł mi Józiek z Wie dnia, któremu poleciłem pilnować tego w dziennikach.

Oto macie depeszę, jaką dostałem od niego na cztery dni przed oznaczonym terminem:

„Aida—Dal Verme—7-go października“.

Nie było czasu do stracenia; choćbym i słowa nie dawał, byłbym i tak pojechał.

Zatelegraflowałem do Józka:

„Pakuj się, jedziemy razem“.

A on znowu do mnie tylko ten jeden wyraz:

„Benissime“.

I w dniu jój pierwszego występu byliśmy obaj w Medyolanie, zamówiszy sobie telefonicznie z drogi dwa miejsca w pierwszy: nrzędzie na debiut signory Lila di Mali w „Aidzie“.

Byłem gotów wziąć własny pociąg pociąg pociąg, aby się tylko nie spóźnić, taka mnie gorączka owładnęła na nowo.

A zdawało mi się przez te półtora roku, że się wyleczył i ochłódł i że to na mnie wielkiego wrażenia już nie zrobi.

Albo to sercu, co kochało, można kiedy dowierzać zupełnie!

Józek mi przez drogę od „waryatów“ wymyślał, ale sam kontent był bardzo, iż jedzie, i udawał, że tylko dla katedry medyolańskiej robi to poświęcenie, nie dla mnie, ani dla jakiegś tam primadonny, bo jest za rozsądny na takie głupstwa.

Dla niej samój, mówił, nigdyby tego nie zrobił, bo jest niewdzięczna i żadnych poświęceń nie ceni; opowiadał mi wówczas o dr. Pollacku, który podobno truł się po jej wyjeździe z Wiednia, chociaż jak powiadano, robił na sobie samym toksykologiczne doświadczenia i opisywał działanie jakiejś nowój trucizny.

Potem zamknął się gdzieś w szpitalu, podobno zapracowywa się dla dobra medycyny i nie pokazuje wcale światu.

— Czy ty myślisz, że on ją naprawdę kochał? — spytałem Józka który w odpowiedzi zrobił uwagę bardzo trafną, jakiej się po nim nie spodziewałem nawet.

— Może nie kochał, ale szalał przez nią, — rzekł — i to jej się lepiej podobało od miłości. Mnie się zdaje, że ona szuka tylko gwałtownych, chwilowych wybuchów, a nie stałego uczucia, jak np. twoje. Czyś ty to spostrzegł, że ona na mężczyzn stara się działać głównie zmysłowo, a nie psychicznie, chociaż to prawie bezwiednie robią wszystkie kobiety, tylko, że ona to robi z samowiedzą i najprzód podrażnia w każdym zwierzęcą stronę jego natury, a potem się odwraca od niego i przeskakuje, jak torreador pomiędzy rogami, dla sportu,

rozjuszonym bykom. O, ja ci mówię, że ją dobrze zbadałem przez czas naszój znajomości!..

Nie chciał mi wszystkiego powiedzieć, ale dziwnie brzmiało w jego ustach zapewnienie, że jój „nie lubi teraz“.

Kokietowała go, jak wszystkich i to go zraziło do niój; jednak musiało być między nimi coś jeszcze, czego mi nigdy nie dopowiedział.

Telegram nasz o bilety, wysłany z drogi, zrobił swoje wrażenie w teatrze; musiano ją uwiadomić o tajemniczych dwóch wielbicielach, którzy pędzą do Medyolanu, aby być świadkami jój debiutu.

Ten debiut nieszczęsny!.. był to przecież pierwszy i ostatni jój występ na scenie.

Nie mogliśmy jój poznać w kostymie Aidy, w czarnej peruce, ze śniadą cerą egipcyanki; zmienioną była zupełnie, a przy tém zeszczupiała od czasu, gdy ją ostatni raz widziałem w Warszawie.

Pod ciemną szminką zmieniły się jej rysy na niekorzyść; zła charakteryzacya zepsuła wrażenie wdzięków, z których tylko oczy zrobiły się jeszcze większe, jeszcze ciemniejsze i fosforyzujące, jak ogniki.

Kostyum miała wspaniały, za bogaty i za swobodny, nawet jak na niewolnicę faraonską; byłoby to uszło w jakim wschodnim balecie, ale w operze raziło. Ten efekt plastyczny, który się rzucał w oczy publiczności zbyt wyzywająco, chybiał celu, szedł za daleko nawet dla włochów, przyzwyczajonych do widoku klasycznej nagości w sztuce i w naturze.

Szeptano sobie złośliwe uwagi w łóżach, w krzesłach się uśmiechano i dowcipkowano półgłosem.

Pomimo reklamy w gazetach, teatr nie był zapełniony.

Z jednej strony klaka hałaśliwemi okłaskami przyjęła debutantkę, z drugiej odezwały się sykania, jako zapowiedź opozycji. Zakulisowa intryga postarała się o to, aby contessa Lila di Mali nie zrobiła przypadkiem na prawdę zbyt dobrego wrażenia.

Ale niestety, na to się wcale nie zanościło...

Ze ściśniętej nerwowo krtani głos jój wydzierał się z jakimś niespokojnym wysiłkiem, drżał, pojedyncze tony zmieniały barwę, w połowie frazesu łamał się oddech, kilka nut niedociągniętych zabrzmiało fałszywie. Sykania się ponowiły.

Siedzieliśmy obaj z Józkiem, jak na torturach...

Sytuacja na scenie ratował Radames, *tenore di forza* w całym znaczeniu tych wyrazów; brunet, o fizyonomii cyrkowego atlety, z grzywką naczesaną na czoło, pod którym świeciła para oczu, roziskrzonych jak u dzikiej bestyi.

Poznać było można, że jest ulubieńcem publiczności; przerywano mu śpiew oklaskami; po każdej wysokiej nucie odzywały się krzyki i hałasy:

— *Bravo Monza!... bravissimo Radames!...*

Damy z łóż wychylały się, aby go lornetować, mężczyźni poufale z pierwszego rzędu krzeseł kiwali do niego głową i wyciągali ku niemu dłonie z oklaskiem; Monza był bohaterem chwili,—swoim dużym cieniem pokrywał debiutantkę.

Tylko, gdy razem śpiewali, znać było, że jego zapal i jej się udziela, czuła się śmielszą w jego objęciu, tuliła się namiętnie do jego piersi i usta podnosiła, jakby w porwałunku do jego ust w pierwszym duecie.

Uważałem, że oboje rzucali bardzo często spojrzenia ku łożu z prawej strony, do tykającej prawie samej sceny, gdzie w głębi ukryty siedział sam jeden jakiś męż-

czynna, i tylko od czasu do czasu wychylały się z cienia jego białe, arystokratyczne ręce, połyskujące brylantowym pierścieniem i posyłające lekki, powolny okłask debutantce.

Czarne oczy Radamesa, ciskały wówczas dwie błyskawice w stronę tajemniczego wielbiciela Aidy, która zdawała się zapominać o sobie, swojej partyi, pałeczce dyrektora i całej publiczności, szepcząc półgłosem jakieś słowa urywane a gorące do bohaterskiego tenora na scenie, jakby go uśmierzać i uspakajać pragnęła.

W pierwszym antrakcie posłaliśmy w dużym bukiecie nasze bilety wizytowe do garderoby Lili; zdawało mi się, że mnie dostrzegła ze sceny w krzesłach, pomimo krótkiego swego wzroku i skinęła przyjaźnie głową na powitanie, ale na ustach miała jakiś bolesny przytęm uśmiech i wzruszyła jakoś tak dziwnie ramionami, jakby powiedzieć chciała:

— Mielście też po co przyjeżdżać!

Miedzy czwartym a piątym aktem przysłała mi kartkę, napisaną na kawałku odartego afisza ołówkiem, w widocznym pośpiechu i ręką drżącą ze wzruszenia.

„Pocziwy pan jesteś, jak zawsze,—pisała—witam pana... dobrze zrobiłeś, żeś przyjechał. Mieszkam przy Piazza del Duomo 14. Czekam jutro od 3-ciej po południu. Addio!...”

Znaczyło to, żebyśmy jej tego wieczoru już nie szukali. Józek przeczytawszy kartkę, oddał mi ją zachmurzony.

— Patrzaj,—rzekł z urazą,—o mnie nawet nie wspomniała. Ma słuszość, przecież ja dla niej nie przyjechałem, tylko dla ciebie, waryacie!..

Po skończeniu opery publiczność wywoływała jedynie Monzę, *tutto solo*, nie chcąc widzieć przy jego boku Aidy. Klaka wprawdzie robiła szalone wysiłki, aby zagłuszyć sykaczy i zwyciężyć opozycjonistów, ale nie wiele to pomogło. Przestano wreszcie podnosić kurtynę i wyszliśmy ostatni z teatru.

Pieszko, w noc księżycową, dostaliśmy się na plac Katedralny i wstąpili do galeryi Wiktora Emanuela.

Nie mówiliśmy prawie nic do siebie przez całą drogę; było nam tak smutno czegoś i głupio na sercu, jakbyśmy wracali z pogrzebu.

Kazaliśmy sobie w jakiejś cukierni podać mazagranu i przez słomki ciągnęliśmy go po

kropelce, zatopieni obaj w myślach swoich, unikając wzajem spojrzenia i rozmowy.

Na Piazza del Duomo pod N-em 14-ym, we wszystkich oknach było ciemno; jeżeli tu Lila mieszkała, to zapewne nie było jej jeszcze, w domu gdyśmy wracali do hotelu, dobrze już po północy.

Nitecki na widok katedry, która jak relikwiarz ze srebra ulany, jak monstrancya bielila się w blaskach księżycowych i zdawała od ziemi unosić w powietrze, ku niebu, wpadł w taki krańcowy zapał, że się rzucił na kolana, kapelusz cisnął na kamienne flizy i z rękoma podniesionemi w górę, bił pokłony na progu kościoła.

— Ot, patrz profanie, ciemnego, krecie ślepy, co warte są wszystkie baby razem, wobec takiego cudu!—wołał do mnie w zachwyceniu.—Czy ci którakolwiek da taką czystą, głęboką, prawdziwą rozkosz, jak takie arcydzieło architektury!... czy którakolwiek warta, żeby dla niej tu pędzić na złamanie karku, jeżeli się ma taką katedrę do podziwiania! Niema nic po nad sztukę, powiadam ci, bo ona jedna uszlachetnia cię, chłopie, podnosi, zabiera z tego paskudnego błota, co się naszą ziemią nazywa i z takiego gałgana prostego, jak człowiek

robi jakieś nadzwyczajne stworzenie, coś takiego, czego ja ci dobrze nazwać nie umiem, ale co czuję w sobie teraz od samej pięty aż do samego czuba!... o!...

Zbudził się w nim gorący entuzysta i usnąć mi nie dał, tylko gadał i gadał, wzdychał, ręce załamywał nad głową i przez otwarte okno z naszego numeru, ciągle wdzierał na katedrę, powtarzając:

— Cuda, cuda, jak Boga kocham—cudowności!

Na drugi dzień zbudziliśmy się obaj dopiero przed południem i zaraz posłali po dzienniki poranne z recenzyami o wczorajszym debiucie.

Przyniesiono nam tylko o jakiś świstek, który ani ganił, ani chwalił, ciągle podnosząc metodę maestra Giovanini'ego, której debiutantka zawdzięczała według niego wszystkie dodatnie strony swego śpiewu.

Dla Monzy przesadzał się pan krytyk w pochwałach, nazywając go lwem tenorów i dumą opery włoskiej; w zapale pisał, iż Radames wczorajszy gwiazdy, nie tony wysokie, wyrzucał i olśniewał słuchaczy każdą nutą, a śpiewał z taką pasją, z taką brawurą, z takim wyjątkowem podnieceniem, z jakim go dotąd nie pamiętano

jeszcze na scenie, pomimo tego, że wulkaniczny jego temperament dobrze jest znanym publiczności, zwłaszcza jej „łatwiej zapalnej połowie.“

Przy zakończeniu recenzyi była wzmianka o fakcie, który uszedł jakoś mojej uwagi na przedstawieniu.

„Signor Monza w trzecim akcie dał się tak porwać sytuacji — pisał recenzent — że po aryi: *Io son' dishonorato*, podeptał wiązanek kwiatów, związanych złotym sznurkiem, które pod stopy debutantki padły z jednej z łóż parterowych na proscenium, jako hołd dla jej wdzięków i talentu od ukrytego w cieniu wielbiciela.

„Brutalność tę popełnił chyba zrozpaczony Radames, nie signor Monza, znany przecież z galanteryi dla dam i uprzejmości dla swych kolegów i koleżanek...”

Nie pojmuję, jak mogłem nie zauważyć tego; ale Józek także nie zauważył tej sceny, którą podpatrzyło bystrzejsze oko reportera.

Poszliśmy się włóczyć po mieście i zwiedzać znowu katedrę z wewnątrz; musiałem łązić aż na dach pomiędzy las posągów, oglądać wszystko szczegółowo od dołu do

góry, bo Józek formalnie bzika dostał w swoich estetycznych zachwytach.

Nareszcie dobrze po trzeciej wybraliśmy się do Lili i to po długiem naleganiu, bo iść ze mną nie chciał, powtarzając:

— Po co pójdę?... co ję tam na mnie zależy?... napisała choć słówko do mnie?... Ja się kocham w katedrze, a ty w niej, idźże sobie sam, a mnie tu zostaw.

Zaciągnąłem go jakoś pod ten nr. 14 na Piazza del Duomo, gdzie na pierwszém piętrze od frontu mieszkała signora Lila di Mali.

Dzwoniliśmy u drzwi z dziesięć minut; nikt nie wychodził. Dom cały był, jak opustoszały, ale że to się często we włoskich kamienicach zdarza, więc zaczęliśmy dzwonić coraz głośniej, pukać i stukać klamką, aż nareszcie z dołu wyszedł do nas stróż w aksamitnej kurtce i niebieskim fartuchu, a na zapytanie nasze odpowiedział nam rzecz najmniej spodziewaną:

— *Signora di Mali é partito.*

— *Quando?*

— *Oggi col signor Monza, per Carate.*

— *Impossibile!...*

Włoch wyszczerzył na nas oczy i zaklął pod nosem, żeśmy takiej prostej historii uwierzyć nie chcieli.

Cóż dziwnego, wyjechała z Monzą dziś rano nad Lago di Como, gdzie przez całe lato zajmowała willę Colobiano i zkąd w ostatnich czasach dojeżdżała tylko do Medyolanu.

Padre Lorenzo za lira rozgadał się z nami, jak zprzyjaciółmi i nie badany objaśnił, że signora di Mali, to bardzo dobra pani, ale dziwaczka, nigdy z nią dojść bardzo do ładu nie można. W ostatnich czasach musiała być chora, a szczególnie od chwili, gdy kolega jój, co to ma *bella voce di teatro*, zaczął coraz częściej odwiedzać ją w rozmaitych porach.

Signore Monza, to kawaler także bardzo miły, ale o ile nie wpadnie w passyą i nie zacznie tłuc butelek ze złości, albo nożami ciskać na ludzi.

Znakomity artysta, wielki śpiewak!.. tylko ma wadę, że lubi wino, dużo wina i wermutu, a kiedy ma w czubku, to jest awanturnik. niby prosty woźnica i robi się z niego człowiek ordynarny; podobno sam pochodzi z ludu i do szesnastego roku ani czytać, ani pisać dobrze nie umiał, dopiero kiedy poszedł na scenę, to się z niego zrobił taki „galantuomo“, za którym

wszystkie damy, prawdziwie wielkie damy szaleją.

Ale on tylko signorę di Mali kocha, chociaż się z nią kłóci nieraz do późnej nocy przy otwartych drzwiach od balkonu i zazdrosny jest o nią tak, że gotów połamać żebra każdemu — *maladetto!* — ktoby się zannadto zbliżyć ośmielił do signory.

Słuchaliśmy tych poufnych zwierzeń z coraz żywszém zajęciem, a z coraz przykrzejszém uczuciem.

Józek od czasu do czasu rzucał mi znaczące spojrzenia i kiwał głową ze zgrozą, pytając:

— A co?... a co?... co się z naszėj pani Lili zrobiło?... No, przecież to jasne, że ten Monza jest teraz jēj kochankiem i że się dla niego kompromituje do reszty.

Odeszliśmy, poruszeni obaj do głębi duszy jowialném opowiadaniem starego, który ani się domyślał, jaką nam obu każdém słowem, każdą uwagą, każdym dwuznacznym uśmiechem przykrość i boleść sprawiał, odsłaniając tajemnice domowe lokatorki z pierwszego piętra.

Mieliśmy nawet opuścić Medyolan, nie zobaczywszy się więćej z nią, kiedy nagle na drugi dzień zdrętwieliśmy obaj, wzięwszy

do rąk poranny dziennik z tym telegramem, wydrukowanym na czele tłustymi literami:

„*Como*, 9-go października. Potworna zbrodnia! Dzisiejszej nocy tenor Monza zamordował w szale zazdrości signorę Lilę di Mali, pod Villą Colobiano, którą razem w ostatnich czasach zajmowali...”

Oniemieliśmy obaj z przerażenia i jeden do drugiego słowa nie mógł przemówić, tylko patrzył w drukowane litery i zdawało mu się, że zapomniał czytać, że to nie może być, aby taka rzecz stała czarno na białém, żeby to było faktem rzeczywistym.

Jakże, przedwczoraj wieczorem patrzyliśmy na nią, słyszeliśmy ją, widzieli żywą, przed chwilą rozmawialiśmy jeszcze o niej, a teraz!.

To nas uderzyło, jak obuchem.

Józek rękę załamał i za głowę się chwycił, powtarzając tylko:

— Jezus, Marya!.. Jezus, Marya!..

Ja nie wiem, co się ze mną działo; w pierwszej chwili uczułem, jak mi krew uderzyła do mózgu a potem odpłynęła nagle i zabrała z sobą wszystkie myśli, całą przytomność, całą samowiedzę, miałem głowę pustą, jak trupia czaszka i dopiero,

gdym uczuł kilka kropel zimnej wody, którą mi pocziwy Józek w twarz bryznął, widząc że omdleвам, ocknąłem się znowu do życia.

Trzymałem w ręku tę gazetę przekłętą i patrzałem w nią, jak obłąkany, jak idyota.

Nitecki mi później opowiadał, że wyglądał tak, iż się moich oczu przestraszył; miałem szeptać coś do niego i do siebie, z czego tylko zrozumiał pojedyncze wyrazy.

— Zamordował?.. To nie może być, to nie może być!.. nie wierzę... Como? Co za Monza?.. jaki tenor?.. to nie może być!..

A on, pocziwe chłopczysko, choć miał do niej urazę i wygadywał ze złości Bóg wie co na nią przez te dwa dni naszego pobytu w Medyolanie, płakał przy mnie, tak był głęboko tą wiadomością wzruszony i przejęty.

Cóż to dziwnego, że na nas to tak wielkie uczyniło wrażenie; myśmy ją znali, myśmy byli swoi, ale całe miasto było wzburzone, cały Medyolan o niczem innem nie mówił, tylko o jój zamordowaniu.

Bardzo wiele osób wybrało się natychmiast koleją do Como, a potem statkiem

do Carate, aby na miejscu sprawdzić sensacyjną wiadomość.

Zastaliśmy tam pełną villę ludzi, mnóstwo świata teatralnego, dyrektora opery, prokuratora, urzędników, zgiełku, krętaniiny, rajwachu.

Przed domem dotłoczyć się nie było można; cała Villa Colobiano otoczona była ludźmi, przy wszystkich wejściach stała straż.

W dwóch oknach na parterze spuszczone były zielone żaluzye; pokazywano sobie palcami te okna z objaśnieniami, że tam leży ciało zabitej ofiary. Pod nimi stało dwóch bersaglierów z karabinami i nie dozwalało zbliżyć się nikomu.

Poszliśmy do urzędnika policyi i przedstawili mu się, jako rodacy i znajomi nieboszczki; kazał nas niezwłocznie przepuścić, zapytując, czy będziemy mogli złożyć jakie zeznania co do zamordowanej.

Spisywano właśnie protokół i ekspertyzę lekarską.

Monza był już uwięziony i odesłany do Como; znaleziono go śpiącego w sypialni nieboszczki, na jej własnem łóżku, w tym samym gabinecie, w którym potem jej ciało złożono.

Nie zapierał się niczego, gdy go obudzili i na zapytania sędziego, czy nie wie, kto mógł popełnić tak ohydny zbrodnie, odpowiedział wprost, z teatralną brawurą, uderzając się zaciśniętą pięścią w piersi:

— Nikt inny, tylko ja!..

— A dlaczego pan to uczynił?..

— To już rzecz między nami, — miał odrzec, odmawiając w pierwszej chwili wszelkich wyjaśnień.

Sędzia mu zrobił uwagę, jak po spełnieniu takiej zbrodni mógł usnąć spokojnie?

— Piłem dużo — odpowiedział na to — i całą noc poprzednią nie spałem. Zresztą, nie potrzebuję się z tego tłumaczyć; odstawcie mnie do Medyolanu, do więzienia. *Avanti!*..

W sypialni, na szerokiej sofie, przykrytej dywanem, złożono ję ciało wydobyte tuż prawie przy samym brzegu z jeziora, nieopodal willi, którą zamieszkiwała w ciągu lata; leżała rozebrana, nakryta tylko prześcieradłem, z pod niego widać było jedno ramię obnażone i rękę siną, kurczowo zaciśniętą, w której trzymała jeszcze trochę piasku i trawy.

Widocznie chciała się wydostać na brzeg, gdy ją pchnął z łódki do wody, ale siły ją opuściły i utonęła...

Na stoliku leżało całe jęj ubranie zmoczone, wilgotne jeszcze; była w szlafrocжку jakimś koronkami naszywanym, w pantofelkach złożonych i niebieskich jedwabnych pończochach.

Na palcach miała te same pierścionki z szafiru i brylantów, któremi za życia lubiła się zawsze bawić podczas rozmowy; paznogie jęj całkiem zczerniały, znać było pod niemi skórę zdartą, jakby od mocnego uderzenia.

Twarcz miała okropną, zmienioną do niepoznania, z wyrazem śmiertelnej trwogi i rozpaczv w ustach, jakby do krzyku otwartych...

Zęby widać było z pod sinęj wargi...

Na głowie zlezione włosy rozplotły się i jak węże zdawały się pełzać po szyi; nad czołem miała ranę głęboką od uderzenia wiosła, którem ję ten łotr w wściekłości swojej ogłuszył, gdy starała się podpłynąć napowrót do jego łodzi i rozpaczliwie uchwycić burty;—obcasem nastąpił jęj na palce a kantem wiosła zadał cios w głowę, wystającą z fal jeziora!..

Ta walka przedśmiertna o życie trwała zaledwie chwil kilka, ale musiała być okrutną, straszną, gorszą od wszelakiej śmierci.

Pomyśleć o tém tylko, a krew się w żyłach ścina,—w oczach człowiekowi ciemnieje!...

Zobaczcie, tu w tym albumie jest fotografia jej, zdjęta na żądanie sędziego śledczego po śmierci, a tu macie resztę wycinków i sprawozdań z gazet włoskich..."

*

*

*

Album, które nam Bolek dał do obejrzenia, oprawne było w czarny aksamit, spięte srebrną klamrą w kształcie émy; zawierało tylko dwie ramki, a w nich obok siebie dwie fotografie, w których cały kontrast życia i śmierci, cała niemal historia tej dziwnej kobiety, odbiły się w dwóch obrazach, zestawionych z sobą, jakby dla wydobycia całego tragizmu z historii jej żywota.

Na pierwszej widać było Lilę w kostyumie, o którym swego czasu dużo mówiono po jakimś balu na cel dobroczynny. kiedy przebrana za osę, zachwycała wszystkich swą wciętą talją i złośliwym dowcipem.

Trzymała w rękach pęk kwiatów i z jakimś dyabelskim uśmieszkiem wpatrywała

się w ich otwarte kielichy; pod spodem drobném pismem mieścił się dwuwiersz, własną jej ręką umieszczony, a tak charakterystyczny ze względu na jego autorkę:

Życie, jak bukiet... Kto kwiaty zliczył!...

Czy w każdym kwiatku kropla słodyczy?...

Z tém zapytaniem szła przez życie, ale odpowiedź znalazła się na drugiej fotografii, na której widać ją było straszną, z ponurą fizygnomią, jaką jej nadała gwałtowna śmierć z brutalnej ręki człowieka, który popełnił zbrodnię w uniesieniu i zabił ją, jakby zabił osę, co go żądłem ukłuła.

Była to fotografia trupa Lili, w parę godzin zdjęta po wykryciu morderstwa.

Bolek zestawił ją razem z tamtą i oprawił w jedną całość tak wymowną, a tak przejmującą, żeśmy zapatrzeni w album, oniemieli wszyscy trzej na długą chwilę.

Ten widok, z rzeczywistości zdjęty, silnie przemówił do nas, niżby to mogły uczynić wszystkie żywe słowa i najbardziej realistyczne opisy.

Muzyk nasz zasłonił sobie oczy i odezwał się do Bolesława z dreszczem grozy:

— Jak ty możesz trzymać coś takiego u siebie!...

Ale Bolek westchnął z bolesnym uśmiechem i odparł:

— Cóż to znaczy wobec pamięci, z której tego obrazu ani wyrwać, ani zatrzeć, ani spalić nie można!... noszę go tyle lat z sobą w myślach, mam na oczach, jakbym dopiero wczoraj widział. Patrzałem przecież przez kilka godzin na nią, zanim mnie od jej trupa oderwali...

Zaciął usta i zamknąwszy szybko album, odezwał się po chwili.

— No, czas skończyć tę smutną historią, bo już świtać zacznie wkrótce; mamy jeszcze przeczytać tych kilka świstków i zamkniemy tekę na dzisiaj.

Zostały nam tylko zeznania Monzy i niektóre szczegóły ważniejsze ze śledztwa. Zobaczycie, dla czego ją zabił i w jakich okolicznościach. Najtreściwiej zdała z procesu sprawę *Gazetta di Milano*; inne przesadzały zanadto i robiły jeszcze jaskrawszą tą tragedią

Na wszystkich wystawach w Medyolanie umieszczono fotografie Monzy i jej obok siebie.

Ani się spodziewała, jakiego nabierze
rozgłosu — po śmierci!...

Przez kilka tygodni dzienniki wypełnione
były historią „Tenora-zabójcy;“ po uli-
cach sprzedawano broszury pod tytułem:
„Tragedya primadonny“.

Tu macie zeznanie jego w streszczeniu.

XVI.

..., Nazywam się Paolo Monza, mam lat dwadzieścia pięć, jestem synem oberżysty z Coccaglio w pobliżu Brescii. od półtora roku śpiewam w operze pierwsze partye tenorowe.

Z nieboszczką poznałem się w Medyolanie.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w La Scala; lornetowała mnie ze swojej łoży nieustannie, przez pierwsze dwa akty, potem maestro Giovannini, mój dawny i jej nauczyciel śpiewu, zaprowadził mnie do niej i przedstawił. Mówił mi że to wielka pani i bardzo oryginalna, która chce zostać artystką.

Poszedłem jak do przyszłej koleżanki; czemu nie?.. to mi się nieraz zdarzało, że piękne kobiety były ciekawe mnie poznać. Jedna mniej, czy jedna więcej, to nie sta-

nowi różnicy. Myślałem, że się nasza znajomość skończy, jak tyle innych, ale ona miała oczy dzikiego kota i temi oczyma mnie od razu urzekła, pomimo *getatury*, którą zawsze noszę przy sobie.

Tego samego wieczoru zaprosiła nas do siebie po teatrze na lampkę orvietta. Lubię dobre wino, ale lubię jeszcze bardziej piękne kobiety, więc poszedłem z Giovanninim i śpiewałem u niej coś do trzeciej godziny z rana.

Na drugi dzień kazała mi przyjść do siebie na śniadanie; mieliśmy spróbować z sobą kilka duetów. Mówiliśmy dużo o śpiewie, o operze, o stosunkach teatralnych, śpiewaliśmy także.

Zrobiłem jęj uwagę, że źle oddech bierze i niektóre tony fałszywie atakuje; prosiła, czybym jęj nie dał kilka lekcyj i nie poprawił błędów w śpiewie. Dla czego nie miałem tego zrobić?.. powiedziałem jęj, że dobrze, mogę przychodzić ale po koleżeńsku, bez wynagrodzenia. Nie chciałem brać pieniędzy.

Giovannini się na to także zgodził, i zaczęliśmy z sobą pracować. Ja to traktowałem na seryo; lekcye nasze trwały niekiedy po kilka godzin.

Z początku przychodziłem do niej tylko w dzień, potem coraz częściej przed teatrem i po teatrze, potem nieraz kilka razy dziennie w rozmaitych porach.

Widziała dobrze, że mi się podoba, bo tak było w istocie. Wszystkie inne kobiety zbrzydły mi i zubożyły przy niej.

Podobałem się jej także, mówiła mi to sama, a jej kocie oczy umiały tak patrzeć na mnie, że czułem jej spojrzenia nawet w tłumie publiczności.

Kiedym śpiewał na scenie, nie przestawała mnie nigdy lornetować.

Był czas, że na każdym przedstawieniu dostawałem od niej wieniec, albo bukiet świeżych kwiatów. Dla nas artystów to rzecz zwykła; mamy zarówno wielbicieli, jak wielbicielki, nawet wśród takich, których nigdy nie znaliśmy osobiście.

Zacząłem poznawać się na tém, że jest o mnie zazdrosną; musiałem dla niej zerwać wszystkie moje stosunki i cały wolny czas jej poświęcać. Żądała tego. Powiedziałem na to: „Dobrze, Paolo to robi, ale cóż mu z tego przyjdzie?“. Wtedy zamiast odpowiedzi pierwsza mnie pocałowała, lecz kiedy ją chciałem schwycić w pól, wyrwała z włosów srebrny sztylecik i zrauliła

mnie nim w rękę, nie wiem czy umyślnie, czy przypadkiem, bo nigdy dobrze nie mogłem jej zamiarów przeniknąć. Nie wiedziałem, czy gra ze mną komedya, czy też jest całkiem szczerą. Trudno mi było zrozumieć ją. Raz zbliżała się do mnie sama i zarzucała mi ramiona na szyję z entuzjazmem, w jaki ją najczęściej mój śpiew wprawiał, a drugi raz wyrywała rękę, gdy m ją chciał pocałować i kazała mi siadać w drugim końcu salonu.

Drażniła się ze mną, jak ze swoją papugą, albo małpą.

Kilka razy doprowadziła mnie tćm postępowaniem do takiej pasyi, żem się chciał rzucić na nią i zdusić ją; byłem zawsze bardzo gwałtownego usposobienia; wiedziała o tćm i jakby umyślnie wywoływała takie wybuchy.

„Lila—ostrzegałem ją—nie drażnij mnie, ja jestem dziki, gdy się uniosę. W mojej rodzinie było dwóch bandytów!.. ale ona się śmiała z tego i patrzyła na mnie przez lornetkę, jak na pajaca. Dyabeł ją kusił, aby mnie zgubić kiedy i siebie.

Przychodziło do niej codziennie mnóstwo błaznów, takich po trzynaście na tuzin, którzy się w niej kochali. Znałem ich

wszystkich, bo mi o każdym opowiadała, dawała mi ich listy miłosne do czytania i śmiała się ze mną razem ze swoich wielbicieli.

Mimo to, bywałem wściekły.

Robiłem jój sceny zazdrości i szedłem potem pić z kolegami po całych nocach. Mówiła mi wtedy, że m głupi i nie rozumiem tego, iż piękna kobieta musi mieć swoją świtę, jak jaki feldmarszałek.

Kilka razy próbowałem z nią zerwać i odsunąć się, bo mnie zanadto męczył taki stosunek.

Kazała mi przed sobą służyć na dwóch łapkach, jak psu, któremu na nosie kładą kawałek cukru i mówią: „waruj, waruj!“... i śmieją się z niego, kiedy pies warczy i niecierpliwi się, i grymasy robi.

Podobała mi się bardzo, ale za dobry byłem na jój pieska pokojowego.

Gdy się buntowałem i uciekałem, to mnie goniła; przychodziła pod moje drzwi i łaściła się, jak kocica.

Miałem zamiar już porzucić przez nią Medyolan i powiedziałem jój to w oczy.

„Jeżeli uciekniesz—zabiję się!“—groziła mi i byłaby może to zrobiła w rozdrażnieniu, mnie na złość!..

Wtedy mi jęj żal było i wracałem.

Ze wszystkich, najbardziej mi się nie podobał jęj stosunek z margrabią X.

Zdawało mi się, że oboje drwią sobie ze mnie. Tego arystokratę nienawidziłem za wszystkich innych. Przyznaję się do tego otwarcie, bo postanowiłem mówić samą prawdę. Wszystko mi jedno, czy prawda mnie zgubi; nie mam i tak nic do stracenia.

O margrabiego robiłem jęj najczęściej sceny i żądałem, aby z nas dwóch wybrała tylko jednego, kogo woli.

Można jeść naraz dwie figi, ale nie godzi się kosztować jednocześnie dwóch mężczyzn....

Odpowiadała mi, że jestem waryat i że ją niewinnie maltretuję o człowieka, który jest jęj najlepszym przyjacielem, ale nie kochankiem. „Mogłabym wyjść za niego za mąż—mówiła—ale nie mogłabym nigdy należeć do niego, jak do ciebie...” Dlaczego nie?... w to trudno mi było uwierzyć.

Raz pokłóciliśmy się o jakiś list jego, którego mi nie chciała dać do przeczytania; podarła go, włożyła do ust, pogryzła i połknęła w mojej obecności, widząc, że

nie ustąpię. Wtedy miałem już tego za wiele.

Rzuciłem ją na dywan i uciekłem.

Tydzień cały nie pokazałem się jój na oczy, odsyłałem do wszystkich dyabłów jój posłańców z listami, chciałem zerwać kontrakt i wyjechać.

Aż pewnego dnia dostałem przez miejską pocztę anonim. Jakiś przyjaciel donosił mi przez życzliwość, że byłem haniebnie zdradzany, że jeżeli się chcę przekonać o tej niegodnej kokietce, to potrzebuję tylko dziś wieczorem wyjść około godziny dziewiątej na via Manin; za bramą do Giardino publico będzie stała karetą, a w niej przyjedzie na schadzkę z margrabią signora di Mali.

Byłem tą wiadomością ugryziony, jak przez skorpiona. Zabrałem mój rewolwer i latarkę, nacisnąłem kapelusz na oczy i poszedłem, aby ich złapać.

Kareta stała rzeczywiście w oznaczonym miejscu; wszystka krew zawrzała we mnie. Nie mogłem się powstrzymać, dopadłem do karety, szarpnąłem drzwiczki i zaglądnąłem.

W karecie siedziała kobieta, otulona koronkową chustką.

— *Sei tu, Lila?* — wrzasnąłem tak, że stangret omal z kozła nie spadł.

Byłbym ją wtedy o wiele wcześniej uśmiercił, bo już trzymałem palec na kurku od rewolwera i miałem strzelić do niej, ale mnie doleciał z głębi powozu jęć śmiech tryumfujący.

— No, przecież cię złowiłam! — zawołała, klaszcząc w ręce i pokładając się od śmiechu.

Wciągnęła mnie do karety, konie ruszyły z miejsca, a ona zaczęła mi cytować cały anonim na pamięć; napisała go bowiem sama.

Pokazało się, że użyła tego fortelu, aby podrażnić moję zazdrość i w ten sposób zmyśloną wieścią o jęć schadzce z margrabią sprowadzić mnie znowu do siebie.

Cieszyła się z tego, jak szalona, że się jęć udało wziąć mnie na taki podstęp.

Wtedy pogodziliśmy się znowu na czas jakiś.

To było na kilka miesięcy przed jęć pierwszym występem.

Zapewniła mnie, że z margrabią wszystko zerwane, że zrobiła dla mnie jeszcze i tę ofiarę, że go już więcéj nigdy nie zobaczy.

Uwierzyłem; dla czego nie miałem uwierzyć, kiedy mi to mówiła po ciemku, w karcie, z rękoma zarzuconemi mi na szyję, z twarzą płonąca i przytuloną do mego policzka, tym szatańskim swoim szeptem, który mnie tyle razy przytomności pozbawiał.

A jednak wtedy kłamała, choć mi mówiła, że nigdy nie kłamie, że tylko byłaby zdolną nie powiedzieć całej prawdy, odmówić tłumaczenia się, ale nie użyłaby kłamstwa, którem się brzydzi.

Musiałem jęj uwierzyć.

I źle zrobiłem, że jęj jednak wtedy nie zastrzelił: byłoby się wszystko wcześniej skończyło.

Panowie sędziowie, ja się nie myślę uniewinniać, opowiadam tylko, jak było, niby na sądzie Bożym, a wy możecie potępić, jak prawo wam nakazuje, ale chcę, abyście wszystko wiedzieli, wszystko, całą prawdę.

Zabiłem moję kochankę —jestem mordercą, z tego mnie nikt w świecie nie obroni, jednak posłuchajcie jeszcze, jak się to stało owęj nocy na Lago di Como...

Uważałem, że w ostatnich czasach przed swoim debiutem, di Mali była niezwykle

rozdrażniona; piła razem ze mną wermut i pytała, czy dużo go można wypić na osobę. Powiedziałem jój, że to zależy od głowy i przyzwyczajenia.

Ja już wypijałem całą butelkę na siebie samego.

Podczas „Aidy“ piliśmy wino czerwone w garderobie; dodawało jój to odwagi, ale śpiewała gorzej, niż ze mną na lekcjach i na generalnej próbie.

W antrakcie dostała bukiet od jakichś dwóch przyjaciół, którzy przyjechali dnia tego umyślnie do Medyolanu na jój debiut. Nie chciałem temu wierzyć, pokazała mi ich karty wizytowe, ale mimo to podejrzewałem, że kwiaty pochodziły od margrabiego. Siedział w łoży i lornetował ją nieustannie; to mnie drażniło. Chciałem mu zrobić jaką impertynencją ze sceny i gdyby mnie nie była powstrzymywała, kto wie, czybym był mu w twarz nie plunął. U mnie to łatwo. Nie umiem się hamować, gdy wpadnę w pasyął..

Podeptałem róże, które jój rzucił w trzecim akcie i byłbym ją podeptał tak samo za to, że patrzała do jego łoży.

Zdawało mi się, że sobie dawali jakieś znaki i byłem wściekły na nią i na niego.

Powtarzała mi półgłosem:

— Paolo, jesteś waryat!.. Paolo, nie bądź głupim, stajesz się śmiesznym. Publiczność wszystko widzi!—ale nie chciałem jęj słuchać.

Śpiewałem tego wieczoru tak, jakbym chciał sobie gardło rozedrzeć i piersi zniszczyć na całe życie. Wszystko mi jedno było; byłem zły na siebie, na nią, na mego rywala, na cały teatr.

W gazetach mnie na drugi dzień recenzenci pochwalili. Głupcy!.. ignoranci!.. ja przecież ryczałem, czekałem, wyłem—ale to nie był śpiew, to była furja.

Po teatrze miałem z nią scenę; nie chciałem jęj odprowadzić do domu. Umyślnie jęj tak mówiłem, chcąc się przekonać, czy będzie bardzo nalegała i czy przypadkiem margrabia gdzie ze swoją kareta nie będzie na nią czekał po drodze.

Byłbym ich wtedy oboje zabił, o temi kułakami!..

Ale musiała to przeczuć, bo mnie nie puściła samego. Mimo wszystko, nie mogłem się pozbyć podejrzenia, że mają z sobą umówioną schadzkę i chciałem ich koniecznie razem przydybać.

Widziałem, jak po ostatnim akcie dostała jakąś kartkę, którą ukryła spiesźnie za gors i palec położyła na ustach; jęj subretka wiedziała, co to znaczy. O, ta subretka!.. żałuję, że jęj wpierw nie utopił, zanim jęj pani śmierć zadałem. Ona pomagała mnie oszukiwać. Kanalja!..

Chodziliśmy wtedy ze dwie godziny po ulicach, kłócąc się i szarpiąc ze sobą. Żądałem, żeby mi pokazała list, który dostała po sztuce za kulisami. Zapierała mi się w żywe oczy, i to mnie najbardziej oburzało.

Próbowała się śmiać z mojęj zazdrości, to znów wyzywała ją i drażniła, mówiąc:

— Tak jest, pisał do mnie margrabia; i cóż z tego?.. błaga o chwilkę rozmowy, chce się zbliżyć, kocha mnie szalenie i żąda, abym cię porzuciła dla niego, a ja?.. widzisz przecie, że zamiast go usłuchać, chodzę z tobą po tych pustych ulicach i pozwalam sobie mówić grubiaństwa. Bawisz mnie, dlatego ciebie wolę. *Ecco!*..

Poszliśmy do domu, kiedy już prawie świtać zaczynało; byliśmy oboje głodni i pić nam się chciało. Nad rankiem dopiero jedliśmy razem kolacyą u nięj w domu, ale przez cały czas nie przestawaliśmy się

kłócić. Potłukłem kilka talerzy ze złości, a ona pokładała się ze śmiechu.

Robiła na mnie wrażenie waryatki, albo takiej, co ma wkrótce zwaryować; mówiła o swoim debincie i szydziła z niego sama, ale ręce załamywała podczas tego, że omal sobie palców nie pogruchotała.

Raz nawet podczas największego śmiechu zakryła sobie nagle oczy dłońmi i wybuchnęła płaczem, ale to trwało tylko chwilę. Łzy jej jednak, jak groch, potoczyły się przez palce; porwała nóż ze stołu i nie wiem już w kogo go pełnąć chciała, w siebie, czy we mnie, bo ją schwyciłem mocno za rękę i posadziłem na fotelu.

Zbladła okrutnie, oczy zamknęła i wydała się zemdloną; ręce jej opadły bezwładnie i tak bez ruchu, jak martwa siedziała kilka minut. Potem się sama ocknęła, wypila kieliszek wina i spytała mnie, czy chcę z nią wyjechać do Carate, ale natychmiast?

Miała często takie nagłe zachcianki, byłem do tego przyzwyczajony.

— Jeśli nie pojedziesz—rzekła mi—będziesz żałował..

— Czego będę żałował?—zapytałem.

— No, zobaczysz!..

W Carate zajmowała Villę Colobiano, gdzie bardzo często spędzałem z nią po kilka dni w tygodniu. Nie lubiłem tój willi, bo tam do niej przyjeżdżał z początku margrabia i woził ją łódką po jeziorze; tę łódź przysłał jój nawet w prezencie swojego czasu.

Chciałem ją raz porąbać siekierą ze złości, gdym się o tém dowiedział.

Przystąpiłem na jój propozycyą i po nieprzespanej nocy, zmieniwszy tylko bieliznę na sobie i kupiwszy sobie poranny dziennik po drodze, udałem się wprost na dworzec, gdzie mnie di Mali już oczekiwała.

Wyglądała bardzo zmęczona, oczy miała podkrojone i usta spalone od gorączki; miała na sobie tylko jakiś fałdzisty płaszczyk fularowy, a na głowie czarną koronkową chustkę; była bez rękawiczek i bez parasolki.

W wagonie nie mówiliśmy do siebie przecież ani słowa. Ona siedziała zamysłona, ja drzemałem. Głowa mnie rozbolała i czułem, jak mi raz po raz krew do skroni uderza.

Podąłem jój dziennik, aby sobie przeczytała recenzyą; wzruszyła obojętnie ramionami i nawet go do rąk nie wzięła. Pomy-

słałem, że go już przeglądała w domu i że ją uraziły pochwały, które mnie oddawano, zbywając ją lada czem, jako debutantkę.

Między nami, artystami, panuje zawsze cicha albo głośna zawiść, nawet wtedy, kiedy się kochamy; to trudno, to silniejsze od naszej natury.

Podejrzewałem ją o to samo.

Gdyśmy przybyli na miejsce, było już południe. Słońce tego dnia dopiekało, powietrze było parne i duszne.

Pospuszczaliśmy w oknach żaluzje i siedzieli w cieniu, jak para dzikich zwierząt w klatce; byliśmy sami w całym domu...

Nie odzywała się do mnie, jak gdyby mnie tam nie było; ignorowała mnie umyślnie.

— Po coś mnie tu przywiozła?— spytałem ją, zniecierpliwiony jej ciągłym milczeniem, a ona wzruszyła ramionami, skrzywiła usta z grymasem i odrzekła zimnym głosem:

— Możesz sobie wrócić do Medyolanu, jeżeli ci tu źle.

Wtedy na nowo wybuchnąłem:

— Tak, ja wiem, chciałabyś zostać samą, aby przyjąć tego trutnia margrabiego,

który ci zapewne dał *rendez-vous* na dziejszy wieczór. No, kiedyż przyjedzie?... Przyznaj się, może mam dla was kolacyą przygotować i wino zamrozić.

Popatrzyła na mnie z pogardą, i zacięła usta, co mnie jeszcze bardziej rozdrażniło.

Takie spojrzenia równały się obeldze.

Ona to umiała; o, kobiety umieją policzkować niekiedy oczyma, gdy je mężczyzna obrazi!..

— Nie jesteś wart, abym do ciebie mówiła—powiedziała do mnie, i poszła sama do ogrodu przejść się, zostawiwszy mnie samego w willi z mojami myślami i wściekłością.

Postawiłem przed sobą butelkę i piłem. Wtedy mi po głowie zaczęły przelatywać rozmaite podejrzenia i domysły, przywidzenia i posądzenia, albo ja wiem ostatecznie co!.. pamiętam tylko, że głośno z sobą rozmawiałem i pięścią waliłem w stół, przywołując ją do siebie.

Nie mogła mnie słyszeć, bo była w głębi ogrodu i siedziała tam ze dwie godziny.

Poszedłem ją wreszcie szukać i sprowadziłem do domu. Jakieś licho buntowało mnie ciągle przeciw niej i podjudzało. Jęj

widok drażnił mnie, a nie mogłem od niej oczu oderwać.

Ten uśmiech politowania i ironii, z jakim spoglądała na mnie, był gorszym od uderzenia pięścią w twarz.

— Ty się tak nie patrz na mnie — wołałem—mówię ci, nie drażnij mnie, ja jestem dziki!.. ty mnie jeszcze nie znasz zupełnie.

— Znam cię—odpowiedziała — o, znam cię dobrze!

— Znasz?..

— Tak, jesteś piękne, młode, wspaniałe... zwierzę.

— To się go strzeż!.. — wykrzyknąłem, grożąc pięścią; a ona wpatrując mi się w same źrenice śmiało i wyzywająco, jak wąż który chce się rzucić na człowieka i ugryźć, spytała:

— Dlaczego?.. cóż ty mi zrobić możesz złego?..

— Mogę cię zabić— powiedziałem wówczas bez namysłu. Odwróciła głowę i skinęła ręką, ot tak—jakby chciała odrzec:

— Et, mniejsza o to!..

• Znała moją popędliwość, ale może nie wierzyła, abym mógł to uczynić.

I nie byłbym zapewne zdolny do zamordowania jęj z zimną krwią i rozmysłem, ale po pijanemu, w szale zazdrości i rozdrażnienia, spełniłem tę zbrodnię z okrucieństwem dzikiej bestyi. Zwierzę!.. przecież ona sama mnie tak nazwała.

Pod wieczór ożywiła się, siadła do fortepianu i próbowała śpiewać, ale jęj chrypka przeszkadzała, więc grała jakąś szaloną tarantellę w piekielném tempie, jakby przy niej same dyabły tańczyć miały. Potém zerwała się nagle i rzuciła na szezlong z twarzą wciśniętą w poduszkę; podszedłem do niej i ukląknęłem obok, przyszła mi ochota pocałować ją o tu, w wygorsowany karczek, z którego odchylił się koronkowy kołnierz, — widok jęj wdzięków zatarł wszystkie przykre uczucia we mnie i urazę, jaką do niej żywiłem.

Nachyliłem się nad nią i przycisnąłem namiętnie usta do jęj szyi...

Rzuciła się, jak żmija i powstając, odepchnęła mnie silnie ze słowami:

— Idź precz!.. czuć cię winem... nie zbliżaj się do mnie!..

Wyrwała mi się z objęcia i uciekła do drugiego pokoju, zatrzasnawszy drzwi za sobą.

Zdawało mi się, że jestem jeszcze bardziej pijany w owęj chwili, winem i namiętnością. Zatoczyłem się i padłem na szeszlong.

Gdyby mnie tak była zostawiła, byłbym usnął, wytrzeźwiał i nie popełnił owęj zbrodni, za którą stoję dziś przed wami, panowie sędziowie.

Ale jęj przysła szatańska myśl do głowy wrócić i skusić mnie do tęg przeklętęj przejażdżki po jeziorze.

Księżyc właśnie wschodził, gdyśmy siadali do łodzi; aby mnie ułagodzić i przeprosić, przyrzekła, że mi się znowu pozwoli pocałować na wodzie, ale muszę jęj zaśpiewać barkarolę z „Niemęj“...

Na jeziorze wróciła do swojęj zwyklęj taktyki... Zaczęła mnie drażnić margrabią, chwaliła go, wynosiła jego galanteryą i dobre wychowanie, jego znajomość kobiet i delikatność uczuć.

— Gdy mi się sprzykrzysz, wyjdę za niego za mąż, — powiedziała mi wreszcie wprost w oczy. — Jedno słowo wystarczy, aby był u nóg moich...

Oczy jęj świeciły, jak ogniki, choć bladą była, jak mara.

Wyjęła z za gorsu jakiś bilet pomięty i udawała, że go całuje—mnie na złość.

— Oddaj to!—zawołałem, nie posiadając się z gniewu—oddaj natychmiast!.. to jest bilet, który wczoraj otrzymałaś od niego!..

Śmiała się i na swoje nieszczęście podniosła z siedzenia.

— Oddaj, słyszysz!..

— Nie oddam, nie masz prawa...

Nie zdołała dokończyć, bo jak szalony pchnąłem ją końcem wiosła w wodę, gdyśmy już prawie dobijali do brzegu... Z krzykiem wypadła z łodzi, woda plusnęła w górę i wtedy...

Panowie sędziowie, resztę wiecie już sami ze śledztwa; nie każcie mi powtarzać tych szczegółów po raz drugi!..

Przewodniczący: Czy przyznajesz pan, że nastąpiłeś denatce na palce, gdy się chwyciła łodzi, usiłując się ratować?

Podsądny. (*złamanym głosem, ze spuszczonej oczyma*). Być może.

Przewodniczący. A następnie zadałeś jej wiosłem cios w głowę, w okolicy ciemienia, gdy wypłynęła nad wodę?..

Podsądny. (*potwierdza skinieniem i ledwie dosłyszalnym głosem mówi*). Tak.

Przewodniczący. I dlaczego pastwiłeś się tak nad swoją nieszczęsną ofiarą?..

Podsądny. *(milczy przez chwilę i wybucha spazmatycznym łkaniem, wśród którego nie można zrozumieć jego odpowiedzi).*

Przewodniczący *(dzwoni).* Zawieszam dalszą rozprawę na minut dziesięć.

Zamiast epilogu.

Kiedyśmy jeszcze pochyleni nad otwartą teką Bolka siedzieli w milczeniu, z głową podpartą na dłoniach dokoła stołu, i żaden z nas nie śmiał słowa przemówić, pod niebieskim kloszem lampy odezwało się znowu trzepotanie skrzydełek...

Nasza ćma wyfrunęła nagle w górę, ocieężałym lotem kołując ponad szkiełkiem, zakreśliła się kilka razy i jakby odurzona, z osmałonemi skrzydełkami szybko wpadła w sam płomień, który skwierząc i sycząc, objął ją natychmiast, jak ofiarę żywcem skazaną na całopalenie.

Porwaliśmy się wszyscy trzech jednocześnie, Henryk machinalnym ruchem przekreślił knot i lampa zgasiła...

Lekki, szarzejący zaledwie brzask poranku wcisnął się na werendę przez spłoty bluszczów i dzikiego wina, pnących się od ogrodu.

— Jednak losu swego się nie ustrzegła! --zawołał z nerwowym ruchem ręki Bolek, wskazując na spaloną ómę—mówilem wam, że tak skończy. To ómy fatalność!..

Henryk pochylony nad lampą, blady i wzruszony widocznie, zrobił uwagę:

— Jednak przyznajcie, że to szczególne!.. gdybym wierzył w metempsychozę, przypuszczałbym, że to nie była zwyczajna óma, która sobie taką chwilę właśnie wybrała do rzucenia się w płomień!..

— Tylko co?—spytał Bolek.

— Tylko dusza Lili -- odparł z uroczystą powagą nasz muzyk, skłonny jak zwykle, do szukania w najzwyczajniejszych rzeczach czegoś nadzwyczajnego.

— Być może, mój marzycielu! —z ciężkiem westchnieniem odezwał się nasz gospodarz i ręce splótł nad głową, w tył przechyloną na poręczy fotelu. — Wszystko być może; są rzeczy na niebie i na ziemi, o których się filozofom nie śniło!.. Niéma bardziej zszarganej i zużytej cytaty od tych słów Hamletowych, a jednak trudno o drugą prawdziwszą sentencją. Ah!.. jestem, jak kołem połamany—rzekł, przeciągając się na siedzeniu—czy i wy czujecie się tak znużeni?.

— Przyznam ci się, że nie czuję tego— odpowiedziałem— zapomniałem o sobie zupełnie, słuchając dziejów twojej émy.

— Ja jestem znużony—dorzucił Henryk—ale nie fizycznie. Poszedłbym teraz gdzieś daleko przed siebie, gdzieby mnie oczy poniosły, do jakiegoś ciemnego boru, albo na jaki duży cmentarz, byle od ludzi zdała. Nie potrafiłbym zasnąć ani na chwilę; powiedz mi, czy to już wszystko, co miałeś w swojej tece?

— Została jeszcze klepsydra — odrzekł Bolesław, wskazując na żałobne obwódki pogrzebowej karty, wyzierającej z pod papierów przeczytanych.

-- Daj pokój!-- wstrzymał go Henryk widząc, iż chce ją wydobyć i dać nam do przejrzenia—dość już tego. Mam i tak nerwy rozstrojone, jak struny w starym szpinecie. Zkąd się wzięła klepsydra po polsku?—spytał jednak, rzuciwszy okiem na druk, zaciekawiony tym szczegółem.

— Ach, to rzecz prosta — objaśnił go Bolek—przecież ciało sprowadzono z Włoch i pochowano w grobach rodzinnych. Na żądanie matki, zawiozłem je sam z Carate aż do Mołodeńki. Stary Czajkiewicz już się tego powrotu córki nie doczekał; umarł na

szczęście, nie dowiedziawszy się o tém, jak strasznie skończyła; był sparaliżowany i nieprzytomny zupełnie, gdy nadeszła wiadomość o jej zamordowaniu. Ach, tego wam opowiadać nie będę, co się działo w Mołodeńcel.. Mam siwe włosy na skroniach—to pamiątka z owych dni, które tam spędziłem po przywiezieniu zwłok Lili. Myślałem sam, że zwaryuję w tym pustym, dużym, opuszczonym dworze ze starą matką, która po całych dniach klęczała pochylona nad otwartym grobowcem na cmentarzu i wpatrywała się w dwie trumny, stojące obok siebie; nie płakała, nie modliła się, tylko ja kimś strasznym szeptem powtarzała do męża i córki: „weźcie mnie, zabierzcie mnie do siebie!”—jak gdyby oboje zbudzić chciała swemi jękami z ich snu wiecznego. Nie rozumiała nic, co do niej mówiono, poruszała się automatycznie, bez woli i czucia, przejęta tylko tą jedną myślą, w której jeszcze pozostały resztki świadomości. I wyobraźcie sobie, że tak żyje dotąd, dopraszając się śmierci każdego dnia, każdej godziny... zmartwiała już zupełnie w swoim bólu, a nie umiera... Co roku na jesieni odwiedzam ją, jadę umyślnie do Mołodeńki, posiedzę tam dni kilka i

żegnam staruszkę, więcej już do mary zagrobowej, niż do człowieka podobną. Do tej pory nie zna wszystkich szczegółów śmierci swej córki, nawet zdaje mi się, że nazwiska Monzy nie pamięta dobrze; wie tylko, że jakiś zbrodniarz zabił jej Lilę i że niema jej więcej. Sam fakt wystarcza dla niej... Kiedy jej powiedziałem, że go na piętnaście lat ciężkiego więzienia skazano, wysłuchiwała tego obojętnie, ale zamysliła się potem głęboko i smutnie szepnęła, jakby do siebie: „Z więzienia się wychodzi, z grobu nie“... Stara kuzynka, która jest teraz przy niej, mówiła mi, że widocznie w ostatnich czasach już dziecinnieje, chodzi do grobowca i swoim przerażającym szeptem opowiada wszystko zmarłemu mężowi i córce, mieszając najpospolitsze rzeczy ze swemi rozpaczliwemi żałami.

Henryk, który chodził dużemi krokami po werendzie, przegarniał włosy spadające mu na czoło i powtarzał tylko:

— To okropne!.. to okropne!.. Ile nieszczęścia spada niezastuszenie na ludzi!

Bolek zamilkł na chwilę, potem powstał nagle, jakby się wyrwać chciał gwałtem z tej sieci wspomnień, w jaką się sam za-

wikłał swoim opowiadaniem i składając papiery do teki, rzekł:

— No, teraz wiecie już całą historią ómy od początku do końca; zepsułem wam noc całą, idźcie spać...

Muzyk przystąpił do niego i położył mu rękę na ramieniu, mówiąc:

— Wiesz, co ci powiem, Bolku?.. dla mnie nie tyle ómą była ona, ile... ty, mój drogil Tak, tak, nie patrz na mnie z takiém zdziwieniem. Twoja teorya o predestynacyi nie bardzo mnie przekonywa. To, co się teoretykom wydaje w życiu tak często jakąś nową zasadą, jest tylko konsekwencyą całego szeregu przyczyn, nie branych w ścisłą rachubę. Ależ dla mnie to zupełnie jasne, co zgubiło właściwie tę biedną Lilę, i co zgubi tysiące jeszcze kobiet do niej podobnych, które zginą potępione tém bardziej przez świat, im mniej on je zrozumieć i wybadać potrafi. Czyś ty nigdy nie pomyślał nad tém, że wy wszyscy, coście się do niej zbliżali, mieliście jedną wspólną i fatalną wadę?.. nie umieliście, albo nie byliście zdolni w danój chwili zachować konsekwencyi względem téj rozbujałej natury, którą wyprowadzali ciągle z

równowagi ludzie, albo wykolejały wypadki...

Słowa Henryka zastanowiły mnie i Bolesława.

— Co mnie najbardziej uderzyło w tój smutnej historyi — mówił dalej, widząc, że go słuchamy z żywem zajęciem — to ta dziwna okoliczność, że niepospolita kobieta zmarnowała się najokropniej wśród ludzi, którzy ją wszyscy mniej lub więcej kochali i w tój miłości — nie pogniewaj się za to, co powiem teraz — popełniali błędy nie do darowania. Kochali ją rodzice i nie umieli dobrze wychować; kochał mąż i nie umiał pokierować; kochał pierwszy, słaby kochanek i haniebnie ją zawiódł; kochałeś ty i nie umiałeś wywrzcić na nią swojego wpływu, ani uratować jęj od upadku. I tak szło dalej, aż do tego ostatniego, który ją także kochał po swojemu, lecz nie rozumiał. Kochali ją wszyscy, ale tą jakąś miłością zbyt zaślepioną, albo zbyt słabą, albo zbyt uległą, albo nadto drażliwą, albo za bardzo brutalną, albo zanadto samolubną... Ja nie mówię tego, ażeby was potępić, ale aby ją, jako kobietę, choć trochę usprawiedliwić. Myśmy wszyscy tak pochopni do rzucania kamie-

niem na kobiety, a przecież uderzmy się w piersi, mój Bolku i przyznajmy że w ich upadku bywa prawie zawsze połowa naszej własnej winy. Nazwiesz mnie znowu idealistą i marzycielem, ale to nie będzie w tym wypadku żadnym argumentem przekonywającym...

Bolek słuchał go z głową spuszczoną i splecionemi rękoma, więcej jak się zdawało, zajęty jego młodzieńczym zapałem, aniżeli trafnością rozumowania.

— Zapominasz—rzekł wreszcie—że żyjemy w epoce dziwnie pogmatwanych pojęć i pogmatwanych natur — i że dla tego tak trudno dopasować z sobą dwie jednostki, dwa osobniki, dwie inteligencye, dwa umysły, dwa serca—nawet gdy je kojarzy miłość. Nic trudniejszego dzisiaj, mój bracie, jak wytworzenie harmonii i równowagi w sferze myśli i w sferze uczuć, tém bardziej, żeśmy zatracili ich prostotę i to jest wielką fatalnością naszego pokolenia! Jesteśmy zanadto skomplikowanemi organizmami, dlatego psujemy się tak łatwo, jak te wszystkie sztuczne mechanizmy w zegarkach, w których lada pyłek staje się przyczyną, że zegarek źle idzie i fałszywą wskazuje godzinę.

Przy tych słowach otrząsał się, jakby go całego dreszcz przejął aż do szpiku i z jakimś przykrym uśmiechem dodał:

— A do tego, jesteście pokoleniem rozstrojoném, nadczułem, hysteryczném, zodziedziczoną lub nabytą neurastenią, słowem pokoleniem chorém fizycznie i moralnie, którego stan normalny bywa właściwie rodzajem anomalii, jakąś epidemiczną psychozą. Nie przerywaj, wiem co mi chcesz powiedzieć;—powiesz mi na to: „Niechże was dyabli porwą z waszemi nerwami, z waszą chorobą i rozstrojem! co to obchodzi mnie, człowieka zdrowego, który nie ma obowiązku stosować się do waszych rozklekotanych moralnie i fizycznie organizmów?... Waszym normalnym stanem jest psychoza i neurastenia, ale moim jest zdrowie, równowaga fizyczna i moralna, ja nie mam potrzeby stosować się do waszych anomalij i uważać się za waryata, dla tego że wy jesteście niepełni rozumu; ja nie chcę stawać na głowie i przewracać porządku świata do góry nogami dlatego, że wy po nim prosto chodzić nie umiecie. Jeśliście chorzy—leczcie się, ale nie wymagajcie, abyśmy zdrowi dla was robili ustępstwa i poddawali się waszym przywidzeniom, waszym halucynacyom, waszym

chorobliwym popędem i instynktom, abyśmy podlegali waszjej sugestyi i uważali za dobre i normalne to, co dla nas jest właśnie złem i anormalném, co jest zboczeniem od pewnych praw, zasad, idei, i t. d. Świat nie jest zakładem dla obłąkanych i manjaków, dla niepo czytalnych istot, dotkniętych chorobą wieku!“ Nieprawdaż, wszystko to masz na myśli i na języku?... i miałbyś słuszość zupełną w teoryi, ale w praktyce mój drogi nie rozstrzyga teoretyczna zasada, lecz fakta, a faktem jest, że my anormalni stanowimy coraz znaczniejszą większość i tém brutalném prawem większości, którym tak często posługuje się przemoc lub głupota, nadajemy pewne cechy patologiczne i pewne rysy całej fizyonomii naszego wieku, wieku dekadentów! A czy ty wiesz, co bywa gorzszym od najboleśniejszej choroby?... Świadomość jęj i świadomość tego, że się jest nieuleczalnym!.. Ale dajmy pokój temu— od pojedynczego typu, jakim była Lila, zaszliśmy i tak na bezgraniczne pole uogólniania, wśród którego zgubilibyśmy się obaj bardzo rychło.

Henryk ramionami wzruszył i ręką machnął w powietrzu.

— Zaczynasz znowu filozofować—przerwał mu—a co mi po filozofii!.. ona niczego nie naprawi i nikogo z grobu nie wskrzesi.

Odwrócił się, smutnie głową skinąwszy i zostawiwszy nas samych na werendzie, wszedł do salonu.

Za chwilę, przyciszone, smętne, jak oddalony głos dzwonu, odezwały się z fortepianu dźwięki „pogrzebowego marsza;“ na niebo zróżowione jutrzanką wypływało właśnie wschodzące słońce, wietrzyk, jak tchnienie zbudzonego poranku trącał zleżka liście bluszczu na werendzie, a podczas gdy Henryk grał Chopin’a, staliśmy obaj zapatrzeni w ziemię i słuchali muzyki, która taką sprzeczność tworzyła tą pieśnią żałoby cmentarnej z budzącą się do nowego życia naturą.

Bolek spojrzał ku mnie i jakimś dziwnie smutnym głosem powtórzył słowa Henryka:

— Tak, tak, co mi po filozofii... kiedy już niczego nie naprawi i nikogo z grobu nie wskrzesi!..

K O N I E C.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	<i>str.</i>
Zamiast prologu	1
I	13
II	56
III	57
IV	64
V	69
VI	76
VII	86
VIII	88
IX	96
X	100
XI	107
XII	148
XIII	165
XIV	206
XV	221
Zamiast epilogu	268

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1855
1856
1857
1858
1859
1860
1861
1862
1863
1864
1865
1866
1867
1868
1869
1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900
1901
1902
1903
1904
1905
1906
1907
1908
1909
1910
1911
1912
1913
1914
1915
1916
1917
1918
1919
1920
1921
1922
1923
1924
1925
1926
1927
1928
1929
1930
1931
1932
1933
1934
1935
1936
1937
1938
1939
1940
1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960
1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990
1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000
2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020
2021
2022
2023
2024
2025



TYGODNIK



ILUSTROWANY.

1892.

WYDAWNICTWO
Gebethnera i Wolffa,



„TYGODNIK ILUSTROWANY“

Najstarsza (33-ci rok istnienia), najbardziej rozpowszechniona (8000 egz.) i najobszerniejsza ilustracja polska (trzy arkusze druku oprócz okładki w każdym numerze.)



Poważny, a dziś **jedyny** w takich rozmiarach ze wszystkich pism obrazkowych organ literaturze i sztuce poświęcony, oparty na tyloletniej tradycji pisma i dążący nieustannie naprzód z chęcią służenia pożytecznie i uczciwie umysłowym potrzebom ogółu, nie potrzebuje zalecać się frazeologią; ma za sobą przeszłość, która za niego najskuteczniej przemówić może... i da Bóg—przemówi. Poprzedzamy zatem na wypisaniu hasła, pod którym całe roczniki, jak każdy pojedynczy numer naszego pisma, pragniemy wydawać:

„Światła myśl, obfita treść, nadobna forma.“

Dążąc do tego celu, mamy nadzieję, iż „Tygodnik ilustrowany“ jako dawny, dobry i zajmujący przyjaciel każdego polskiego domu i rodziny znajdzie dla siebie równie życzliwe, jak dotychczas, przyjęcie i zaufanie swych czytelników,—a w zamian przynosić im będzie co tydzień owoce i kwiaty współczesnej twórczości z szerokiej niwy literatury i sztuki swojskiej i obcej, ziarna posiewu ogólnej wiedzy i zdobycze nauk i postępu, jako też odgłosy i odbłaski najważniejszych ognisk życiowych własnego społeczeństwa i innych oświeconych narodów.

Dla działu powieściowego w latach zeszłych głównie zasilonego przez dwie najpoczytniejsze dziś autorki polskie, *Elizę Orzeszkową* („Jędrza“) i *Maryą Rodziewiczówną* („Błękitni“), oraz powieścią historyczną *Adama Krechowickiego* p. t. „Szary wilk“, przyjętą z wielkiem uznaniem przez czytających ogół, posturaliśmy się na rok przyszły oprócz mniejszych rozmiarów noweli i szkiców, pomieścić utwory powieściowe *Elizy Orzeszkowej* i *Maryana Gawarewicza*.

Stale rubryki „Tygodnika ilustrowanego“ zasilają w artykułach wstępnych, społecznej krytyce i literackiej treści, pisarze tak uznanego rozgłosu, jak *Józef Kenig*, *Fr. K.*, *Aleksander Rembowski*, *Julian Wieniarski*, *Józef Kotarbiński*, w artykułach sprawozdawczych *Edward Lubowski* (teatr), *Czesław Jankowski* (sztuki piękne i przegląd prasy polskiej i obcej), *Aleksander Poliński* (muzyka), *Stanisław Rzelkowski* (piśmiennictwo), *Borzymiów* (polityka), *Zygmunt Przybylski* (wiadomości bieżące „Silva rerum“).

Cykl poezji cenniejszych poetów naszych.

Kronika tygodniowa pióra *Maryana Gawarewicza*, *Wiktora Gomulickiego*, *Czesława Jankowskiego*, *Władysława Korotyńskiego*, *Józefa Kotarbińskiego*, *Ursyna* i innych. *Korespondencye* z kraju i zagranicy. *Listy z prowincyi*, pisane przez „*Wiesniaka*“ (pseudonim jednego ze znanych literatów i ziemian naszych), *Kronika najnowszych odkryć i wynalazków*, na którą składają się pióra specjalistów, najszerokościwszy *Dział bibliograficzny*, oraz informacyjny, *zobrazowanie* najważniejszych wypadków z całego świata w „*Chwili bieżącej*“, w każdym numerze szachy, logogryfy, rebusy, grafologia, odpowiedzi od redakcyi, oraz w pewnych odstępach czasu *mody i rozrywki naukowe*.

W bezpłatnym powieściowym dodatku do każdego numeru, stanowiącym w ciągu roku kilka tomów tłómaczeń zajmujących beletrystykę obcą, zamieszczamy utwory najświeższej twórczości.

Dział literacki zostaje pod kierunkiem *Maryana Gawarewicza*.

Dział artystyczny „Tygodnika“, najobszerniejszy ze wszystkich ilustracji polskich, pod kierunkiem *Miłosza Kotarbińskiego*, zasilają stale, prócz wielu obcych, wszyscy cenniejsi artyści polscy.

Warunki prenumeraty: W Warszawie: miesięcznie kop. 67½, kwartalnie rs. 2, półrocznie rs. 4, rocznie rs. 8;—w Cesar. i na prowincyi: kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12;—w Krakowie: kwartalnie guldenów 3.30, półrocznie guldenów 6.60, rocznie guldenów 13.20;—w Lwowie: kwartalnie guld. 3.40, półrocznie guld. 6.80, rocznie guld. 13.60;—w Galicyi i całem Ces. Austr.: kwartalnie guld. 4, półrocznie guld. 8, rocznie guld. 16. — Prenumeratę przyjmują wszystkie Księgarnie i Kantory pism, miejscowe i na prowincyi, tudzież za granicą.

Prospekty i numery okazowe, zarówno jak i katalogi księgarskie, na żądanie przesyła się bezpłatnie.

Adres: Księgarnia *Gebethnera i Wolffa*, lub Administracja „Tygodnika ilustrowanego.“ Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 15. W Krakowie Księgarnia *G. Gebethnera i Sp.*

LIST ZWROTNY

DO ADMINISTRACJI „TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.”

Administracja zechce przysłać egzemplarz „Tygodnika ilustrowanego”

poczynając od dnia do dnia

Należność w kwocie załączam.

Adres:

Imię i Nazwisko

Miejsce zamieszkania

Gubernia

Stacja, z której odbierane są Gazety

WYDAWNI

Księgarni Gebethnera i W

106153

- Błękitni**, powieść przez Mar-
wną. 1 —
- Chora miłość**, romans higieniczny i. man-
tegazzy. 1 —
- Drugie pokolenie**, powieść oryginalna, napi-
sana przez M. Gawalewicz, 2 tomy. 2 —
- Druty telegraficzne**, zbiór nowel przez Win-
centego Kosiakiewicza. 1 20
- Dzieci źle wychowane**, według Ferdynanda
Nicolaya opracował E. Lubowski. 1 50
- Dzieje literatury polskiej**, przez Włodzi-
mierza Spasowicza, wydanie 3-cie przejr-
zał i uzupełnił A. G. Bem. 2 —
- Dzieje Polski w zarysie**, przez prof. Mi-
chała Bobrzyńskiego. Wydanie 3-cie powię-
kszone w 2-ch tomach 5 —
- Jedza**, powieść przez Elżę Orzeszkową. 1 20
- Jezus Chrystus** W. O. Didona Z. K. Z fran-
cuzkiego przełożył Biskup Henryk Piotr
Kossowski. Zeszyty od 1-go do 16-go po
kop. 20 (z przesyłką po kop. 25), w przed-
płacie za całość w 25-u zeszytach rs. 4 z przes. 5 —
- Kobiety myślące i kobiety piszące**, przez
René Marcił, spolszczyła M. Ch. — 20
- Literatura Polska**, przez Adama Brezę, część
pierwsza 2 40
- Mój Testament**. Powieść. Mea. Obrazek
kanadyjski. **W sercu garbuska**. Powieść.
przez Esteję. 1 50
- O wychowaniu umysłowem, moralnem i fi-
zycznym** przez Herberta Spencera, przeło-
żył M. Siemiradzki, wyd. czwarte. 1 —
- O wychowaniu samego siebie**, Johna Stu-
arta Blacke'go, z 23 wydania oryginalu
przełożył J. K. Potocki. — 50
- Podręcznik fotografii**, dla amatorów z ry-
sunkami w tekście, przez J. Bogdanowicza
inż. 1 —
- Przewodnik gry szachowej**, K. J. S. Por-
tiusa, przekład Stanisława Tomaszewskie-
go. Wydanie 2-ie przejrzane, poprawione
i uzupełnione. 1 —
- Przy budowie kolei**, powieść Wincentego
Kosiakiewicza. 1 40

